

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr II/205

1964



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

- J. LENGYEL :
MAŁY, GDERLIWY STARSZY PAN
- J. WSZELAKI : **PROBLEM CEN W HANDLU
POLSKO-SOWIECKIM**
- B. CZAYKOWSKI :
PIŚMIENICTWO POLSKIE NA OBCYZŹNIE

SPIS RZECZY

Jozef Lengyel:	<i>Mały, gderliwy starszy Pan</i>	3
Witold Gombrowicz:	<i>Dziennik transatlantycki</i>	33
Czesław Miłosz:	<i>Notatki</i>	43
Józef Łobodowski:	<i>Cyganie i katastrofiści (4)</i>	49
Danuta Irena Bieńkowska:	<i>Wiersze</i>	62

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Strona bierna</i>	69
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	76

SPRAWY GOSPODARCZE

Jan Wszelaki:	<i>Problem cen w handlu polsko-so- wieckim</i>	85
---------------	--	----

SPRAWY I TROSKI

Zbigniew Jasiński:	<i>Cień Frankowskiego w Australii</i> ..	97
--------------------	--	----

SĄSIEDZI

Vlado Hodža:	<i>Banska Bystrica</i>	106
--------------	------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Bogdan Czaykowski:	<i>Piśmiennictwo polskie na obczyźnie</i>	114
Piotr Wandycz:	<i>Czechosłowackie życie kulturalne</i> ..	128

KSIĄŻKI

Witold Jedlicki:	<i>Polska: most czy trumna</i>	131
Victor Fay:	<i>Historia partii bolszewickiej</i>	144
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	151

◆

G. Herling-Grudziński, K. Libicki, <i>Listy do Redakcji</i>	152
B.T. Łaszewski, B. Mieczkowski, K. Okulicz:	

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad - Novembre 1964

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ KULTURY

Dr. S.N. Korzeniowski, Ladd, Illinois (USA) po raz dziewiąty ..	73,50 F
Anonimowo (USA)	98,00 „
Hanna Gutkowska, Los Angeles, Calif. (USA)	9,80 „

DZIĘKUJEMY

Mały, gderliwy starszy Pan

Punktualnie o szóstej rano profesor Andrian wsunął stopy w domowe pantofle i poszedł się myć. Budzik był mu niepotrzebny.

O szóstej minut piętnaście siostra profesora, stara panna o siwych włosach, przyniosła mu niepokalanie wyczyszczone czarne sznurowane buty, starannie wyszczotkowany garnitur i czystą bieliznę.

Już pięć przed piątą otworzyła oczy i czekała na chwilę, gdy o piątej zadzwonił budzik. Wstawała zawsze dokładnie o piątej.

O szóstej trzydzieści profesor wilgotną szczotką zmusił swe białe włosy do uległości. Potem, z twarzą zarumienioną po myciu, rześko wszedł do pokoju stołowego, gdzie jednocześnie w drugich drzwiach stanęła jego siostra z dymiącą kawą i apetycznie rumianymi grzankami.

Zasiedli do śniadania. Poza kawą i grzankami na stole znajdowały się różne inne rzeczy: śniadanie było najważniejszym posiłkiem profesora Andriana.

Z wybiciem godziny siódmej opuścił dom. Gdy była ładna pogoda, buty jego lśniły od pasty, a podniszczone ubranie — od długiego noszenia, wysiedzenia i ciągłego szczotkowania. Gdy było brzydtko, tak jak teraz, w lutym, kalosze i stary jedwabny parasol „świeciły”, o ile to jest w ogóle możliwe w taki pochmurny mglisty dzień. Po piętnastu minutach żywego spaceru znalazł się w instytucie i wszedł na górę do swego gabinetu. Jak zwykle, najbliższe trzy kwadranse wolnego jeszcze czasu poświęcił na czytanie czyjejś pracy. Przy czytaniu, nie odrywając ani na chwilę wzroku od biurka, wydawał asystento-

wi krótkie polecenia co do przygotowania kolejnych doświadczeń.

Punktualnie o godzinie ósmej wszedł do sali wykładowej. Rozejrzał się dokoła surowym wzrokiem, gdyż był przekonany, że to jest konieczne, gdy chodzi o słuchaczy pierwszego roku. Kiedy umilkły wszelkie szmery i szepty, rozpoczął wykład o prawach rządzących ruchami, obrotami i przyciąganiem różnych ciał niebieskich oraz o prawach, które naruszają ten porządek i pobudzają ludzi do ciągłego badania tych odchyłeń. Podążanie za myślami profesora Andriana nie było rzeczą łatwą, sam zresztą o tym wiedział. Był jednak zdania, że lepiej, by student już na pierwszym roku zdecydował się na inną karierę. Lepiej, by od razu spostrzegł, że nie nadaje się na fizykę, a nie dopiero pod sam koniec studiów, gdy stoi przed ostatnim egzaminem.

O ósmej czterdzieści pięć powrócił do swego gabinetu, dokąd poszło za nim kilku studentów. Wiedzieli bowiem, że o tej porze, bezpośrednio po wykładzie, najchętniej udziela wyjaśnień i przyjaźnie jest nastawiony do pytających.

Od dziewiątej do dziewiątej czterdzieści pięć oraz od dziesiątej do dziesiątej czterdzieści pięć miał wykłady dla trzeciego i czwartego roku. Tutaj nie starał się okazać surowości, czuł się w gronie osobistych znajomych, chłopców, pośród których szukał swego następcy. Gdy przystępował do nowego zagadnienia, nieodmiennie zaczynał od słów: „My fizycy...” Te wykłady działały wprost orzeźwiająco na starszego pana.

Ale gdy o godzinie za pięć jedenasta podążył ku małemu laboratorium, gdzie oczekiwali studenci mający tego dnia zdać kolokwium, wyczuł w powietrzu silną woń tytoniowego dymu.

Twarz mu poczerwieniała. — Bezczelność! Świństwo! — Szeroki w ramionach lecz raczej niski i krępy profesor przystanął i zaczął gniewnie tupać nogą. Od tego tupania znaczne ilości kurzu domieszały się do papierosowego dymu.

Studenci czekający w laboratorium — i ci, którzy palili i ci, którzy nigdy nie trzymali w ustach papierosa — ulotnili się w jednej chwili, zanim jeszcze profesor zdążył zapamiętać którykolwiek twarz.

Kiedy pedel, stary Józef, wpadł do laboratorium, profesor już był sam i gniewnie mruzczał. Józef natychmiast szeroko otworzył wszystkie okna, zdjął z siebie granatowy kitel i machając nim wyganiał dym z sali. Józef stale się obawiał — niech diabli porwą tych przeklętych palaczy! — że któregoś dnia podczas takiego ataku wściekłości serce profesora nie wytrzyma. Wte-

dy zaś pan Józef straci nie przełożonego, lecz człowieka, z którym od czterdziestu lat spędzał więcej niż połowę każdego dnia, który był dlań przyjacielem, ojcem chrzestnym jego dzieci, i przy którym być pedlem stanowiło zaszczyt dla rozumnego człowieka.

Dym prędko wywiął, ale wściekłość profesora nie minęła. W laboratorium zrobiło się chłodno. Profesor Andrian z pięćminutowym opóźnieniem zjawił się w sąsiednim laboratorium.

Studenci wyznaczeni tego dnia na kolokwium byli przybici i zrezygnowani. Wiedzieli, że tego dnia nie warto nawet się denerwować. W najlepszym razie profesor po pierwszym pytaniu wyrzuci każdego po kolei. Jeżeli nie, to nastąpi drugie i trzecie coraz zawilsze pytanie, aż wreszcie padną sakramentalne słowa:

— Radzę przyjść dopiero wtedy, gdy coś niecoś zrozumiecie z fizyki...

Wtedy studenci pospiesznie zamkną skrypty, z których gorączkowo powtarzali materiał, i z ulgą zamkną za sobą drzwi.

Taki egzamin ochrzczono mianem „dymnego gniewu”, niektórzy używali nazwy „furor teutonicus”, co można wytłumaczyć tylko faktem, że fizycy nie znają łaciny. Wiedzieli jednak nicponie, że za tydzień mogą się znowu zgłosić na kolokwium. I wtedy stary będzie łagodny jak baranek. Wystarczy, by się cokolwiek umiało, a profesor wydobędzie z człowieka sensowną odpowiedź. Zresztą to tylko kolokwium. „Podczas egzaminu stary jest zawsze sprawiedliwy”. Rzecz jasna, w dniach egzaminów sami studenci pilnowali, by się kto nie ważył zapalić. Całe generacje studentów od dziesiątków lat znały dziwactwa profesora Andriana.

Pan Józef zaś, po tak podniecających przeżyciach szybko udał się do piwnicy instytutu i zakurzył swą pękatą fajkę. Trzeba bowiem wiedzieć, że był wielkim fajkarzem, ale tylko w piwnicy, innymi słowy — w podziemiu. Gdy palił fajkę, myślał sobie, że palenia ani Pan Bóg, ani żaden porządny człowiek nie pochwała, że jest to namiętność godna pogardy, która tylko szkodę przynosi samemu palącemu, ale że jemu, Józefowi, nic już nie pomoże...

Gdy skończył fajkę, powrócił na górę, żeby rzucić okiem dokoła. Nie daj Boże, żeby jakiś nicpoń znowu zapalił papierosa! On mu już pokaże! Naprawdę zły potrafi być właśnie on. Profesor Andrian najwyższej poczerwienieje na twarzy, ale jak pan Józef zacznie krzyczeć, to aż w sąsiednich budynkach słychać. Twarz jego staje się nie czerwona, ale nabiera fioletowej barwy, jak jesienną porą liście na winnych krzewach, albo jak

jego ulubione wino „kadarka”, które sący sobie czasem, przeważnie w święto lub na jakichś chrzcinach. W dni powszednie pija raczej białe, trochę mocniejsze...



Punktualnie o dwunastej profesor opuścił bramę instytutu. Podobna do maślanki mgła zakrywała słońce, ale mimo to piętnastominutowy spacer zrobił mu przyjemność. Gdy wszedł do przedpokoju, siostra stawiała właśnie na stole wazę z zupą. Prędko zjedli obiad.

Od wpół do pierwszej do wpół do drugiej z gabinetu rozlegały się przerażające dźwięki, bojowe surmy profesorskiego chrapania. Ale o godzinie drugiej starszy pan już był na ulicy. Z twarzą nieco wymiętą po drzemce, ale w dobrym humorze śpieszył do instytutu.

Po południu nie było wykładów. Prowadził tylko własne prace we „własnym” laboratorium przy profesorskim gabinecie, przy czym asystował mu tylko pan Józef. Od czterdziestu lat pedel pomagał mu stale i bez słowa rozumiał każdy gest profesora. Rozumiał także, jaki cel mają poszczególne doświadczenia, co mu przynosiło niezgorsze uboczne dochody: na własną rękę dawał pierwszorocznikom korepetycje z doświadczeń. Od czasu do czasu profesor zostawiał Józefa samego i szedł do sąsiednich laboratoriów obejrzeć prace asystentów i słuchaczy. Pan Józef wiedział, co powinny wskazywać przyrządy i na co trzeba uważać.

Godzina powrotu do domu nie była ani dokładnie wyznaczona, ani przestrzegana. Stała co prawda umowa z siostrą, że powinien się zjawić o siódmej, ale nieraz przychodził nawet o ósmej, wpół do dziewiątej albo i później. Tego dnia wrócił także dopiero o wpół do dziewiątej.

— Gdzież ty się włóczysz po nocy? — przywitała go stara panna.

Profesor nie odpowiedział. Włożył bonzurkę i czarną jedwabną czapkę, którą pewne profesorskie koła zabobonnie uważają za środek przeciwko przeziębieniu głowy. Nie odpowiadając — to był najwyższy stopień kłótni. Niższym stopniem był gniewny pomruk...

Kiedy jednak jeden z niezliczonych kotów starej panny wlaźł mu pod nogi, starszego pana nie na żarty przeraził straszliwy pisk nadeptanego zwierzęcia. To zapoczątkowało hałas, jaki dość często się powtarzał w profesorskim mieszkaniu. Ze złością rzucał za kotem czapkę mającą chronić od kataru.

— Wyrzucę! Zaraz wyrzucę! Przez okno wyrzucę, wszystkie twoje koty! Dziewięć, dwanaście, osiemdziesiąt trzy, sto!

— To i mnie wyrzuc razem z nimi! — padła znana już odpowiedź. — Albo lepiej najpierw mnie wyrzuc! Tak będzie najlepiej!

— Głupia stara panna!

— Tyran! Niegodziwiec bez serca! Czyja to wina, że jestem starą panną? Może nie miałam kandydatów do swojej ręki? Tylko że ja, głupie stworzenie, przez całe życie byłam twoją sługą, twoje brudy prałam, po tobie śmiecie sprzątałam! No wyrzuc, wyrzuc mnie, to będzie godne ciebie!

Kiedy doszła do tego miejsca, starszy pan żałował już swego wybuchu. Spokojnie podniósł rzuconą w kąt pokoju czapkę, wysunął ze znanego miejsca pod tapczanem spodeczek i napełnił go mlekiem.

Kizia, kizia... — przywoływał kota zerkającego spod szafy.

Potem ujął za rękę pochlipującą jeszcze i wykrzywioną od płaczu siostrę, i podprowadził ją do stołu.

— Siądźmy już do herbaty, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Podczas kolacji siostra zreferowała mu wydarzenia na świecie.

— Dzisiaj na targu w ogóle nie było jajek!

— To niezrozumiałe, zupełnie niezrozumiałe!

— Bo niby skąd mogą być jajka w lutym, przy takiej pogodzie! A wapniaków przecież nie będę kupowała!

— Naturalnie, że nie.

— Mleka też nie było.

— Nic dziwnego, w lutym, przy takim zimnie...

— W lutym? Tego by jeszcze brakowało! To co będzie w marcu, w kwietniu? Paszy musi przecież być jeszcze w bród.

— Paszy? No tak, powinno być w bród. Kiedy zaczynają wyganiać krowy? Mam na myśli pastwiska...

— Jak kiedy. Ale przysłowie powiada, że trzeba „w maju siankiem krowy paść, a do pieca drewna kłaść”.

— Rzeczywiście, pamiętam, nieraz to słyszałem jako dziecko... W maju... Jak to dobrze, że ty to wszystko pamiętasz. „W maju... — usiłował powtórzyć — siankiem trza krowy paść, a do pieca drewna kłaść”. Matka lubiła to przysłowie...

Po kolacji pocałował siostrę w czoło. — Ja sobie jeszcze trochę...

— Dobrze, idź.

— Czyś już przeczytała gazetę? — spytał od drzwi.

— Naturalnie.

— No to bardzo proszę, daj mi ją. Chcę i ja zajrzeć...

Z gazetą w ręku poszedł do swego pokoju i usiadł w fotelu. Po dziesięciu minutach jednak wstał, odłożył gazetę i przesiadł się za biurko. Z szuflady wyjął zieloną teczkę i plik papierów pokrytych cyframi, wzorami i formułkami. Rozłożył wszystko przed sobą. Była pierwsza po północy, gdy odłożył pracę, papiery w teczkę starannie uporządkował i włożył z powrotem do szuflady.

Pięć godzin snu i popołudniowa drzemka wystarczały starszemu panu. Co prawda, jak go czasem namówiono, by przyszedł na posiedzenie rady wydziału, zdarzało mu się zdrzemać. Jeśli go nagle obudzono, zaczynał od razu klaskać, przekonany, że nadeszła z utęsknieniem oczekiwana chwila pójścia do domu. Albo też podnosił rękę na znak, że głosuje za tym samym, co wszyscy. Nie wiadomo zresztą czy to prawda. Może studenci wymyślili taką plotkę i dla zabawy ją rozpowiadali.

Nie ma zresztą co taić, na zebraniach istotnie czasem zasypiał. Do kościoła nawet w dawnych czasach nie chodził. Gdy siostra (teraz już coraz rzadziej) kierowała rozmowę na bezmierną potęgę Stwórcy, w którego mądrości należy szukać przyczyny i początku wszystkiego, profesor z reguły krótko odpowiadał „To nie moja specjalność. Jestem fizykiem”. Takie dyskusje miały przebieg łagodniejszy niż kocie nieporozumienia. O sprawach publicznych starszy pan także mało miał do powiedzenia. Rodzinę, sprawy publiczne i wiele innych rzeczy zastępowała mu praca i zdolni chłopcy, których w każdym roczniku trafiało się kilku; chętnie z nimi rozmawiał a nawet ich kochał. W miarę upływu lat wielu z tych słuchaczy zostało nauczycielami lub naukowcami, wielu założyło rodziny, krzątało się przy sprawach publicznych — jednym słowem robili to, do czego jemu brak było czasu i zdolności. Naturalnie byli i tacy, których życie ułożyło się podobnie: zostali starymi kawalerami, miewali nagłe wybuchy wściekłości i szybko się uspokojali, całe życie byli wiernymi i uniżonymi sługami nauki.

Profesor Andrian nawet podczas letnich wakacji nigdzie nie wyjeżdżał. Ani nad morze, ani w góry. Przez całe lato dzień w dzień chodził do instytutu i we dwóch z panem Józefem dokonywali różnych doświadczeń. Na szczęście za domem Andrianów znajdował się ogródek i tam w altance profesor latem odbywał swą popołudniową drzemkę, w cieniu ślepego muru sąsiedniej kamienicy, obrośniętego dzikim winem. Po drzemce wypijał chłodzoną na lodzie lemoniadę albo sok z czarnych jagód. Ten ostatni był jego ulubionym przysmakiem, toteż sta-

ra panna co roku przygotowywała trzydzieści sześć butelek soku jagodowego, chociaż sama pijała tylko kawę. Poza bratem i kotami uwielbiała tylko kawę.

W taki to sposób, z bardzo małymi zmianami, przez długie, długie lata upływało życie profesora Andriana.



Około godziny trzeciej nad ranem, dokładnie siedem minut przed trzecią, zadzwoniono do drzwi. Jak zwykle w lutym, noc była zimna i ciemna, nic nie wskazywało na zbliżanie się świtu. Siostra profesora otworzyła drzwi, rozczochna, zaspana, chuda, zziębnięta i przestraszona. Do mieszkania weszli jeden cywil i jeden uzbrojony mężczyzna, trzeci, także uzbrojony, pozostał za drzwiami. Przyszli we trzech.

Cywil bez słowa minął przedpokój, wszedł do pokoju i podał jakieś pismo starszemu panu, który obudzony hałasem siedział już na brzegu łóżka. Siwy staruszek w nocnej koszuli przeczytał w piśmie, że całe mieszkanie ma być poddane rewizji, on zaś aresztowany. Tymczasem cywil i żołnierz rozwiązywali już wszystkie teckę i wyrzucali starannie poukładane papiery. Zaglądali do szuflad biurka, część książek zrzucili z półek na podłogę i wsuwali dłonie za pozostałe. Robili to raczej powierzchownie i bez przekonania, niechętnie, jakby jeden dla drugiego.

— Broń jest? — spytał ten w mundurze.

Profesor nie odpowiedział.

— No dobrze, w porządku — dopowiedział znużonym głosem mężczyzna z bronią i spojrzął pytająco na towarzysza. Ten skinął głową.

Nagle siwowłosa stara panna zaczęła wyć. Głos jej przywodził na myśl jakieś prastare obrzędy. Goście, chociaż przywykli do takich scen, zdenerwowali się.

— Niech pani nie hałasuje — powiedział suchym i groźnie brzmiącym głosem cywil. Kiedy to nie pomogło, ochryplym jak gramofon głosem dodał:

— To tylko przesłuchanie, formalność. Dwa — trzy dni...

Profesor nerwowo zapytał:

— Gdzie moje buty?

Zapłakana na pół przytomna stara panna, ani na chwilę nie przestając zawodzić wysokim piskliwym głosem, przyniosła buty. Znalazła także najcieplejszą koszulę i szalik. Starszy pan był gotów.

— To jakaś pomyłka, nieporozumienie — usiłował uspokoić siostrę. Sam zresztą wierzył w te słowa.

— Naturalnie — potwierdził cywil. Mężczyzna w mundurze schylił głowę i wpatrywał się w podłogę.

Zapłakana niewiasta jakby nie słyszała co do niej mówią. A raczej chwyciła nie znaczenie słów, tylko głos i ruchy obcych mężczyzn. Po głowie chodziły jej straszne opowiadania sąsiadki. Jedno wiedziała na pewno: to nie jest pomyłka. Zabiera ją brata na zawsze... „Co noc wyją samochody” — szeptały kobiety na schodach — „a jak kogo zabiorą, ślad po nim ginie...”

— Zapakuj mi parę kromek chleba z masłem — poprosił profesor.

Ale stara panna, która całe swe życie poświęciła bieliźnie, obiadam, sokom jagodowym, sprzątanii i czyszczeniu butów brata, która jeszcze przed chwilą tak dobrze wybrała ciepłą koszulę i szalik, teraz po raz pierwszy w życiu uznała przygotowanie chleba z masłem za zbyt ciężkie. Przycisnąwszy czoło do ściany zawodziła jak zawodowa płaczka.

— No dobrze, nie potrzeba — rzekł profesor i z rezygnacją machnął ręką. Podeszedł do siostry, przycisnął ją i pocałował w czoło. Ona zaś pochylała głowę nad jego dłoń i z jakąś symboliczną pokorą ucałowała ją.

— No, to chodźmy, panowie — poganiał swą eskortę profesor, jakby w obawie, że się podda rozczuleniu.

— Może pan jeszcze chwilę tu posiedzieć — rzekł żołnierz i wyszedł do przedpokoju.

Stare tradycyjne zwyczaje nakazywały, by przed daleką drogą posiedzieć chwilę w milczeniu, minutkę lub dwie. Profesor trzymał się dzielnie. Gdy oboje usiedli, siostra także umilkła. Potem podali sobie ręce i ucałowali się w oba policzki i w czoło.

Profesor opuścił dom w towarzystwie swej eskorty. Dom, który przez tyle lat był jego domem. Przy chodniku czekało wygodne auto osobowe. Wsiadli i w milczeniu jechali po wymarłych ośnieżonych ulicach.

Samochód zatrzymał się w nieznanym miejscu, przed wielką bramą. Brama sama się otworzyła i samochód w nią wjechał. Stał przed drugą zamkniętą bramą, tymczasem pierwsza już się zamknęła. Potem otworzyła się wewnętrzna, wjechali na dziedziniec i z kolei druga brama się za nim zamknęła.

— Wysiadać! — krzyknął ktoś szarpając drzwiczki.

Eskorta przekazała go innym strażnikom. Starszy pan spojrział na poprzednich swych towarzyszy, jak na dawnych znajomych,

mych, ale już go poprowadzono dalej. Po chwili znalazł się w wielkiej sali.

Było tu wielu mężczyzn, stali sztywno po środku sali jak kręgle ustawione do gry. W głębi przy drzwiach uformował się podwójny rząd, jak przed piekarnią w czasie wojny.

Ktoś spytał profesora: — Co to właściwie jest?

— Dworzec — odpowiedział ktoś stojący obok.

Przyprowadzano coraz to nowych ludzi, pojedynczo i grupkami. Potem otworzyły się nagle drzwi, przed którymi stał ogonek i wpuszczono przez nie stu ludzi.

— A co tam jest? — spytał ten sam głos co poprzednio.

— Licho wie. Zobaczmy sami — odpowiedział ktoś obójnym głosem, ale miało się wrażenie, że mówiący szczerka zębami.

— Stańmy i my w kolejce.

Na miejscu zabranych stu ludzi stało już stu nowych, przez ten czas przyprowadzonych. Tłum na „dworcu” nawet zgęstniał. W ścisłości profesor także został przepchnięty w pobliże drzwi, które otwierały się co godzinę. Nikt nie wiedział, co go czeka za drzwiami, ale mimo wszystko ludzie przepychali się tam na siłę. Może tak samo dzieje się przed bramą piekła: niech będzie co chce, ale lepiej się piec w piekielnym ogniu, niż czekać na wrzucenie do kotła!

Wchodzących oślepiło ostre światło żarówek. Cementowa podłoga. Lśniące od olejnej farby mury. Półtora tuzina niemłodych już mężczyzn w białych fartuchach, spod których wyglądały buty z cholewami. Ruchem ręki ustawili odliczoną setkę w szeregu.

— Rozebrać się!

Ludzie zaczęli rozpinać ubrania.

— No, prędzej, prędzej, do naga!

Stu mężczyzn rozebrało się. Przed każdym leżała kupka odzieży. Ci w białych fartuchach podzielili się na dwie grupy: jedni oglądali ubrania, drudzy ludzi.

— Podnieść ramiona!

— Otworzyć usta!

— Skłon!

Przez ten czas pozostali macali ubrania, odcinali metalowe guziki i wraz z różnymi innymi metalowymi przedmiotami rzucali je na stos. Pieniądze i wartościowe przedmioty trafiały na oddzielny stos. Tutaj znajdowały się także szelki i sznurówka.

— Kto już gotów, niech zabiera swoje rzeczy.

Przeszli do następnego pomieszczenia. Było tu gorąco. Pa-

ra i zaduch spoconych ciał wskazywały, że znajdują się w przed-sionku łaźni.

— Rzeczy tutaj! — zabrzmiał rozkaz spoza lady stojącej wzdłuż jednej ze ścian.

Ludzie kolejno kładli ubrania na ladzie. Ten, który je odbierał, dawał każdemu kawałek mydła wielkości pudełka od zapatek. Byli tacy, którym się udało wziąć po dwa kawałki. Rzecz jasna, profesor Andrian nie należał do nich: odszedł od lady bez mydła.

— Idź, niech ci dadzą mydło — radził mu ktoś. — Powiedz, żeś nie dostał.

— To nie ważne. Wczoraj się kąpałem.

— Co się należy, to się należy. Jak sam nie potrzebujesz, to mnie dasz.

Profesor ze złością machnął ręką. Skierował się ku drzwiom do łaźni.

— Gdzie lecisz! Najpierw tutaj! — krzyknął ktoś. Starszy pan zaskoczony zawrócił.

Popchnięto go w stronę, gdzie sześciu strażników więziennej rozebranych do koszul i z podwiniętymi rękawami goliło wszystkim maszynką głowy „na zero”. Tak samo wąsy i brody. Siódmy strażnik, spocony, kręcił się między nagimi postaciami i wielką miotłą, ruchami zamiatacza ulic, zgarniał do kąta kłęby golonego owłosienia.

Przed paru godzinami starszy pan wyobrażał sobie, że gdy przybędzie do tego wielkiego urzędu, nigdy przedtem nie widzianego, to albo go natychmiast zabiją — i takie będzie zakończenie straszliwej pomyłki — albo go spytają, kim jest. Wówczas on ponuro zmarszczy czoło i zapyta, z jakiego powodu go tu sprowadzono. W ten sposób omyłka prędko się wyjaśni. Wystarczy przecież jeden telefon, rozmowa z dyrektorem instytutu lub przewodniczącym związku młodzieży, i w południe znajdzie się z powrotem w domu. Jeżeli zechcą wezwać świadków, no to w takim razie może potrwać ze dwa-trzy dni. Tak jak powiedział ów cywil jeszcze w domu.

Tymczasem i jedno i drugie okazało się błędne. Siedział na kulawym stołku, nagi jak go matka na świat wydała, a kosmyki własnych siwych włosów spadały mu na ramiona, plecy i uda, a potem na cementową podłogę.

Golarz poklepał go po plecach.

— Proszę?

— Możesz wstać.

Profesor wstał i wielka miotła już zgarnęła jego białe, trochę falujące włosy, pomieszane z czarnymi, kasztanowatymi i

jasnymi kosmykami młodszych mężczyzn. Pokażny stos leżał już w kącie sali.

Teraz pozwolono mu wejść do łaźni. Przywitały go kłęby pary i echo wielu głosów i odgłosów: okrzyki, brzęk blaszanych naczyń na kamiennej podłodze, śmiechy. Pryskanie, prychanie i popychanie się. Jak w sobotę w miejskiej łaźni. Jedni drugim myją plecy, poklepują się, polewają wodą. Nagie ciała, chichoty, łaźnienna wrzawa, głośna wesołość — znany ogłupiający ale odmładzający nastrój.

Starszy pan nabiera wody do wiadra, polewa się, trze ogoloną przed chwilą czaszkę, spłukuje łaskoczące ostrzeżone włosy, uśmiecha się w piekielnym hałasie i rajskim cieple, a gdy już zużył całą wodę, znowu podstawia wiadro pod kran.

Jeden tylko mężczyzna o sinym ciele robi wrażenie zziębniętego. Dłonią podtrzymuje olbrzymią rupturę.

— Czy nas stąd zaprowadzą na egzekucję? — pyta profesora.

Zanim jednak starszy pan zdążył się zastanowić nad sensowną odpowiedzią, uprzedził go wesoły głos o ordynarnym brzmieniu:

— Aleś głupi! Na to nie kazaliby się przedtem kąpać!

Profesor przyjaznym uśmiechem odpowiada na tę więzienną logikę.

W tej chwili z kranów przestaje płynąć ciepła woda. W ciszy, jaka nagle zapada, rozlega się komenda: — Wychodzić!

Przez inne drzwi nagie ciała przedostają się do następnego pomieszczenia. Podłoga zarzucona jest ubraniami. Są gorące, przed chwilą wyjęto je z kotłów dezynfekcyjnych.

Dobry nastrój prysnął. Przepychanie się, poszturchiwanie. Wszyscy nerwowo szukają własnej garderoby. Kłótnie, pomyłki, podejrzenia. Z poprzedniego pomieszczenia dolatują wesołe okrzyki nowej partii wprowadzonej do łaźni.

Wielu się jeszcze nie skończyło ubierać, szukają koszul lub zapodżanego buta, a już poganiają: — Dalej, dalej, pospieszyć się!

Strażnicy prowadzą ich grupkami po pięciu lub dziesięciu długimi, pustymi korytarzami. Ściany są białe, żelazem obite drzwi, wszystkie jednakowo brązowe.

Dziesiątkę profesora zatrzymują przed którymiś drzwiami. Do prowadzącego strażnika podchodzi strażnik korytarzowy i razem otwierają kluczem oba zamki, odsuwają rygiel. Do celi wpychają dziesięciu ludzi. Strażnicy ich wpychają na siłę, bo nie ma wewnątrz miejsca, żeby wejść. Drzwi zamykają się.

Znajdują się w obszernym pomieszczeniu o niskiej powa-

le, zapchanym ludźmi. W gęstym powietrzu mgliście żarzą się słabe światełka. Smród, zaduch i wrogie spojrzenia witają nowoprzybyłych. Będzie jeszcze mniej powietrza!

— Akurat tutaj musieliście wejść?

Na dwudziestu pięciu żelaznych pryczach, między pryzami i na każdym skrawku podłogi siedzieli i leżeli skurczeni ludzie.

— Stan wynosił sto dwadzieścia jeden, teraz będzie sto trzydzieści jeden — oznajmił starosta celi.

— Gdzie nam przydzielisz miejsce? — spytał jeden z przybyłych dobrze zbudowany, mocny, niemłody już mężczyzna. Wszyscy bowiem stali przy wejściu, obok śmierdzącego wiadra, na wilgotnym lepkiem cemencie.

— Siadajcie sobie — wyręczył starostę inny lokator celi o wyglądzie wieśniaka. Na jego twarzy widniał już spory, nowy zarost.

— Gdzie?

— Tam, gdzie stoicie — odpowiedział starosta i przestał się nimi interesować.

— Każdy nowy zaczyna od wychodka — wyjaśniał wieśniak. — Taki jest porządek. Potem jak starzy odchodzą, nowi przesuwiają się ku oknu... Ale — dodał jeszcze — można także zostać pośrodku. Ja to wolę, bo się boję przeciagu.

— Hoho, świetnie zorganizowane towarzystwo — stwierdził krzepki mężczyzna, który już przy ubieraniu zwrócił na siebie uwagę szybkością ruchów. „Stary marynarz”, wyjaśnił jeszcze na dole. — Widzę, że jest organizacja!

— Bo starosta celi jest głównym księgowym! — pochwalił się wieśniak.

— Widać to! — odrzekł marynarz.

Nowoprzybyli z odrazą spoglądali na lepki cement. Przełaząc przez wyciągnięte nogi, ręce, ciała, co chwila podchodził ktoś do wiadra. Wracając zabierał na podeszwach śmierdzącą wilgoć. Tylko co wykapani, czysto ubrani przybysze wciąż jeszcze stali.

Po jakimś czasie mężczyzna z przepukliną nie mógł już wytrzymać i usiadł. Po nim to samo uczynił marynarz, następnie profesor. Potem kolejno jeden, drugi, wszyscy. Byliby zaraz posnęli, gdyby im nie kazano wstać do odbioru porannej porcji chleba. Dopiero teraz zdali sobie sprawę, że już cały dzień są więźniami.

Zaden nie mógł jeść. Pierwszy więzienny chleb oddali tym, którzy tu już dawniej przybyli. Profesor oddał nawet wieśniakowi swoją dzienną porcję cukru, dwie kostki. Marynarz wsunął

cukier do kieszeni, tylko chleb podał nad głowami i podniesionymi rękami jakiemś chudemu chłopakowi, który nawet o to nie prosił.

— Dziadziu, masz tytoń? — zwrócił się do profesora jakiś dobrze już zaroięty mężczyzna.

Starszy pan zachnął się. Ale uprzytomnił sobie, że nie znajduje się w laboratorium instytutu i jakby trochę kpiąco odpowiedział:

— Bardzo mi przykro, zapomniałem, że trzeba było zabrać tytoń.



Mijały dni. Mijały także i noce, które może kiedyś historia opíše pod nazwą „Tysiąc i jedna noc świętego Bartłomieja” — chociaż będzie to błędny tytuł. Tutaj bowiem nie wyznawcy jednej wiary prześladowali wyznawców drugiej, ani też nie chodziło o członków dwóch partii, gdyż więźniami byli najróżniejsi ludzie, winni i niewinni. I tacy, którzy nigdy w życiu nie popełnili najmniejszego przestępstwa, i tacy, którzy przed kilkoma dniami sami przyprowadzali tu niewinnych. Ale ci bez winy nie za niewinność zostali zamknięci, ani też winni za popełnione przestępstwa. Wówczas wiele rzeczy było niezrozumiałych...

Liczba zamkniętych w celi 408, gdzie przebywał profesor, ze stu trzydziestu jeden wzrosła wkrótce do stu siedemdziesięciu czterech. Jakoś mimo to dla każdego znalazło się miejsce. Ciekawe, może i więcej by się zmieściło. Gdyby na przykład na dwóch pryczach i pod nimi zamiast pięciu ludzi włożyło się sześciu. Ponieważ jednak ilość nowoprzybywających i odchodzących pozostała mniej więcej równa, maksymalna liczba lokatorów celi o dwudziestu pięciu pryczach, ustaliła się w granicach stu siedemdziesięciu czterech.

Przepisy więzienne nakazywały codzienną półgodzinną przechadzkę. Więzień miał także prawo do czytania książek. Tych nakazów jednak przy najlepszej nawet woli nie dałoby się przestrzegać, gdyby ktokolwiek miał taką dobrą wolę. Ludzie zapelniali sobie więc czas jak mogli, na przykład szyciem. Igłą zrobioną z rybiej ości szyli z koszul chustki do nosa, a z kół papucie. W takim tłumie nikt bowiem nie był w stanie upilnować nawet więziennej własności. Niektórzy z nitek wysnutych z brzegu koszuli, skręcali mocniejsze nici do szycia. Większość grała w szachy lub domino. Figury lepiono z miąższu chlebowego, malowano je na biało farbą zrobioną z

proszku do zębów, a na czarne wystarczała sama barwa chleba, przyciemniona jeszcze brudem palców. Z mięszu także lepiono wzory narzędzi mierniczych, gdyż rozeszła się pogłoska, że z więzienia wywożą ludzi do robót drogowych. Ktoś więc zorganizował pod oknem kurs na majstrów drogowych, który zdobył sobie wielu słuchaczy. Tylko przyrzady trzeba było codziennie na nowo lepić, gdyż w nocy zawsze ktoś poprzednie zjadał. Miał szczęście, że go nie przyłapano, gdyż dla złodziei nie było litości. Wszyscy stale byli głodni. Każdy zjadał swoich sześćdziesiąt deka chleba i z niecierpliwością czekał na swoją kolejkę, by dostać dodatkowo pół chochli rzadkiego kapuśniaku, który przynoszono na obiad. Jeszcze bardziej uradowany był ten, na kogo wypadł nie kapuśniak, lecz rybna zupa.

Kurs dla majstrów drogowych prowadził pewien chemik, dyrektor fabryki wyrobów gumowych. Zdaniem profesora znalazł się rzeczywiście niezgorzej na pomiarach, nie było więc powodu się wtrącać. Starszemu panu wydawało się zabawne, że ludzie tu, w więzieniu, uczą się nowego zawodu, ale pochwałali to, gdyż nauka nigdy nie szkodzi.

Niektórzy prowadzili ożywione dyskusje naukowe, inni uczyli się języków obcych. Bez trudu znajdowało się nauczycieli i uczniów. Marynarz opowiadał dzieje swego życia, które rozpoczęło się od Archangielska, poprzez Kronstadt, różne fronty i fabryki, aż wreszcie utknęło w tej celi. Mężczyzna z przepukliną, z zawodu nauczyciel, opowiadał w codziennych odcinkach treść różnych powieści i to z taką dokładnością, że chętnie go słuchali nawet ci, którzy je znali. Pewien młody inżynier relacjonował szczegóły o największym statku pasażerskim świata, „Queen Mary”, którym przed kilkoma miesiącami odbył podróż do Ameryki.

— Ta podróż jest powodem mego aresztowania — dodał na zakończenie. — A przecież wcale nie starałem się o ten wyjazd. Wysłano mnie. Badano przedtem, czy jestem godny zaufania. A teraz... — gorzko się uśmiechnął.

Nawiązały się znajomości, przyjaźnie, jak w czasie długiej jazdy koleją. Chętnie mówiono o przeszłości, ale ledwie, ledwie o terażniejszości, o życiu toczącym się poza tymi murami. Kto chciał pomyśleć o żonie, dziecku czy matce, albo też o swej pracy, ten kładł się w jakimś kącie i zatykał uszy. Jeśli zdobył dosyć miejsca, zasypiał. Bo nawet na podłodze spano na cztery zmiany.

Tylko dla wracających z przesłuchań, umęczonych i stroturowanych znajdowało się zawsze wolne miejsce. Umiano zorganizować jedyną pomoc, jaką można było dać. Ciszy jednak nikt

nie mógł nakazać. Dokoła, nawet przy najbardziej chorym, panował bezustanny hałas. Jakiś aktor na cały głos recytował wiersze. Śmiano się z opowiadanych anegdot. Chłopi gadali o orce i zasiewach, albo o tym, jakie chmury przynoszą jaki deszcz. Adwokat przytaczał ciekawe procesy. Kamienie domina ulepione z chleba z suchym trzaskiem uderzały w deski prycz i nieraz rozpyływały się w drobne kawałki w rękach namiętnych graczy.

W porównaniu z innymi profesor dość dobrze znosił więzienne życie. Może dlatego, że nie miał ani dzieci, ani żony, ale głównie z powodu chleba, gdyż z dziennej racji jego dostawało się jeszcze sąsiadom. Obiadowa zupka, poranna namiastka kawy i dwie kostki cukru zupełnie starszskowi wystarczały, nigdy nie był głodny.

Życie, które nie staje się coraz gorsze, tym samym poprawia się. Jakiś łysy inżynier, kosztem kilku dni pracy, używając jako narzędzi nogi od łóżka i kamiennej podłogi, z parocentymetrowego kawałka drutu zrobił igłę. Przy jej pomocy usiłował w drugim kawałku drutu wywiercić dziurkę. Uprosił profesora, który i tak mało się ruszał, by cały dzień przed nim siedział i zasłaniał go przed spojrzeniem strażnika, zaglądnącego przez judasza.

W nagrodę profesor pierwszy obejrzał gotową igłę.

— No, jak się panu podoba?

— Wspaniała — stwierdził z uznaniem profesor. — Czy i przedtem robił pan narzędzia?

— Można to i tak nazwać. Zbudowałem pierwszy w tym kraju czołg.

— To rzeczywiście bardzo ważne. Jaka szkoda, że tam na zewnątrz, jakby to powiedzieć... w cywilu nie znaliśmy się. Ale może nie jest wykluczone...

— Cóż pan opowiada, profesorze — przerwał mu inżynier.

— Niech pan spojrzysz dokoła.

— No tak...

— I niech pan spróbuje skontrolować moje obliczenia.

— Jakie obliczenia?

— Dokonałem pewnych kalkulacji na podstawie tego, jakie jest zagęszczenie naszej celi, jakie stosy chleba widzimy przed drzwiami innych cel, gdy odbieramy nasze porcje śniadaniowe, dalej ze słów więźniów trafiających do nas z innych cel lub innych więzień, z ilości nowoprzybywających, jak również z przeciętnego okresu pobytu tutaj. Wziąwszy więc pod uwagę wszystkie dostępne dane, doszedłem do wniosku, że... — tu wmienił jakąś bardzo dużą cyfrę. — Ten kontyngent wymieniony zostaje w ciągu dwóch do trzech tygodni, gdyż obli-

czyłem, że przeciętnie jeden więzień pozostaje tu przez osiemnaście dni. Przybывamy, odchodzimy dzień w dzień. Do innej kategorii należy pytanie: dokąd? Albo też: czemu starosta celi siedzi tu już od pół roku? Moim zdaniem dlatego, że jest wtyczką.

— Nie wydaje mi się. To taki sympatyczny człowiek. Cóż by mógł donosić?

— Chyba nic szczególnego. Ale instytucja wtyczek jest już zakorzenionym zwyczajem. Stosuje się go nawet wtedy, gdy nie jest potrzebny. Zresztą to sprawa uboczna. Pozostawmy przy danych cyfrowych.

— Jeśli pańskie dane są realne...

— Absolutnie realne. Przyjdzie czas, gdy dokumenty udowodnią słuszność moich obliczeń. Ale spróbujmy je skontrolować. Ot na przykład: umywalnie na naszym korytarzu są w użyciu bez przerwy dniem i nocą. Na jednego człowieka przypada dziennie po półtorej minuty...

— To się zgadza — potwierdził profesor z lekko zawstydzoną miną — te półtorej minuty i ja całkiem przypadkowo obliczyłem.

— Ja zaś stwierdziłem, że stan naszego korytarza, jego „zaęszczenie” odpowiada przeciętnej innych korytarzy i wszystkich więzień.

— To się wydaje logiczne. Z tego zresztą, czego się tu człowiek przypadkowo dowiaduje... z tego... No, w każdym razie wydaje mi się, że pańskie wnioski są bez zarzutu.

— Uważam za najwyższy dowód uznania, że taki mistrz rachunku prawdopodobieństwa jak profesor, akceptuje moje obliczenia.

— W porządku, to są cyfry... Ale czym pan tłumaczy powód tego zjawiska? Co jest tego powodem?

— Niech pan spojrzy na tego człowieka w samym kącie. Tam, w głębi — inżynier wskazał ciemny róg celi — ten, co ma spuchnięte powieki. O ile mogę wynioskować, ciężko choroby na serce. Stary członek partii. On też nic nie rozumie. Nawiasem mówiąc: starosta celi stale ma go na oku. Podobno już raz usiłował popełnić samobójstwo.

— Czyżby to komuś przeszkadzało?

— To byłoby sprzeczne z przepisami więziennymi.



Tak żyli stłoczeni w jednej celi. Oczy lśniły gorączkowym blaskiem, zarośnięte twarze i zielona ich bladość w opa-

rze oddechów i niedostatecznym świetle wiecznie palących się żarówek zatracaly indywidualne cechy. Wszyscy, rozebrani do koszuli i kalesonów, siedzieli na podłodze lub w kucki, bo poruszać się nie było można, a zaduch i tropikalne gorąco straszliwie dokuczały.

Niektórzy usiłowali gimnastyką utrzymywać się w fizycznej formie. Toczyły się zawzięte dyskusje o celowości gimnastyki, co także zabijało czas. Pewien dobrze zbudowany, ale z braku okularów zupełnie bezradny lekarz twierdził, że w takim powietrzu gimnastyka więcej szkodzi niż pomaga. Natomiast mistrz tańca, który prowadził kursy tańców nowoczesnych w jakimś ognisku ludowym, przewodził grupie broniącej przeciwnej opinii. Jego zdaniem brak ruchu doprowadzał do bezwładu kończyn i w ogóle mięśni, co więc będzie, gdy przyjdzie pieszo pomaszerować na jakieś wyznaczone miejsce?... Bo z pewnością na ostatnim etapie drogi nie będzie kolei...

— Kolej my sami zbudujemy. To znaczy — poprawił się — wy ją będziecie budować, bo ja się jakoś wykaraskam, jako że jestem także golibrodą.

Wiadomo zaś, że czy budowa kolei, czy kopalnia, czy wyręb lasu — wszędzie potrzebny jest golarz.

— Akurat golarz — z powątpiewaniem rzucił marynarz.

— Bardzo przepraszam, ale ja to lepiej wiem, przyjacielu. Golibroda i lekarz wszędzie są potrzebni. Inżynier już nie tak bardzo, zresztą jest ich i tak za dużo.

— Moje bary wszędzie są dobre — rzekł marynarz. — Łopata, kilof, piła czy dźwiganie worków, wszystko jedno. Te go zaś nikt mi nie będzie zazdrościł.

Dyskusja, śmiech, kłótnia, charczenie, szepty i deklamacje aktora — wszystko milknie, gdy w zamku zgrzyta klucz i stuka odsuwany rygiel. W celi panuje grobowa cisza.

Strażnik nie wchodzi, tylko od progu mówi stłumionym głosem:

— Czyje nazwisko zaczyna się na literę B?

Ci, których nazwiska zaczynają się na B, drżącymi wargami wypowiadają je. Zgłaszają się jeden po drugim, w kolejności dyktowanej temperamentem, rzadko się zdarza, by dwaj przemówili jednocześnie.

Wreszcie strażnik stojący z kartką w ręce wstrzymuje zgłaszanie się:

— Ubierać się!

Ci, którzy przed chwilą rozmawiali, słuchali, albo też grali w szachy, drżącymi rękami wciągają spodnie, nakładają marynarki i przestępując przez ręce, nogi i tułowia wydostają się

z celi. Jedną ręką przytrzymują spodnie, które opadają, gdyż odcięto od nich metalowe sprzączki. Tuż za progiem jednak rozlega się rozkaz: „Ręce do tyłu!” Więźniowie wzruszają ramionami i puszczają spodnie...

— Chyba i na mnie przyjdzie dziś kolej — zgadują pozostawieni w celi.

Drzwi się zamykają za nazwiskami na B. Najprędzej opinają się szachiści, ale po chwili tu i tam rozlegają się już śmiechy i charczenie.

— Czemu nie wywołują ludzi po nazwisku? — zadał profesor pytanie specjalście od rachunku prawdopodobieństwa.

— Bo już sami nie wiedzą, kto w której celi siedzi. Nie mogą nadążyć za tym dużym ruchem. Gdyby zaś wywołali takiego, którego nie ma w tej celi, to można by się w ten sposób dowiedzieć, że jacyś znajomi też są zamknięci.

— Może pan ma rację — zgodził się profesor.

— I co więcej! Czy pan nie zauważył, że nieraz wszyscy o danej literze zgłaszają się, a strażnik nic, tylko przegląda listę. Wtedy albo jeszcze raz każe powtarzać nazwiska, albo też zamyka drzwi. Było tak?

— Było.

— No widzi pan! Po prostu nie wiedzą, gdzie kto siedzi — triumfował inżynier z miną tak zadowoloną, jakby przeżywał największy dzień swego życia.

— No tak. Ale po co to wszystko? Wszystko!

— To jest właśnie to profesorze, czego i ja nie rozumiem. Pytałem ludzi od polityki, starych członków partii, także i tego, który do niedawna był z nami. Albo powiadają, że i oni nie rozumieją, albo milczą. Ale ci, co milczą, nie dlatego milczą, że wiedzą o co chodzi. Są po prostu ostrożni. Jeden tylko marynarz powiedział wczoraj, że należałoby zawiadomić towarzysza Stalina, bo to, co się tu dzieje, to zamach przeciwko komunizmowi.

— To niemożliwe, żeby nikt nie rozumiał!

— Rozumieć, to może ktoś i rozumie. Ale tylko w taki sposób, jak o rzeczy niezrozumiałej wie się, że jest niezrozumiała. Widzi, że to „szaleństwo, ale jest w nim metoda”, jak recytował nasz aktor w Hamlecie. Na dzisiaj obiecał nam dalszy ciąg, ale go jakoś nie słyhać. Niech pan spojrzy! Drży na całym ciele. Jego nazwisko także zaczyna się na B. Zobaczymy. Jeżeli jest w tym jakiś system, ja go odkryję.

Starszy pan bez słowa kiwał głową.

Przez ten czas większość zdołała już zapomnieć o przeżytych strachu. Figurki szachowe z chlebowego miąższu porusza-

ją się przemyślanymi, ostrożnymi ruchami, kurs majstrów drogowych zamknął już część wstępną. Znowu otwierają się drzwi.

— Czy jest tu kto na literę L?

I jak poprzednio ci na B, tak teraz trzęsą się ci z nazwiskami na L, dopóki trwa zgłaszanie się. Wybrani przygotowują się do wielkiej drogi. Gdy przełazą przez leżących, wyciągają się ku nim dłonie z papierosami. Większość prowadzących śledztwo pozwala na palenie podczas przesłuchań, niektórzy nawet sami częstują papierosami. Palenie w takiej chwili przynosi ulgę.

Pozostający w celi także prędko zapalają papierosa. Szczególnie ci, których nazwiska zaczynają się na tę samą literę. Duszne wilgotne powietrze nasycy się dymem.

W pierwszych dniach starszy pan usiłował perswazją wpływać na swych towarzyszy. Mówił spokojnie, nie tak jak w swym laboratoryjnym królestwie.

— Palenie jest szkodliwe dla zdrowia. Szczególnie w naszych warunkach. Zatłoczone, niewietrzone pomieszczenie, niedostateczne wyżywienie...

Wyśmiano go.

Chłop nie śmiał się, ale za to wypowiedział przysłowie: „Gdy kogoś wiodą na stracenie, nie czas żałować włosów”.

— Ale przecież to wzajemne zatruwanie sobie życia — argumentował profesor. — Dla każdego byłoby lepiej, gdyby się odzwyczaił.

Jeszcze lepiej byłoby odzwyczaić się od oddychania. A już najlepiej przestać korzystać z kubła — złościł się jakiś chudy księgowy.

Najważniejsze jednak, że każdy się denerwuje, gdy już nie ma co palić.

— Trzeba przyznać, że to prawda — uznał marynarz. — Ale jak się ma czterdzieści dwa lata... jeden diabeł.

Starszy pan przestał się upierać. Przyszło mu na myśl, jakie śmieszne było jego wojowanie i oburzenie pana Józefa, tam w laboratorium. Śmieszne jak każda przesada. Co też się teraz dzieje ze starym przyjacielem? Może sądzi, że profesor coś ukrywał i dlatego teraz... Niemożliwe! Nie uwierzyłby! A chłopcy, którzy przygotowują się właśnie do kolokwium? Oni także nie!... Co za straszliwa bzdura...

Głośne wybuchy śmiechu przerwały ten tok myśli. Uczestnicy kursu drogowego i wszyscy siedzący w pobliżu wprost tarzali się ze śmiechu.

— O co chodzi? — spytał profesor swego sąsiada, fachowca od rachunku prawdopodobieństwa.

— Widzi pan tego krępego faceta? To monter. Przypro-
wadzili go przedwczoraj. Ten co stoi obok chemika.

— Widzę. No i co?

— Okazało się, że go zamknęli, bo w domu towarowym
głośno urągał z powodu tandetnego gatunku kaloszy.

— I co, nie miał racji?

— Najwidoczniej: nie. Ale ten co prowadzi kurs dro-
gowy, wie pan przecież, że był inżynierem technicznym w fa-
bryce wyrobów gumowych. Otóż on twierdzi, że chyba nie
zdąży zakończyć kursu — specjalista od rachunku prawdopo-
dobieństwa nie mógł już powstrzymać śmiechu — bo jest os-
karżony właśnie o to, że z intencją sabotażu produkował zły
gatunek kaloszy. Jeśli więc urąganie na zły gatunek kaloszy
jest oszczerstwem...

— Istotnie wypadek jest paradoksalny... Cóż więc z tego
wyniknie?

— Nic, drogi profesorze, absolutnie nic. Obaj tu pozo-
staną. Monter na zasadzie punktu dziesiątego, jako agitator,
dostanie z pięć lub dziesięć lat. Inżynier więcej oberwie, bo
na podstawie punktu dziewiątego, jako działający na szkodę
społeczeństwa. Dadzą mu z pewnością piętnaście. Czy z tego
można się nie śmiać?

— To niemożliwe!

— Drogi, szanowny profesorze! Czy pan już był na prze-
słuchaniu?

— Jeszcze nie. Bardzo mnie to dziwi i bardzo żałuję. Za-
raz przecież udowodnię, że ja żadnych...

— Potrafi pan udowodnić? Ja na przykład wiercę teraz
ucho w trzeciej igle, ale czy mógłbym udowodnić, że nie je-
stem wielbłądem, który zdoła przez to ucho igielne przejść?...
A właśnie tego się domagają. Sam pan zobaczy... A w ogóle czy
nie ma pan ochoty wyczyścić sobie butów? Widzę, że przyda-
łoby się. Dostałem wspaniałe zrzynki koca od tego, który szy-
je papucie.

— O, dziękuję! Doprawdy jest pan bardzo miły!

W ten sposób doszło do tego, że profesor Andrian, po
tylu dziesiątkach lat, znowu czyścił sobie buty. Przypomniał
mu się mały warsztat stolarski przy izbie, gdzie to robił wra-
cając ze szkoły. Było to w niedużym miasteczku, gdzie czło-
wiek musiał ostrożnie stapać po deskach stanowiących chodnik,
żeby się nie zapaść po kostki w błoto.

Pogodził się także z palaczami. Najpierw tylko znosił ich,
a potem nawet polubił, gdyż biedacy przez swój zgubny nałóg
jeszcze bardziej od niego cierpieli. Tak samo bardziej cierpie-

li ci, którzy lubili pić i dużo jeść, i żonaci, i ojcowie, chociaż
doprawdy nie byli temu winni...



W parę dni później strażnik wywołał nazwiska zaczynające
się na A. Gdy profesor się zgłosił, strażnik przestał czytać.

— Chodź. Ubieraj się.

Starszy pan drżącymi rękami wciągnął spodnie. Gdy wsu-
wał stopy w buty bez sznurowadeł, marynarz szepnął:

— Może się uda wykombinować papierosa...

Profesor przecząco kiwnął głową. „Jak to dobrze, że nie
palę” — pomyślał. Zdawał sobie bowiem sprawę, że w celi
jest bieda z papierosami.

Na korytarzu z przyjemnością wciągnął w płuca powie-
trze, które wydało mu się świeże.

Wprowadzono go do pokoju.

— Proszę usiąść — przyjął go jakiś młody człowiek.

Tutaj powietrze było naprawdę dobre, nawet zalatywał za-
pach perfum.

Twarz młodego człowieka miała odcień szarobłękitny, była
niewiele upudrowana. Przed chwilą chyba się golił. Zapach unosił
się z jego włosów. Starszy pan byłby może tego nie spostrzegł,
gdyby w ruchach młodzieńca coś nie przypominało zakładu fry-
zjerskiego.

— Nazwisko? — padło pytanie zza biurka.

Profesor powiedział, jak się nazywa.

— Data urodzenia?

I to powiedział.

Potem sędzia śledczy rozparł się w fotelu, rozłożył ramio-
na, przeciągnął się, poruszył łopatkami. Następnie opuścił rę-
ce, splótł dłonie za oparciem fotela i szczebiotliwym głosem
spytał:

— Czy powiedziałaś, że nasz wódz nie jest przywódcą
całego świata?

Po tych słowach obie dłonie zwinięte w pięści postawił
na biurku, na nich wsparł brodę i wlepił wzrok w profesora.

— Nie. Nie powiedziałem tego.

Młody człowiek pochylił się do przodu i udając wściekłość
krzyknął:

— Tylko uważaj! — i pogroził pięścią. — Prędko potra-
fimy ci przypomnieć!

Starszy pan gniewnie ściągnął brwi i nie odpowiedział.

Młody człowiek znowu oparł się o fotel.

— Nie pamiętasz? Było to na posiedzeniu rady wydziału nauk przyrodniczych uniwersytetu, dokładnie... — wysunął nieco szufladę i spojrzął na jakiś papier — dnia siódmego lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Hm? Byłeś na tym posiedzeniu?

— Nie pamiętam. Po przeszło trzech latach nie jestem w stanie takiej rzeczy pamiętać.

— Nie kręć, to nic nie pomoże. Odpowiadaj! Byłeś na tym posiedzeniu dnia siódmego lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku?

Nie pamiętam. Ale jeśli tego dnia było posiedzenie, to prawdopodobnie byłem obecny.

— Tak! I pamiętasz, że ktoś wprost tobie zadał pytanie: „Czy wiecie, profesorze, że nasz wódz jest przywódcą całego świata?”

— W jaki sposób doszło do zadania mnie osobiście takiego pytania?

— Tutaj, zapamiętaj to sobie, nie ty zadajesz pytania, lecz ja! Tym razem wyjątkowo odpowiem. Było to podczas przerwy. No?

— Nie pamiętam. Ale to możliwe.

— Aha! Czy po tym wszystkim przypominasz sobie własną odpowiedź?

— Nie.

— Mam cię, stary! Nie pamiętasz? No, dopomogę ci. — Znowu wysunął szufladę. — Odpowiedziałeś wtedy: „To nie należy do mojej specjalności”.

— To całkiem możliwe. Podtrzymuję swoje twierdzenie, że nie pamiętam, ale jeśli ktoś był łaskaw zadać mi podobne pytanie, to z całą pewnością tak odpowiedziałem. Na tego rodzaju pytania zawsze zwykłem dawać taką odpowiedź.

— Otóż to! A co nazywasz podobnym pytaniem?

— Gdy na przykład była mowa o boskiej wszechmocy lub wszechwiedzy...

— Jesteś religijny?

— Właśnie rzecz w tym, że nie. Na tego rodzaju sprawach nie znam się. Kiedy zaś nie znam się na czymś, nie lubię mówić „tak” albo „nie”. Nie znoszę dyskusji opartych na różnych wyjściowych przesłankach. Toteż uważam, że najlepiej w takich wypadkach od razu uciąć dyskusję. Dlatego odpowiadam: „To nie moja specjalność”, albo: „To nie leży w mojej kompetencji”. Jestem fizykiem. I właśnie dlatego materializm dialektyczny uważam za słuszny, że zgadza się z tym, co powiada fizyka.

— Hm.

Świeżo ogolony młody człowiek o wymiętej twarzy, rozciapierzonymi palcami przejechał sobie po włosach. W pokoju rozszedł się silniejszy zapach zakładu fryzjerskiego.

— No dobrze — rzekł młody człowiek, który zdaniem profesora nie był chyba starszy od jego słuchaczy. Wyjął kilka czystych kartek papieru z szuflady. — Proszę, oto cztery kartki — powiedział. — Pójdiesz do tamtego stolika w kącie, o tam — pokazał palcem — i napiszesz szczegółowe zeznanie. Opiszesz całą swoją działalność kontrrewolucyjną, szpiegowską, terrorystyczną i wymierzoną na szkodę społeczeństwa. Wymienisz człowieka, który ciebie wciągnął do tej organizacji, a także wyliczysz tych, których tyś z kolei namówił do działalności o celach szpiegowskich, terrorystycznych i przynoszących szkodę państwu. Trzy takie osoby wymienisz. — Podsunął kartki starszemu panu, a z szuflady wyjął giętką stalową linijkę.

— Przepraszam! Chciałbym w wyraźny sposób oświadczyć, że poza swoją specjalnością nigdy niczym się nie interesowałem. Może to był błąd. Ale nie zbrodnia. Proszę wezwać na świadka dyrektora instytutu. Albo moich słuchaczy. Kierownictwo młodzieżowej organizacji. Zresztą cytowana przez pana moja własna odpowiedź tego dowodzi. Wyłącznie...

— Jak dotychczas wszystko szło gładko. Ale dość już tego. Pisz. O reszcie pomówimy potem.

— Nie mam nic do pisania.

— Pisz!

— Ależ ja...

Giętka linijka ze stali po raz pierwszy spadła na ogoloną czaszkę starego człowieka. Uderzenie nie było bolesne, gdyż było wymierzone płaską stroną, ale mimo to z oczu profesora popłynęły łzy.

— Pisz!

— Nie wiem, co mógłbym napisać.

— O, nie wiesz? A jaki twój zawód?

— Profesor uniwersytetu. Fizyk.

— Jednym słowem nauczyciel.

— Tak, nauczyciel.

— Biłeś swoich uczniów?

— Ależ... To przecież dorośli młodzieńcy. Mniej więcej w pana wieku.

— Jednym słowem nie biłeś? W porządku. Ale ciebie bili kiedyś? Bili?

— Matka. Jeden raz. Kiedy miałem pięć lat... jeden jedyny raz...

— Tylko raz?

— Tak — odpowiedział profesor zdecydowanie. — Tylko raz. I tak się sama tego wstydziła, że później nigdy mnie już nie tknęła.

— A w szkole nie bili cię?

— Nie.

— Aha! Byłeś dobrym uczniem?

— Tak.

— No to kładź tutaj, na biurku. Teraz ja będę twoim nauczycielem. Na nowo nauczę cię pisać.

Stary człowiek nie ruszył się z krzesła na którym siedział.

— Namyśliłeś się? Przypomniało ci się, co masz napisać? Zrozumiałeś? Siadaj tam w kącie i pisz.

— Nie mam nic do pisania. To znaczy jeśli pan sobie życzy, to mogę dać na piśmie, że żadnego przestępstwa nie popełniłem. Polityką nie zajmowałem się. O tym, co mi zarzucają, nie mam najmniejszego pojęcia i nie zgadza się to z całym moim dotychczasowym życiem. Ja nigdy...

— To nie twoja specjalność, co? — roześmiał się młody człowiek i świsnął linijką przed nosem starszego pana.

— Absolutnie tak. To nie moja specjalność. Nigdy żadnego zainteresowania. Może to błąd... ale...

— Tośmy już słyszeli. Dość już tego głupiego udawania. No?

— Już powiedziałem.

— No to kładź się. Grzecznie, grzecznie, o tutaj, na biurku.

Stary człowiek sztywno siedział na krześle i nie ruszał się.

— Kłąć się! Czy ci się wciąż jeszcze zdaje, że gramy o fasole?. — Poprzez cienką warstewkę pudru na twarzy młodego człowieka przebił się rumieniec gniewu. — Kłąć się.

Stary człowiek wolno się podniósł i wygramolił się na biurko. Położył się tak, jak sobie wyobrażał, że chłopakom każą kłąć się w szkole, tylko spodni nie zsunął. W szkole sam nigdy nie widział, by bito dzieci. Na wsi, kiedy był malcem, mieli bardzo kochaną nauczycielkę i tylko słyszał, że podobno inni nauczyciele używają różgi. Położył się tak, jak mu się zdawało, że trzeba i dłońmi zakrył sobie oczy.

— Umiesz pisać?

Tak jak leżał, profesor tylko potrząsnął przecząco głową.

Giętka linijka świsnęła i uderzyła. Tym razem kantem.

— Będziesz pisał? — świsnęła po raz drugi.

— Umiesz pisać? — spadł cios po raz trzeci.

— Będziesz pisał? Umiesz pisać? Będziesz pisał? Umiesz pisać?

Łzy przestały już płynąć z oczu starca. Teraz był już silny. Wiedział, że nie będzie ani siebie, ani nikogo oczerniał. Nie potrzebował nawet dłońmi przyciskać powiek.

Gdy tak leżał na biurku, a uderzenia spadały mu to na plecy, to na kark, tuż przy swej głowie dostrzegł sporą popielniczkę. Pełna była wypalonych do połowy lub tylko ledwie zaczętych papierosów.

Popielatoszary na twarzy, woniejący fryzjerem i zdenerwowany funkcjonariusz bił gdzie popadnie, a czerwony z podniecenia starzec o prawie nagiej czasce ostrożnie poruszył ręką. Jakby przez całe życie nic innego nie robił, przesuwał powoli dłoń ku popielniczce. Chwilę odczekał, potem przykrył popielniczkę dłońią i zacisnął palce na niedopałkach.

— Umiesz pisać? Będziesz pisał? Umiesz pisać? Będziesz pisał?

Stary człowiek powoli dosunął rękę do kieszonki marynarki i wyspał do niej niedopałki. Do tej kieszonki, którą krawcy przeznaczają na cygara, a bikiniarze na barwne chusteczki. W tej kieszonce profesor od wielu dziesiątków lat nosił wieczne pióro, swego ukochanego „Watermana”, do chwili, gdy w czasie rewizji przed łaźnią zabrano mu go jako przedmiot, którego posiadanie jest w wielu powodów sprzeczne z przepisami więziennymi. Po pierwsze stalówka jest złota, a więc przedstawia wartość; po drugie służy do pisania, co jest surowo wzbronione; po trzecie jest przedmiotem metalowym, a więc może służyć jako narzędzie do przebijania murów, piłowania krat itp. A wreszcie nadaje się do popełnienia samobójstwa. Można je zatem uważać za przyrząd mogący ułatwić ucieczkę...

Uderzenia ledwie odczuwał. Nie był jednak w stanie zejść z biurka o własnych siłach. Młody człowiek zadzwonił na strażnika, który go ujął pod pachy.

— I mnie to męczy i tobie tylko szkodzi — powiedział wyčerpany młodzieniec. — Zastanów się do następnego spotkania.



Gdy powrócił do celi, współtowarzysze bez niepotrzebnej gadaniny oswobodzili dlań całą pryczę. Mimo, że właśnie na niej spało czterech ludzi. Starosta celi zaledwie rzucił w jego stronę okiem sponad partii szachów. Żadna komenda nie była potrzebna, wszystko szło gładko, ustalonym trybem.

Stary człowiek syknął z bólu i ułożył się na brzuchu. Tak leżał nieruchomo przez pół godziny. Potem skinął na marynarza, by podszedł bliżej.

Wielki mężczyzna schylił się i przystawił ucho do ust leżącego.

— Tu... w małej kieszonce... — wyszeptał profesor.

Marynarz nie rozumiał, o co chodzi.

— Wyjmij z kieszeni i rozdziel...

Marynarz wygrzebał z kieszonki nadpalone, pogniecione papierosy i najmniejszą nawet odrobinę wysypanego tytoniu. Potem na odwróconej szerokiej dłoni pokazał wszystkim podarunek.

Zapała cisza. Rozchodziła się po celi jak koła po wodzie, aż dotarła do najgłębszego kąta. Ta cisza była tak nagła i zupełna, że przeraziła spacerującego po korytarzu strażnika. Przypadł do drzwi i zapuścił wzrok przez judasza... nic szczególnego jednak nie spostrzegł. Stu siedemdziesięciu czterech więźniów nie uciekło, wszyscy żyli. Tylko nikt nic nie mówił. Ogarnęło ich pobożne milczenie, chociaż nie było groźby, która by tę gromadę potrafiła zmusić do zachowania ciszy...

Trwało to jednak zaledwie minutę. Po chwili znów krzyczeli, śmieli się, czymś się dzielili i o coś kłócili. Uspokojony strażnik podjął przerwany spacer.



Stary człowiek spał ze dwie lub trzy godziny. Gdy leżał bez ruchu, nie odczuwał żadnego bólu. Gdy się obudził, siedział przy nim spec od rachunku prawdopodobieństwa.

— Mamy trochę zimnej zupy — powiedział.

— Dziękuję, nie będę jadł.

— Rozumiem. Ale mamy cukier. Niech pan wypije trochę osłodzonej wody. Nawet nie będę pytał, czy pan chce.

Profesor wyszczył cudowny nektar.

— Czy mówienie nie sprawia panu trudności?

— Żadnej.

— To niech pan powie, jak się odbyło przesłuchanie? Wiadzę, że burzliwie. O co pana oskarżają?

— Na jakimś posiedzeniu powiedziałem, że nie do mojej specjalności należy wypowiedzianie się, kto jest przywódcą świata.

— Pan naturalnie zaprzeczył.

— Całkiem możliwe, że tak powiedziałem. Na pamiętam gdzie i kiedy, ale mogłem coś w tym rodzaju powiedzieć. Bez żadnej ukrytej myśli. Żeby natręt przestał zadawać mi pytania

i zostawił mnie w spokoju. Miałem zwyczaj tak właśnie odpowiadać.

— Oj, oj, profesorze! A tutaj, w celi, utrzymywał pan wobec mnie, żeś niewinny. Oj, oj! Ależ to zupełnie przepisowy dziesiąty punkt. Agitacja. Stanowi pan godny podziwu wyjątek, bo pan istotnie coś powiedział. Chytrzejszym od pana tylko się przypisuje jakieś powiedzenia. No, ale to drobiazg! Najwyżej dziesięć lat i nawet nie w najgorszym miejscu. Chociaż nigdy nie wiadomo... Może dostanie pan wszystkiego pięć lat? Jednym słowem przyznał się pan! Bardzo słusznie. Prędko będzie po wszystkim. Wobec takich metod...

— Powiedziałem, że mogłem coś takiego powiedzieć...

— Słusznie. Bo jakakolwiek jest ta metoda — Związek Radziecki i socjalizm to co innego. A więc... Nie najgorsze rozwiązanie... Ale wobec tego co znaczy to... — i wskazał plecy profesora.

— Ten młody człowiek w biurze żądał, bym wydał swoich współników. „Wspólników”! Słyszał kto coś podobnego?

— Jednym słowem: spisek? Wobec tego była także mowa o szkodnictwie, o szpiegostwie, i akcjach terrorystycznych?

— Kazał mi pisać.

— Rozumiem. Rozbieżność zdań — pokazał plecy profesora — z tego wynika?

— Wykalkulować to — mruknął gniewnie profesor — nie jest wielką sztuką.

— Dość wielką, drogi profesorze. Są bowiem tacy, którzy uważają sprzeciw za rzecz całkiem zbyteczną...

— Zbyteczną?

— ...i są zdania, że o wiele prościej jest podać jakieś nazwiska, najlepiej takich ludzi, o których wiedzą, że już tu się znajdują, że może już w ubiegłym roku...

— Czemu miałbym na kogoś rzucać oszczerstwa? Tym samym siebie bym pozbawił czci.

— Gdybyśmy wiedzieli, że bronić się ma jakkolwiek sens. Gdybyśmy byli pewni, że w tym wszystkim jest jakaś myśl przewodnia, jakaś racja. Ale tam, gdzie zatracił się wszelki sens, czyż nie jest grzechem poświęcać samego siebie przez trzymanie się takich norm sensu i moralności, które tutaj nie są respektowane? Tak stawiam pytanie.

— Czy radzi mi pan, bym się nie wahał przed oszczerstwem?

— Nie! Bo nawet w stosunku do siebie nie powzięłem jeszcze postanowienia. Ja na przykład „przyznałem się”, że otrzymałem pewien tajemniczy list. To się bardzo młodzieńcowi podoba.

bało. Następnie „przyznałem się”, że uczyniłem znak nakazany tym listem, co miało oznaczać zgodę. To także się spodobało. Dyskusja toczy się teraz wokół jednego punktu i z tego powodu wciąż trwa śledztwo w mojej sprawie. Ja twierdzę, że nie otrzymałem jeszcze znaku będącego rozkazem do działania, gdyż zapobiegła temu „czujność organów śledczych” przez aresztowanie mnie. Ten zwrot o czujności organów śledczych także zyskał uznanie. Nie podoba się natomiast to, że owa czujność nie dała mi czasu na wciągnięcie nowych członków do organizacji. Na tym teraz stoimy. Ale może się wykręcić.

— Rozstrzelają pana?

— Nie sądzę. Liczę na dziesięć lub piętnaście lat.

— To nazywa pan wykręceniem się?

— Tak. Nie odbiją mi nerek. A co dalej, to się okaże...

Dum spiro, spero! O ile się nie mylę, powiedział to Kartezjusz, większy od nas matematyk. Może by i pan spróbował wymyślić jakąś konstrukcję w rodzaju mojej. Mógłby pan nawet powtórzyć moją. Tyle jest spraw... zresztą oni sami niezbyt poważnie traktują te wszystkie zeznania.

— Chyba nie ucieknę się do budowania takiej konstrukcji... W każdym razie dziękuję za radę. Ale niech mi pan powie jedną rzecz. Wspomniał pan, że jest tu wielu członków partiii, tu, w naszej celi. Jak oni patrzą na te sprawy, na te zeznania?

— Nic nie wiedzą. Jeszcze mniej rozumieją niż my. Złe mówię! Tak samo nic nie rozumieją, jak my. Zresztą i ja jestem członkiem partii, od pięciu lat. Ale mam na myśli starych, doświadczonych bojowników.

— Przed chwilą powiedział pan, że oni jeszcze mniej rozumieją. Dlaczego?

— Bo doszukują się prawidłowości i nie mogą jej znaleźć. Ja także nie mogę znaleźć reguły. Co robię wobec tego? Uważam to wszystko za wyjątek. Tylko nie widzę, czym by udowodnić potrzebę tego wyjątku. Weźmy sprawę najprostszą: na co są potrzebne owe zeznania i przyznawania się do winy? Oczywiście na nic. Wobec tego, po co wymuszają je biciem, kiedy dziś są niepotrzebne, a w przyszłości nie będą stanowiły dowodu? A jednak, widzi pan...

— Tak prawdę mówiąc to nie usłyszałem od pana nic bardzo pociesającego, drogi panie — jęknął profesor.

Tamten podniósł obie ręce, potem bezsilnie opuścił je na kolana. Po chwili znów zabrał się do pracy. Zdobył skądś nowy kawałek stalowego drutu i wiercił w nim dziurę, żeby zrobić jeszcze jedną igłę...

Powtórzyły się przesłuchania i powtórzyło się wszystko. Starszy pan, jeśli zdołał dosięgnąć popielniczki i jeśli była pełna, za każdym razem przynosił niedopałki.

Teraz upominku nie przyjmowano już takim zdumionym milczeniem. Zdarzało się nawet, że ktoś bezczelny sięgał do kieszonki marynarki jeszcze po drodze, gdy staruszka prowadzona do pryczy. Jeśli kieszonka była pusta, rozlegał się pomruk niezadowolona. Jeśli zaś znajdowano zdobycz, nie było mowy o świętej ciszy, lecz wybuchały gniewne kłótnie, które z trudem uciszał strażnik, waląc wielkim kluczem w drzwi celi. Gdy chodziło o tytoń, ludzie przestawali się bać nawet ciemnicy. Ciemność? Urozmaicenie po wiecznie palącej się żarówce. Zimno? Przyjemne będzie po tym upale w celi. Wilgoć? To już nie jest dobre. Ale małe zapalenie płuc nawet by nie zawadziło. Albo skończy się śmiercią, albo lepszym odżywieniem w szpitalu. Ale widocznie i strażnicy o tym wiedzieli, bo się nie wtrącali do wewnętrznych spraw celi, nigdy nie przestępowali jej progu. W grę wchodziła odwieczna cecha strażników: przeceniali determinację więźniów.

A więzień, jakby nie było, zawsze ma iskierkę nadziei. Każdy wyszukuje choćby najmniejszą szpareczkę w zwartym murze rozpaczy. Nawet spec od rachunku prawdopodobieństwa...

— Może wszystko się jeszcze na dobre obróci — powiedział cicho siedząc na pryczy, na której leżał profesor. — Oprzytomnieją. Może w górze ktoś się wreszcie o tym dowie... Nic nie może wyjść poza własne granice. Nawet bezsens.

Ostatniego dnia marca, kiedy na dworze śnieg zaczynał już pachnieć wiosną, a w celi zaduch stłoczonych ciał stał się jeszcze gorętszy, znowu na literę A wezwano na przesłuchanie Andriana, tego samego, który przed dwoma zaledwie miesiącami był profesorem fizyki.

— Dobrze się rozejrzyj, staruszk — szepnął marynarz, który też był chory. — Sam już wiesz...

Tego dnia jednak profesor nie wrócił.

Nikt się temu nie dziwił.

Nazajutrz także nie powrócił. To się także zdarzało.

Trzeciego dnia zaczęto snuć domysły, co też się z nim stało. Marynarz był zdania, że zmarł.

Czwartego dnia spec od rachunku prawdopodobieństwa powiedział do marynarza:

Obawiam się, że masz słuszność. Ale być może, że zaprowadzono go do innej celi. To chyba najprawdopodobniejsze...

— Może być — zgodził się marynarz.

Nikt nigdy już nie widział starego profesora. Nawet nie wiadomo na pewno, czy umarł. A ziemia i ciała niebieskie poruszają się dalej według praw stwierdzonych przez jego dziedzinę wiedzy i nie zachwiały się na swych osiach.

EPILOG

Dzieje profesora Andriana opowiedział dalej XX Zjazd. Otrzymałem właśnie wiadomość, że odbyła się uroczystość nazwania imieniem profesora Andriana instytutu fizyki uniwersytetu w M.

(Przekład z węgierskiego)

Jozsef LENGYEL

TRAF W SEDNO!

**SZYBKIM PRZEKAZEM
PIENIĘŻNYM DO POLSKI**

TAZAB 22, ROLAND GARDENS • LONDON S.W.7

TEL.F.R.E. - 3175

Dziennik transatlantycki

Max Hölzer, poeta, ze mną, u Zuntza, przy stoliku, za oknem rzeška biel i neony senne Kurfürstendamm, on się skarży, mówi, ba, ba, do diabła, gdzie się nam zapodział geniusz, do diabła, tylu mieliśmy ludzi w filozofii, w sztuce, co to w ogóle nie raczyli nigdy dostrzec niczego poza sprawami bytu największymi, najbardziej zasadniczymi, a dziś, pytam, gdzie się podziała rasa tych *grands seigneurs*, nasza literatura wciąż przeżuwa wojnę i Hitlera i politykę, wciąż tylko porachunki demokracji z dyktaturą, do tego streściła się nam genialność..

Zmrok i samochody, biel i samochody Hölzer jest rozgoryczonym potomkiem Goethego i mówi Hitler, tak, Hitler, Hitler wciąż przesłania panoramę, to zwężenie, to ograniczenie, ta płachta czerwona, w którą uderza byk niemiecki... Zgadzam się z Hölzerem, myślę, że była genialność, wciąż obecna w szczytowych — byłych — osiągnięciach tych panów z pomników, owych *grands seigneurs* ducha germańskiego o niezrównanym rozmachu, drażni dzisiaj, dręczy, upokarza... *Göttliche Funke*, ba, ba, ale jak być genialnym, gdy się ma tyle spraw do załatwienia, telefon, radio, prasa, wymiana usług i produkcja, dzień za dniem produkcja, w której oni są, jak muchy w pajęczynie... I są jak ofiary jakiejś niestrudzonej akcji okrążającej... w Berlinie zbombardowanym, zniszczonym, odbudowanym pośpiesznie, w Berlinie pośpiesznym, tymczasowym, gdzie mur, gdzie zdruzgotana przeszłość, przyszłość... na tej wyspie będącej ex-stolicą... To miejsce zlikwidowane domaga się jakiegoś *novum* na wielką skalę, na miarę idealizmu niemieckiego, muzyki niemieckiej, ale nic oprócz telefonów, czynności, samochodów, biur i pracy, tylko ta sieć pajęcza, narastająca, wszechobejmująca. Nieraz o siód-

mej rano budziła mnie kanonada, widziałem z mego piętnastego piętra jak w chmurach pękały pociski przeciwlotnicze po stronie czerwonej, widziałem mur i helikoptery amerykańskie, żołnierzy angielskich, z nagłą rosło napięcie gdyż znowu zastrzelono śmiałka, który na wariata pędził poprzez pustkę, oddzielając mur od posterunków Zachodu. Więc jednak Historia? Otóż nie, nie to w Berlinie jest groźne, a tylko bieg spokojny codziennych czynności, tu demoniczna jest zwykłość i drobiazg.

Ale coś z tą genialnością? Zapytałem o Heideggera.

Odpowiedź była...

— Wpływ jego jest niewielki, ogranicza się do profesorów, dotąd nie wybaczone mu przedwojennych związków z nazizmem.

A więc polityka.

Wiele ruchów, wiele czynności osaczało nas w tej kawiarni — która była jak wszystkie, z tym jednak, że ruch niemiecki i niemiecka czynność są jakby z żelaza. Ktoś jadł szynkę. Kellnerki. Weszło kilkunastu panów, nastąpiło wzmożenie ruchu, połączono kilka stolików.

— A ci... Co to za jedni?

— Specjaliści.

— Od czego?

— Nie wiem.

— Dobrze, ale coś robi ten trup, te młody kościotrup siedzący z nimi...

— Trup?

— No tak, zamawia właśnie ginsodę.

Hölzer nie był zupełnie pewny, zapytał dla przyzwoitości „jaki trup?”, ale w końcu poniekąd zgodził się ze mną. — Jeśli by nawet siedział tam z nimi jaki trup — wyjaśniał pracowicie — to jednak niech pan weźmie pod uwagę, że oni, jako specjaliści, właściwie tak znów bardzo nie są tu obecni, można by nawet powiedzieć, że są nieobecni, bo ostatecznie specjalista istnieje na dobre tylko w swojej specjalności, więc ich nieobecność łagodzi niejako obecność trupa, który, aby tak się wyrazić, jest z nimi i nie jest. Mówił to wolno i może z pewnością wstrzemięźliwością, czy wahaniem, ja spojrziałem po sali, musiałem przyznać w duchu, że wszyscy tu na dobrą sprawę są... i nie są... albowiem, siedząc tutaj przy kawie, tkwili jednak gdzie indziej, każdy w swojej specjalności, w swoim biurze. Jednakże w Berlinie ta niepełność istnienia (zezwalająca na miraż, fatamorganę, perwersję i inne nadużycia), z którą tyle razy miałem do czynienia w Polsce, w Argentynie, miała w sobie całą powagę techniki niemieckiej i pracy niemieckiej,

sen mara, Bóg wiara, może i nie byli tak bardzo rzeczywisci, ale byli *urzeczywistniający*... rzeczywisci tedy w swoim oddziaływaniu, a nierzeczywisci w swoim istnieniu? Bo ja wiem. I może nie o to chodzi?...

— Oho — rzekł Hölzer — oto i Höllerer, szuka nas...

— Czy pan jest pewny — zapytałem — że Höllerer rzeczywiście wszedł i jest tutaj i nas szuka?...

— Oczywiście — odparł nieco zirytowany — przecież pan widzi i reszta dobrze pan wie, że ma nas zabrać na *Lesung* do uniwersytetu.

Rzeczywiście... Höllerer wszedł, Höllerer profesor, specjalista, teoretyk sztuki, naczelny organizator życia kulturalnego, redaktor ważnego kwartalnika *Akzente* i jeszcze jakiejś innej, bardziej specjalnej, publikacji, poświęconej, o ile mi było wiadomo, zgłębiającemu specyficznym badaniom eksperymentalnym, dotyczącym pewnych mechanizmów podświadomych wysłowienia! Jest to zawsze nieprzyzwoitość ze strony autora, gdy wprowadza osoby istniejące w rzeczywistości do tekstu, jak niniejszy, półrzeczywistego — i nawet gdyby obdarzył je najgorętszymi pochwałami — a to po prostu dlatego, że autor może sobie z nimi poczynać, jak mu się żywnie zechce, niczym Bóg, one zaś stają się jego twarami, bez prawa protestu. Mam jednak nadzieję, że moi przyjaciele berlińscy, Hölzer, Höllerer i inni, zechcą mi wybaczyć tę nieprzyzwoitość (która w danym wypadku jest jeszcze jaskrawsza, zważywszy, iż byłem gościem miasta i gościem Fundacji Forda) w myśl zasady, że ten, komu wiadomo, iż nie należy jeść ryby nożem, może jeść rybę nożem. Dość, że Höllerer po wypiciu z nami drinka rzeczywiście wsadził nas do samochodu i zawiózł na to *Lesung* do dzielnicy mnie dotąd nieznannej, ogród jakiś, w nim gmachy i drzewa, wszystko komfortowe, samochody studentów zalegały wolną przestrzeń parku, weszliśmy do sporej sali, zasiedliśmy na podium, Höllerer jako przewodniczący, Hölzer, pan Berlevi, panna Ingrid Weikert, Klaus Völker: przed nami rzędy krzesel, na nich studenci, pilne, spokojne ich głowy, oklaski. — O co chodzi? — pytałem, gdyż słowo *Lesung* było mi obce.

— Nic wielkiego. Odczyta pan po niemiecku kilka fragmentów ze swoich książek.

— Ależ moja wymowa...

— Nic nie szkodzi.

— Ależ ja nie będę rozumiał... i oni także...

— Wszystko jedno. Jest pan cudzoziemskim autorem, przebywającym w Berlinie, więc to jest akt kurtuazji z naszej strony wobec pana, a także rzecz wskazana z punktu widzenia mię-

dzynarodowego współżycia kulturalnego nie mówiąc już o wzbogaceniu i ożywieniu programu studiów. Potem Hölder odczyta kilka swoich wierszy i będzie dyskusja.

Zastanowiłem się błyskawicznie, w jakiej to sytuacji znalazłem się wraz z Hölderem. Należał on do ludzi, wzbudzających zaufanie, nie wątpiłem że jako profesor musiał być wybitnym profesorem, a jako organizator doskonałym organizatorem, niemiecka zdolność była mu z oczu, z ruchów, ze słów... wiedziałem, że znalazłem się w rękach zręcznych, sprawnych i wytrwałych. Ale Hölder miał jeszcze tę cechę, że był tyleż profesorem, co studentem, miał, widać to było, wesołą duszę burza, gdy zbliżałeś się do domu w którym odbywało się zebranie towarzyskie z udziałem Höllera, już z daleka przez okno dobiegał jego śmiech rozgłośny i studencki. Tego to śmiechu wyzwalającego oczekiwałem teraz — gdyż, rzecz jasna, on też nie mógł odnieść się na serio do mej sytuacji, tu, wobec tych studentów, wobec owego *Lesung*, cała niemożliwość tego przedsięwzięcia była mu na pewno doskonale znana... Ale, mocą owego podziału ról, tak niemieckiego, on w obliczu swoich studentów zatracił studenta w sobie, stał się tylko profesorem i zasiadał na podium gotów do zagajenia sesji. Zrozumieć, proszę, moją sytuację. Byłem u kresu... może nie tyle sił, ile rzeczywistości... Od czasu gdy opuścił Argentynę, Europa wsysała mnie, jak wsysa próżnia. Zagubiony w krajach, miastach, tłumach, byłem jak wędrowiec, wchłaniany przez górskie perspektywy. Dobiwszy do miasta-wyspy, do miasta-chimery, śmierć własną wyczułem w polskich woniach Tiergartenu. Osłabiony tą śmiercią od wewnątrz, musiałem sprostać śmierci utajonej miasta, które śmierć zadało i śmierć otrzymało. I całe moje życie tutaj jakże było utrudnione, gdy u Zuntza, próbował wyjęczyć się, dać coś z siebie, gdy uczestniczył w wielojęzycznych i międzynarodowych przyjęciach, kolacjach, gdy próbował przedrzeć się przez dziwaczne mgły, opary tej dziwnej krainy, tego teatru jak góra spowitego w chmury, o prawdzie wciąż niedocieczonej, o nieodszyfrowanym hieroglifie. A jednocześnie, i jakby na przekór, rzeczywistość Berlina, rzeczywistość każdej sceny, każdej sytuacji, wydawała się coraz bardziej, coraz rzetelniej solidna — och, ta ich zdolność do urzeczywistniania, wsparta na nicości! Weźmy, tytułem przykładu scenę, która teraz miała miejsce: szkoda gadać, *Lesung* odbędzie się jak najsolidniej, wszystko poczawszy od okien i klamek a skończywszy na głowach studenckich świadczyło o dobrej robocie, och, głowy studentów, pilne, rozważne, spokojne, och, ciała ich krzepkie, zdrowe, z bloczkami do notowania i, och, Höller na katedrze,

jak kapelmistrz! Jedyną więc nadzieją moją był śmiech jego i ja Ferdurdurke, u kresu mojej podróży mogłem liczyć tylko na jego śmiech burszowski, studencki, swobodny, rozwalający wszystko! Gdzie tam! Role zostały podzielone. Sytuacja była zorganizowana, rozłamała się na studentów i profesora. Höller był poważny i przystąpił do zagajenia, przedstawia mnie, kłaniam się, oklaski, daje mi zakreśloną stronę mojej Ferdurdurki do odczytania, odmawiam

odmawiam

odmawiam

krótkie zagmatwanie, chwilowe zahamowanie, wreszcie, na prośbę Höllera, Klaus Völker czyta

słucham i nie słucham

siedzę i jestem, ale nie jestem

czytanie

wszystko odbywa się sprawnie

jestem?

Oni są?

Słucham niby to

a tam gdzieś w górze hak był, wbity, wbity, wbity w ścianę, ale nie w tę chyba, chyba w tamtą, i ten hak tkwił, ale może nie tutaj, tam, jakże trudno wiedzieć coś w górach, w chmurze, we mgle

gdy tu, na nizinach, wszystko odbywało się tak sprawnie, z tak niesamowitą wiarą w rzeczywistość tego co się robi, iż ja umierałem

koniec, oklaski, uśmiecham się, niemożliwość uśmiechu mego mnie unicestwia

wtenczas Hölder przystępuje do odczytywania swoich wierszy, czyta, oklaski, uśmiecha się, siada

Höllerer, Berlevi, Hölder, Klaus Völker rozpoczynają dyskusję, dyskusja

dyskusja

Höllerer przemawiał, jako profesor i tylko jako profesor, w ramach Funkcji. Berlevi, jako Polak i jako przedwojenny futurysta warszawski i jako malarz, przygotowujący wystawę i jako zaproszony przez Höllera. Hölder, jako poeta i jako biorący udział... Völker, jako młody literat.

Nie powiem, żeby mnie specjalnie przerażało, gdy widzę, na przykład, pięciu Niemców z ośmioma maszynami, zatrudnionych przy budowie domu. Owszem, ta pasja urzeczywistniania, nieustępliwa, choć tak spokojniutka, dobrodusznna, może niepokoić... ale o ileż groźniejsze jest widzieć ich urzeczywistniających się w czymś bardziej chimerycznym, w Kulturze...

Wiedziałem, że Berlin, organizując swoje życie duchowe i intelektualne, pełny jest sesji, zjazdów, zlotów, wystaw, odczytów, seminariów itd. itd., wszystko — funkcjonalne, wszystko zrobione jak gdyby nikt nigdy nie mógł podać w wątpliwość tej roboty... dużo by gadać, gdybym chciał opowiedzieć, co wiedziałem, na co się natknąłem, ową, przede wszystkim, niesamowitą lojalność Niemca zatrudnionego w Kulturze, lojalność o tyle przedziwną, że idącą w parze z najbardziej przenikliwym sceptycyzmem... Taki Höllerer... przecież on wiedział nie gorzej ode mnie, że tu oto nierzeczywistość się urzeczywistnia... a przecież nie wahał się działać, funkcjonować, podobny aktorom, którzy zadają mieczem ciosy z całej siły, rzeczywiste tylko od strony tego co je zadaje, nierzeczywiste w skutku swoim, będące jakimś połowicznym, niepełnym stwarzaniem... I wciąż oczekiwałem, że wybuch nieokiełznanego, studentkiego śmiechu profesora po prostu zlikwiduje sesję, zniszczy, zburzy, a jednak Höllerer z przyczyn mnie nieznanych, a chyba najdoskonalej niemieckich, nie ustępował ani na jotę w swej powadze.

Ale ja byłem już zanadto nadwątlony w mym istnieniu, musiałem się bronić, nie chciałem umierać, postanowiłem tedy dać znak życia, ale jak, ale co tu robić, dyskusja wciąż się toczy... i naraz, jak byłem, z tą moją niemczyzną ledwie coś tam bełkoczącą, poprosiłem o głos, wtargnąłem w dyskusję, zacząłem przemawiać.

Przemawiam do wypełnionej sali, słuchają. Bezczelna nieistotność mojego bełkotu stała się od razu niepojęta, straciłem wątek, było to nizanie słów przypadkowych, byle mówić, byle dobrnąć, słowa wykręcały, rzucały mną siak, owak, roztrzęsiony, zataczający się, czepiający się słów, pijak, wariat, głupek, niezrozumiały dla nich, dla siebie, mówiłem, mówiłem, i tym gwałtowniej, z tym gwałtowniejszą gestykulacją, im bardziej byłem bez sensu, bez wątku, bez treści. I widzę, ku własnemu przerażeniu, że sala, pod przewodem niewzruszonego Höllerera, mnie słucha! Tak, pilne, spokojne, niewzruszone głowy studentów wysłuchujące mnie, rzekłbym, niezłomnie, i moja anarchia zapadająca w ich wyteżoną najspokojniej wolę porządku, sensu, organizacji. Bezsens przyjmowany jako sens! Szaleństwo przerażające momentalnie na coś podporządkowanego normie, na coś *normalnego*. Czyż więc gotowi byli przyjąć w siebie wszystkie szaty świata by je, między sobą, urabiać... tak bardzo pochłonięci sobą, zamknięci w sobie, że nie było rozpasania, które by mogło ich zakłócić?

Berlevi?

Poczułem, że nie mogę dłużej przemawiać po pijanemu do

tej skały niemieckiej. Ale tu, o kilka krzeseł, był pan Berlevi, warszawiak przecież, przedwojenny futurysta z Ziemiańskiej, z Lourse'a, ba, krajan, luźniejszy jakiś niby szpara w tej nieubłaganej jednolitości, coś jak drzwi uchylone, jak jakieś zmiękczenie... i ja tędy mógłbym się wymknąć...

Zwróciłem się więc wprost do niego i z pasją czyniłem mu jakieś wyrzuty niepojęte, wsiadłem na niego ostro, wdałem się w jakąś potężną polemikę poza granicami sensu, gdzieś w absurdzie, to zaś grażyło się w nim, jak w poduszce, powoli obie głowy nasze ogarnął sen i pierwszy zasnął Berlevi, ja zaraz potem, prawie jak po wódce, w knajpie, gdy się gada żeby gadać w słodkim odurzeniu, było nie było, jeszcze kieliszczyk, co tam, która godzina, jeszcze go raz!... Jeszcze jednego! Bo, uważa pan, tylko dopodskórna kwietyzacja aglomeracji ujętej antropoidalnie nalej przepij wypij co już trzecia chodźmy zaraz surrealizm socjologii ta butelka szpulka no to jeszcze go za-s-y-milo-wać tee cieie sznaps sznaps sznaps.

Niestety! Obaj z Berlevim upiliśmy się do nieprzytomności.

Tymczasem rozległy się oklaski, studenci wstawali, Höllerer w krótkim przemówieniu podziękował Hölzerowi i mnie, *Lesung* było skończone. Wstałem, podziękowałem ukłonem i też zacząłem wychodzić, ale wychodzenie moje jakoś zaczęło się przedłużać, wychodziłem i wychodziłem, a wyjść nie mogłem, chciało mi się krzyżeć, nie mogłem, postanowiłem już zwrócić się do kogoś ze skargą, że cóż to, wychodzę i wychodzę, wyjść nie mogę, ale już nikogo nie było, dziwne — pomyślałem — co za miasto gdzie czynności rozciągają się, jak z gumy, i są jak pałapki. W tym Höllerera ujrzałem, stał pod ścianą, śmiech swój miał pod pachą, jak teczkę... i był jakiś inny. Przyjrzałem się lepiej... był ciężki... cięższy od wszystkiego, co mogłem sobie wyobrazić, jakby zrobiony z materii owych gwiazd umarłych, skoncentrowanych, będących jak kule w czarnych zakątkach kosmosu, pomyślałem że cóż to znowu, dlaczego on taki, co mu się stało?... A on stał i ciężył wytrzymując ciężar swój... ciężył... A dalej trochę stał senator Arndt zawsze bardzo mi życzliwy, ale był to raczej jakiś jego wariant i tak strasznie odległy od niego samego, że, na dobrą sprawę, był to on i nie on... Pomyślałem że, jednak, jak to oni umieją odbiec od siebie daleko, daleko, i ziemia usunęła mi się spod nóg, w szale dumy, w rozmachu potęgi, znalazłem się gdzieś w systemie słonecznym i pomyślałem oooo, co to, kilka rozpędzonych mas ognistych przeleciało w furii i poszło, a płacz, rozpacz, łkanie dały się słyszeć. Czyżby, pomyślałem, czyżby, jak to z nimi trzeba uważać, najwyraźniej to nie jest rasa ziemską, jak

się zdaje im ziemia nie wystarcza, ani ziemia, ani człowiek, mają szersze aspiracje... Łkanie. Rozpacz. Żal. W tym sympatyczną i młodą panią Kurpiers ujrzałem, ale przez teleskop w niepojętej dali, a ona też patrzyła na mnie przez teleskop i płakała przez teleskop i mówiła och, proszę zrozumieć nasz ból i naszą mękę, my wciąż musimy iść i iść i oddalać się od siebie i porzucać siebie w przestrzeni, która się nie kończy, która nie jest ziemską, która jest poza... Dość. Nie będę przedłużał tych metafor, wizji itd. Dość. Może to i nudne. Udało mi się w końcu wydostać się z tego i wrócić do mego pięknego mieszkania na Bartningallee, naprzeciwko *Akademie der Kunst*. Rzuciłem się w ubraniu na łóżko i zasnąłem.

N. opowiadał mi (nie on jeden) o amerykańskiej Berlinie. Mówił: — Myśmy po tej katastrofie tak bardzo potrzebowali Ameryki... i bardziej jej ducha, niż jej siły militarnej i jej dolarów. Ameryka przesunęła się po nas, jak walec, wyrównując, demokratyzując, upraszczając. Zlikwidowaliśmy resztki naszych wieżyc ze sztandarami, dumnie powiewającymi, całą metafizykę, wszystek romantyzm, mgły, chmury wysokie, a za to dotknęliśmy stopą ziemi, i ukazała się nam konkretność zwykłego życia i zwykłej czynności.

Nie wspominałem ani słowem o przygodach moich... jak wyżej opisana... które by świadczyły raczej, iż rzeczywistość w Berlinie nie należy do najbardziej ustalonych i wyklarowanych... Owszem, na powierzchni wszystko jest, powtarzam, niezwykle solidne... ale istnieją piwnice i w tych to piwnicach rzeczywistość dostaje się im w ręce, jak królik laboratoryjny, jak guma, którą się urabia, prawie, można by powiedzieć, przemienia się w coś *wytwarzanego*, jak każdy inny produkt...

Ewa Bechmann mówiła mi: — Nic tak nie uspakaja po Paryżu, jak widok berlińczyka pijącego kawę na werandzie kawiarni w dzień letni. On i jego kawa — to coś jak absolut.

Owszem. Tylko... czy oni są naprawdę ludźmi? Owszem, są — i bardzo ludzcy — ale jednocześnie są ludźmi w jakiś sposób nieograniczonymi, nie ludźmi już prawie, a istotami dla których forma „człowiek” jest tylko przypadkiem i fazą przejściową. Nie dowierzałbym znowu amerykanizacji Berlina. Wygaśnięcie w tym pokoleniu rasy *grands seigneurs* dających susy karkołomne w Przepaść Istnienia bynajmniej mnie nie uspakaja. Wprost przeciwnie. To, że Hegel śpi sobie spokojnie na cmentarzu we Wschodnim Berlinie nie jest żadną gwarancją odnośnie do absolutu kawy, ciastek, lub np. konfekcji męskiej i damskiej. Ja, gdybym był w Berlinie kawą lub ciastkiem, nie czułbym się zbyt pewnie.

Ich niepokój metafizyczny, nie znajduje już ujścia w świadomości genialnych jednostek i błąka się samopas, jak duch wygnany, szukając wyrazu w zestawieniach ludzi, w kombinacjach życia zbiorowego, w formach przewyższających jednostkę. A gdyby to miało okazać się najważniejsze dla nadchodzącej, nowej Europy?

Olbrzymie wzmoczenie ilości istot ludzkich gotowe umożliwić powstawanie tych nowych bóstw.



Polityka. Ekonomia. Co chwila słyzy się o tym, tylko o tym. Trzeźwość. Rzeczowość. A ja zapytuję co by było, gdyby tak się okazało, że oni oddają się naprawdę czemuś zupełnie innemu...

Produkują? Pewnie. Ale jeśli Francuz pracuje żeby coś zrobić, oni pracują dla samej roboty.

Byłbym nawet skłonny przypuścić, że imponujące ich osiągnięcia materialne stały się możliwe dlatego, że to ich zanadto nie interesowało.

Ile z tego, co mi się nasuwa, pochodzi z mojej choroby? Ile z choroby Berlina? To miasto jest pod pewnymi względami tak do mnie podobne, że sam już nie wiem, gdzie ja się kończę, gdzie ono się zaczyna.



Brakowało mi w Berlinie kawiarni artystycznej; czegoś w rodzaju Ziemiańskiej, lub Zodiaka, w dawnej Warszawie. Redaktorowi Jaesrichowi spodobała się ta myśl, postanowiliśmy rozpocząć urzędowanie we wtorki i czwartki, w kawiarni Zuntz, zawiadomiliśmy przyjaciół, znajomych. Z początku bywało sporo luda, zdawało się, że odżywają powoli tradycje słynnych tego rodzaju kawiarni berlińskich. Artyści zagraniczni, zaproszeni przez Fundację Forda, też tu zaglądali, a z pisarzy niemieckich Günter Grass, Uve Johnson, czasem Peter Weis... Nie trwało to długo. Po paru miesiącach zredukowało się wszystko do mego stolika, który przetrwał więcej niż pół roku, po czym szczeł... Przypuszczam, że gdyby ta inicjatywa była bardziej ich, wewnętrzna, mniej międzynarodowa, utrzymałaby się nieco dłużej — ale chyba niewiele dłużej. Wydało mi się, że oni na ogół nie chcą się udzielać, wymiana myśli, jakkolwiek inna wymiana, nie bardzo były im potrzebne, każdy wiedział swoje a to, co wiedział, wyrażał tym, co produkował: książki,

artykuły, obrazy, lub inna działalność. Powszechny sceptycyzm odnośnie do wszelkiego zetknięcia bezpośredniego, nie w ramach określonego zadania. Ich wzrok spotykał się, ale zawsze na czymś, nigdy w ten sposób żeby oczy zagłębiły się w oczy.

Prof. Hasenclever zaprosił mnie na pogadankę z jego studentami — ze studentami *Literarische Colloquium*. Nauczają tam dość dziwnej wiedzy: jak pisać, jak zostać pisarzem. Młodzi pisarze czujący wolę Bożą do literatury studiują tam technikę kompozycji, wyrazu artystycznego, opisu, akcji, diabli wiedzą, może nawet techniki natchnienia. Piękna willa nad Wannsee oraz wspaniałe pomieszczenie w centrum miasta stanowią materialną oprawę tego szczególnego eksperymentu, jedyne bodaj w swoim rodzaju. *Veni, vidi...*, i powiedziałem *primo* że jeśli chcą być pisarzami powinni stąd uciekać drzwiami i oknami, *secundo* żeby nie dali się uwieść Butorowi, który będzie ich mamił cudami *nouveau roman français*, tudzież innymi teoriami. Zarówno prof. Hasenclever, jak i jego studenci, przyjęli moje rady z wielkim (o ile mogę sądzić) zadowoleniem, nie pozbawionym uciechy. To naprawdę dziwne: wszyscy oni po uszy tkwią w nauce, w technice, scjentyzm wdziera się im nawet w dziedzinę, które dotąd były rezerwatem swobody ludzkiej, a przecież co chwila słyszę ich śmiech wywalający, i czuję że są, gdzieś, jakoś, moimi sprzymierzeńcami.

Butor był dla mnie niezmiernie pocziwy, odwiedzał mnie, gdy wylizywałem się z grypsu moich — ja odpłaciłem mu się atakami, wycelowanymi w najdroższe jego *creda* artystyczne. Brzydko? Ależ uważam, że jeśli każdy artysta musi, choćby nie chciał, być zjawiskiem dramatycznym (bo sztuka pogłębia), to chwilowe nawet zetknięcia artystów też nie mogą być w guście letniej i mdłej zupki. Przeklęte potomstwo Joyce'a! Przeklęci jak on, ci co to powolutku, niewzruszenie, uprawiają literaturę dla literatury, wywindowaną, ezoteryczną, wspartą na gronie wtajemniczonych, gdy ja się nudzę, omdleвам, usycham!

Ale nie tylko Butor, nie tylko Berlin... Cała Europa wglądała mi na konia, który dobrowolnie wchodzi w chomąto... Posłuszni, potulni, pełni dobrej woli wobec teorii, konstruktywni, pozytywni, metodyczni, cerebralni... Och, pustynio!

Witold GOMBROWICZ

Notatki

Świat był nieobjęty a ludzi było za wiele. Żyłem w ciągłym naiwnym zdumieniu. I nie byłem pewny czy sądząc otaczającą mnie niesamowitą sprzeciwiam się ziarnu obłądzenia, które jest u sedna ludzkiej egzystencji, czy też cechom określonej cywilizacji. Być może sama witalność zawsze wreszcie zmuszała mnie wybrać to drugie.

Energia powinna natrafiać na opór, to ją ćwicz, to ją ocala. Jeżeli jednak stoi się przed olbrzymią, litą ścianą, na której ani jednej chropowatości, ani jednej szczeliny, jest to już więcej niż opór i za dużo. Energia wtedy zwraca się do wewnątrz, zjada samą siebie i człowiek zapytuje: „Może ściany w ogóle nie ma? Może to moje złudzenie? Może to wszystko moja wina i powinienem się przystosować?”

Młody nauczyciel matematyki z którym się zaprzyjaźniłem, pokazał mi jeden ze swoich wierszy. Wiersz o człowieku, który na próżno usiłuje wydostać się z ciemnej studni. A na końcu okazuje się, że ten człowiek jest s y n e m budowniczego studni.

Moje zafascynowanie Robinsonem Jeffersem stąd pochodzi, że jego założenia były błędne i bluźniercze. Egzemplifikuje on prawo opóźnienia dwóch literatur, amerykańskiej i rosyjskiej, które, przejmując z zachodniej Europy problemy i motywy, nadawały im większą ostrość i dobitność. Toteż wszechświat Jeffersa, w którym człowiek jest zaprzeczony przez nieskończenie rozciągłą, newtonowską, przestrzeń i przez odarty z ludzkiego znaczenia czas, układający się w cykle wiecznego powrotu, jest wszechświatem wszystkich dziewiętnastowiecznych męczenników. Zarazem Jef-

fers wyrażał najpełniej to nieszczęście, które od święta nosi nazwę krzepkiego indywidualizmu.

W krajobrazie taśm z cementu, żużli, pogruchotanej blachy samochodowych cmentarzysk, we mgle purpurowej od migających świateł, olbrzymi neonowy napis, tych rozmiarów co reklamy piwa: *God is love*. I to dosyć, żeby się przekonać, że niezależnie od wszelkich ekumenicznych uprzejmości, dzieje protestantyzmu są skończone. A najdziwniejsze, że wewnętrzna logika, która do tego doprowadziła, nie była bez związku z walką protestantów przeciwko ohydному przesądowi papistów: wierze w świętych obcowanie. Co wydawało się postulatem rozumu okazało się najlepszym środkiem znieczulenia na czas i pobratymcze następstwo pokoleń. Potem są już tylko synowie pastorów — Nietzsche, Jeffers — nienawidzący chrześcijaństwa tzn. wskrzeszający grecki obraz historii jako zamkniętego koła.

Niech to będzie już truizm, ale spokojne pogodzenie się z nim jest niemożliwe: z tą myślą, że miliony ludzi odczuwają swoje życie jako okaleczone i pozbawione — choć czego pozbawione, nie wiedzą — a kiedy próbują coś wyrazić wydobywa się z ich ust tylko bełkot ślepej nienawiści i agresji. Następnie umierają i kto ośmieli się ważyć na szali dobra i zła ich biedne dusze?

Zawsze pamiętam tę wysoką lekcję moralną, jaką dostałem w jesieni 1944 roku wążając się po wiosce pod Skiernewicami. Kaczki taplały się w kałuży na środku wiejskiej ulicy, przyglądałem się im i zapytałem starego człowieka siedzącego na ławce przed chatą: „Dlaczego one ciągle tu, a nie idą do rzeki? (a rzeka w olszynach płynęła o jakieś sto metrów od tego miejsca). Odpowiedział: „Ba, żeby one wiedziały!”

Moje życie było triumfalne, nie dlatego, że brakło w nim zła i przegranych, ale dlatego, że mogłem widzieć na własne oczy jak spełnia się powoli to co było niejasną zapowiedzią i jak rozpada się to w czym podejrzewałem fałszywą wielkość. Ukryta struktura rzeczywistości jest rozumna. Tak twierdzić w przerażającym stuleciu, to dużo. Niemniej nigdy niemal, z wyjątkiem krótkich chwil, nie opuszczało mnie przekonanie, że absurd prędzej czy później przegrywa i to różniło mnie od moich zrozpaczonych współczesnych. Sama niemożliwa do nazwania, do-

stępna tylko dla intuicji, tkanka ruchu wydawała mi się cudowna.

Nie filozofia, doświadczenie. Byłem świadkiem i uczestnikiem bolesnego wyłamywania się z dziewiętnastowiecznej niewoli, co jeszcze nie nastąpiło całkowicie ale nastąpi. Któż z nas na przykład, kilku poetów debiutujących około r. 1930 mógł wiedzieć (odgadywać to nie to samo), że czego poszukiwaliśmy na oślep będzie podjęte bardziej świadomie przez naszych następców.

Sztuka przeciwko myśli, która została przechwycona, oddzielona od wyobraźni, skazana na nędzną dietę scjencycznych przesądów, skuta wulgaryzacją. Być może ten dylemat całego dziewiętnastego wieku najbardziej tragicznego wymiaru osiągnął u rosyjskich poetów urodzonych około 1890 roku: Anny Achmatowej, Borysa Pasternaka, Mariny Cwietajewej. Nie mieli oni nic prócz wiary w swojego dajmoniona, władczego, zazdrosnego, niszczącego ich ludzkie szczęście żeby powstało dzieło, to był ich Święty Jerzy walczący ze smokiem. Ale smok, ten sam który pokonał Baudelaire'a i Rimbauda, był jeszcze mocniejszy, głów i kłów mu przybyło.

Nowocześni artyści mają pochlebne wyobrażenia o grzechu, ponieważ cnota jest podporą ustalonego społecznego porządku. W ten sposób starają się zapomnieć o moralnych sprzecznościach swojej profesji. Sztuka rodzi się z pragnienia dobra, ale pomysł i forma wymagają tej wiary w siebie, która pochodzi z zakochania w zręczności własnego umysłu. Przeciwwstawioną całemu światu władczość podtrzymują pycha, pogarda, arogancja, gniew. Mówi się, że nie zasługujemy na Piekło, bo dzieło okupuje winy, ale może jest to jeszcze jeden sentymentalny przesąd.

*Ustawią tam ekrany i nasze życie
Będzie się ukazywać od początku do końca
Ze wszystkim co zdolałiśmy zapomnieć, jak się zdawało, na* [zawsze
*I strojami epoki, które byłyby tylko śmieszne i żałosne
Gdybyśmy to my ich nie nosili, a żadnych innych.
Armageddon mężczyzn i kobiet. Na próżno krzyżeć: ja ich* [kochałem,
Każde wydawało mi się dzieckiem takowym i spragnionym [pieszczot,

Lubiłem plaże, pływalnie i kliniki
 Bo tam oni kość mojej kości, mięso mego mięsa.
 Litowałem się nad nimi i sobą ale to nie obroni.
 Skończono jest słowo i myśl, przesunięcie szklanki,
 Odwrócenie głowy, palce rozpinające suknię, błazeństwo,
 Oszukańczy gest, kontemplacja obłoków,
 Zabójstwo dla wygody: tylko to.
 I cóż z tego, że odchodzą dzwoniąc dzwoneczkami
 U kostek, że wkraczają tak powoli w ogień
 Który zabrał ich i mnie? Gryź, jeżeli masz, palce
 I znów oglądaj co było, od początku do końca.

Okropność zawsze dla mnie czała się tuż pod powierzchnią
 codziennej krzątania, obyczajów, ustrojów, słówek, uśmiechów,
 a lata wojny nie były niczym innym jak jej ujawnieniem. Póź-
 niej, w jakimś kraju, w jakimś mieście, zatrzymałem się w
 środku rojowiska i mówiłem: „Zadnych wybredzań! Jeżeli to
 jeszcze trwa ten jeden dzień, to i tak już dobrze”.

Zaprzeczając istnieniu Boga dlatego, że nikt dobry nie wy-
 myśliłby świata w którym żywe istoty są poddawane takim tor-
 turom, traktujemy to jako akt, który może coś zmienić tj. ma-
 my nadzieję Boga zawstydzić.

Zaraz po wojnie Kazimierz Wyka próbując nazwać pewne
 pokolenie mówił o „zarażonych śmiercią”. Ale człowiek zapo-
 mina i to tak bardzo, że stopniowo zaczyna wątpić o realności
 tego co widział na własne oczy. Wie, że to zapomnianie jest
 świństwem, gdyby jednak myślał ciągle „o tym”, wszystko, poza
 tą jedną sprawą, byłoby dla niego bezsenssem. Dlatego wartości-
 wa poezja i proza powstawały na tej niejasnej granicy, gdzie
 już się zapomina a jeszcze się pamięta.

Zmieniał się język a my z nim razem. Przypomnij.
 Kiedy miałeś lat dziesięć, jak wåsaci rozprawiali klepiąc konie
 Albo ładując rusznice, jak śpiewała gitara
 Na ganku za olszyną. Albo i ci drudzy,
 W twoim wieku młodzieńczym, pokpiwający z tamtych,
 Nowocześni, zapalczywi na estradach. Wszyscy oni
 Są już zrównani, wachlarz, znak Pogoni, trąbka myśliwska,

Model dynamomaszyny leżą u ich węzłowania
 I Jakub Jasiński porozumiewa się z Lilian Gish, gwiazdą filmu,
 Mową grzechotliwą, bardzo staccato.
 Ale obłoki jak płynęły tak płyną
 Porównywane do coraz to nowych rzeczy dotykanych ręką,
 Do zasłon jedwabnych, draperii z aksamitu, piór,
 I siła która spaja mężczyzn i kobiety
 W szekspirowskiego zwierza z dwójgiem pleców
 Pozostaje sprawą ciemną, jakiegokolwiek nada się imiona.
 A jeżeli w letnią noc łódki na jeziorze
 I niegłośną pieśń, trzymanie się za ręce
 Przechowuje twoja strojna i ginąca pamięć,
 Ani takie to było jak raz się wydało
 Ani takie jak teraz układasz w opowieść.

Mężczyźni i kobiety noszą w swojej wyobraźni obraz i
 siebie i innych jako istot seksualnych i często jedynie to ich
 ucłowiecza. Organy seksualne przypominają o nietrwałości, kru-
 chości, niebezpieczeństwie istnienia, miłość i śmierć nie dar-
 mo zawsze były łączone. Gardłowe intonacje, chichoty, pożąd-
 liwość oczu niech więc mają naszą pochwałę. Aseksualna wy-
 obraźnia to groza abstrakcji, mijanie się nakręconych lalek, za-
 proszenie do ludobójstwa. Ale możliwy i potrzebny jest mo-
 ment kiedy zbiorowisko mężczyzn i kobiet ukazuje się w swo-
 jej postaci dziecinnej, niedojrzałej, z całą chytrą nieporadnoś-
 cią ich wybiegów. Wtedy lęk wobec tego co nazywa się Je-
 monizmem płci czyli wobec Natury wyśmiewającej nasze war-
 tości zostaje złagodzony przez litość i humor, pojawia się bra-
 terstwo, przebłysk utraconego raju.

Może powieść stała się niemożliwa dlatego także, że kon-
 trast pomiędzy zachowaniem się przepisany przez konwencje
 i naszą cielesnością przestał nas bawić? Gorący kartofel wpa-
 dający komuś do rozporoka podczas dysputy teologicznej przy
 stole, jak w „Tristramie Shandy”, to nie temat dla lucyferycz-
 nych mieszkańców nowoczesnego *cit  infernale*.

Trzeba być wdzięcznym za to co zostało nam dane w za-
 kątku Europy który nie był z dwudziestego ani z dziewiętna-
 stego stulecia. Nie umieliśmy tego ocenić — dopiero później,
 przyglądając się ludziom, którzy nigdy nie zaznali ciepła więzi
 organicznych i na próżno próbują się ogrzać podróżując na wy-
 spy Salomona albo do zapadłych meksykańskich wiossek.

Mijałem grube tomy na półkach biblioteki z rodzajem chichotu, bo na tych tomach były nazwiska ludzi, których znałem w ich cielesności, wahaniach, drobnych grach, śmiesznościach, upadkach, bredzeniach. A tutaj zamroczeni, utrwaleni — na zawsze. Złączeni mentalnością, stylem (różnice między nami zbladną) rzeźbiliśmy w czasie nasze państwo, niszę czy pieczęć, która będzie omijana przez bezpośrednich następców, odkryta dopiero później, oceniona z jakiejś nowej perspektywy. To był jeden element. Drugi, kiedy w stanie Oregon godzinę chodziłem po labiryncie górskich grot odkrytych przypadkiem w końcu ubiegłego stulecia (tropiony niedźwiedź zniknął nagle, „zapadł się pod ziemię”, psy za nim). Stalaktyty i stalagmity zdruzżyły mnie ale dziw natury podzielał przekształcając się w obraz humanistyczny, przez sprzężenie z półkami biblioteki.

GÓRA

*Te korytarze którymi idę przy blasku pochodni
Słyszac jak woda kapie na strzaskane płyty.
W głąb, w głąb góry. W niszach popiersia przyjaciół,
Oczy ich marmurowe, tylko światło i cień
Kładą krótko na twarzach cierpki grymas życia.
Tak, coraz dalej, labiryntem w ciemne wnętrze,
Bez koboldów, z echem własnych kroków.
Aż pochodnia zgaśnie na niewiadomym zakręcie
I tam gdzie przeznaczone zamienię się w kamień.
Ale u wejścia, które zamknięte głazem lawiny będzie zapomniane,
W jodłowym lesie nad spadającym z lodowca potokiem
Łania urodzi centkowanego jelonka i powietrze rozwinie
Swoje piękne liściaste spirale innym oczom jak mnie kiedyś.
I odkryta będzie na nowo każda radość poranka,
Każdy smak jabłka zerwanego w wysokim sadzie.
Więc mogę być spokojny i to co kochałem,
Ziemia poniesie akwedukty, amfory, świeczniki mosiężne.
A kiedy któregoś dnia psy tropiące niedźwiedzia
Wpadną w skalną szczelinę i ludzie dalekich pokoleń
Odczytają na ścianach kanciaste nasze litery
Zdziwią się, że z tego co ich cieszyło znaleźmy tak wiele
Choć nasz zgubiony pałac znaczy już tak mało.*

Czesław MIŁOSZ

O cyganach i katastrofistach (4)

Bronisław Ludwik Michalski

Michalskiemu prawie we wszystkich wspomnieniach wyrażano krzywdę. Wyłania się z nich histeryk i nałogowy alkoholik, żyjący na koszt starszych kobiet, a do tego awanturnik, tym niebezpieczniejszy, że łudzący ofiary pozorami łagodności. „Broniek — pisał Piętaś w swoich „Portretach i zapiskach” — żył z jakimiś przypadkowymi starszymi kobietami, nie miał łączności z domem rodzinnym, z nikim ze swego dawnego świata, który pewnego dnia rzucił...” A o dwie strony dalej: „Z przerażeniem spostrzegałem, że po kilkodzińskich pijackich kiedy to Broniek wracał z komisariatu, gdzie go zatrzymywano, lub od starych kochanek, zmieniał się do niepoznania...” „Michalski wprowadzał w błąd — relacjonuje Szymański, nie wiem na podstawie czyich informacji. — Był po prostu zaskoczeniem. Wielkiej urody, wielkiej delikatności, miły i bardzo układny, do chwili, kiedy nie pił. Wówczas wszystko stawało się odwrotnością. Ten drugi Michalski był zjawiskiem częstym”.

Szymański Michalskiego nie znał, podaje charakterystykę z drugiej, albo trzeciej ręki. Stwierdzam kategorycznie, że ten „drugi Michalski” w ogóle nie istniał. Nie istniały „stare kochanki”, wyimaginowane przez Piętaś. Owszem mieszkał przez parę tygodni z Teresą, córką naszej Rozalii, ale to był odosobniony epizod. Smakowicie opisana przez Mrozowskiego w „Cyganerii” nocna scena w mieszkaniu Teresy przy ulicy Wolskiej została zmyślona od A do Zet. Zbyt dobrze znałem tę historię, abym mógł choć na chwilę uwierzyć w prawdopodobieństwo powyższej sceny. Zresztą Mrozowski opisuje wyłącznie mroczne, po-

nure pijaństwa, jak gdyby do nich ograniczało się życie Michalskiego.

Wypiłem z Bronkiem — najpierw w Lublinie, potem w Warszawie — niejedną beczkę wódki i zjadłem niejedną beczkę soli, chociaż soli było znacznie mniej. Nigdy nie byłem świadkiem awantury przez niego wywołanej. Po pijanemu zachowywał się równie łagodnie i przyjaźnie jak po trzeźwemu. Jeżeli robił kawały, to prawie zawsze bezbolesne i w dobrym guście. A nie brakowało mu przy tym wdzięku i fantazji. Więc może dla kontrastu z przeczernionymi relacjami, kilka historyjek naprawdę dla niego typowych.

Idziemy we trójkę Krakowskim Przedmieściem w Lublinie. Miasto jeszcze śpi. W głowach huczy. Jest jakaś piąta nad ranem, słońce już weszło, ale go za domami nie widać. Śpiewamy. Naprzeciw dwóch policjantów. Paski pod brodą — są na służbie. Zatrzymują nas. „Panowie nie szanują nocnej ciszy!” „Jaka tam nocna cisza? — odpowiadam. — Dzień jak wół”. Rozmowa zaczyna schodzić na nieprzyjemne tory. Nagle interweniuje Broniek, który dotychczas stał na boczku, melancholijnie przyglądając się podskakującym wróblom.

— Panowie pohuszają nieciekawe tematy (po pijanemu zaczynał zjadać literę er), a tu macie jedyną okazję, żeby po znížonej cenie nabyć tom wiehszy genialnego poety Bhonisława Ludwika Michalskiego. W przedpłacie tylko złoty pięćdziesiąt, a potem będzie kosztować dwa złote. Tytuł tomu „Wczohaj”. — Phoszę — do jednego z policjantów, wyciągając notes i pióro — pańska godność i adhes?

Kto chce, może wierzyć, ale policjanci oszołomieni potokiem brankowej wymowy, podali nazwiska i adresy, zostali wciągnięci na listę prenumeratorów i posłusznie wpłacili trzy złote.

— Ghatuluję panom — powiedział Broniek wyniośle. — Zrobili panowie wyjątkowy intehes.

Wylewne uściski dłoni, władza salutuje zawianych poetów idziemy długą ulicą ku Ogradowi Saskiemu i dalej, na Sławinek.

Inna scena. Broniek jedzie na tylnej platformie tramwaju, jest pod lekkim gazem. Wsiada wyjątkowo piękna dziewczyna. Przy najbliższym przystanku stoi wózek z kwiatami. Broniek rzuca się ku wózkowi, chwytając pęki białych bzów, nie licząc rzuca bilon wygrzebany z kieszeni, a stanowiący w owej chwili cały majątek, dogania tramwaj, który już zdążył ruszyć, wskakuje w bieg. Zgina kolano przed zdumioną panną i wręcza kwiaty.

— Gdybym był Dantem, pani byłaby moją Beathyczą. Ale

jestem nieznanym lihyicznym poetą i tylko mogę węczyć te kwiaty w hołdzie pani uhadzie...

Panna piecze raka, ale kwiaty przyjmuje, publiczność śmieje się ubawiona. Broniek wraca na tylną platformę i zapada w melancholijne rozmarzenie.

A propos Dantego. Specjalistą od autora „Boskiej Komedii” był Lucjan André, słaby poeta, a tęgij pijak, operujący zazwyczaj w okolicach Dworca Głównego. Wpadał z rozwichrzonym włosom do bufetu 1-ej klasy, przysiadł się do pierwszego lepszego stolika, wychylał najbliższy kieliszek i mówił demonicznym szeptem: „Panowie, nazywam się Dante Alighieri, właśnie wróciłem z piekła. Dajcie jeszcze wódki, to wam opowiem. *Per me si va nella città dolente...*” Przeważnie chwytalo. Ale raz narwał się na stolik, przy którym siedzieliśmy we czterech: Czechowicz, Domiński, ja i jeszcze ktoś, bodajże właśnie Michalski. Znałem pierwsze tercyny trzeciej pieśni „Piekła” na pamięć, więc gdy André zaczął swoje „*per me si va...*”, wyrecytowałem mu dalszy ciąg. Gdy doszedłem do „*queste parole di colore oscuro*”, André wstał ze skwaszoną miną, postawił kołnierz od paletka — „Przepraszam, pomyliłem się...” — i natychmiast ulotnił się.

Siedzimy przy herbacie w pokoju na Dobrej. Jest już późna godzina. Bronka nie ma, przypuszczalnie wróci pod dobrą datą. Otwierają się drzwi, orientujemy się, że stało się coś doniosłego. Broniek jest wyraźnie przejęty, krucze włosy spadają aż na brwi, ciężko oddycha.

— Przyjaciele — mówi uroczystym głosem — przed chwilą hozmawiałem z mistrzem Wyspiańskim. Zaphosił mnie do stolika i postawił kieliszek jarzębiaku, a ja...

— Ależ Broniek — Wyspiański od dawna nie żyje!

— Nie przezywaj! Wchodzę do knajpy i staję jak whyty. Przy stoliku — Wyspiański. Podchodzę, mówię „Mistrzu!” i całuję go w hękę. A on wcale się nie zdziwił. „Siadaj — powiada — młodzieńcze”. Zahaz kelneh przyleciał z dhugim kieliszkiem...

— Wyspiański umarł przed prawie trzydziestoma laty. Gdzież to było?

— W „Myśliwskim”. Umahł czy nie, a ja z nim piłem. Hozmawialiśmy o poezji, a on gładził długą czahną bhodę i potakiwał.

Oczywista Broniek pomylił z Wyspiańskim Kazimierza Przerwę-Tetmajera, który istotnie często siadywał w Barze Myśliwskim, a kto wie, zważywszy na ówczesny jego stan umysłu, może dał w siebie wmówić, że jest zmartwychwstałym autorem „Wesela”. Ale i po wytrzeźwieniu Broniek nie przyjmo-

wał żadnych perswazji i twierdził z całą powagą, że pił wódkę z Wyspiańskim. Był po swojemu dowcipny i lubił, jako się rzekło, płatać figle, ale bez przykrej złośliwości. Również lubił zasadnicze dyskusje.

Kiedyś wpadł w towarzystwo marksistów, których organicznie nie znosił. Dyskutował zaciekle, ale z biegiem czasu przygodni polemicy nabrali pewnych wątpliwości. Wreszcie jeden odważył się zapytać: „A właściwie czy pan czytał Marksa? Bo pańskie interpretacje wydają się dość...” Broniek z wdziękiem przechylił kędzierzawą głowę: „Za kogo pan mnie bierze? Czy ja rzeczywiście wyglądam na takiego duhnia, żeby czytać Marksa? Jestem lihyzny poeta i pan mnie obhaża...”

Piętak napisał, że Michalski nielitościwie wyszydzał jego chłopskie pochodzenie. „Zwłaszcza — czytamy na str. 86 „Portretów i zapisków” — bicie we mnie chłopstwem raniło mnie... Jakież było moje zdumienie, kiedy w rok później dowiedziałem się, że Broniek pochodził, tak samo jak ja, z chłopów. Był synem kowala z małej osady małopolskiej, Sieniawy, który wzbogacił się na handlu czy kuźni...”

I znowu muszę zaprotestować. Piętak był przewrażliwiony i żarty brał zanadto na serio. Wszyscy z niego trochę pokpiwaaliśmy, a już najbardziej Domiński. „Ciemny kmiotek z Wielowski” — trudno było w tym dopatrzeć się jakiejś klasowej pogardy, jak to podejrzewał Piętak. Miewał on częste zamyślenia, nieraz jedząc obiad, nagle sztywniał i zastygał, z widelcem zatrzymanym w połowie drogi do ust. Broniek śmiał się: „Stasiu, ty byś spróbował kotleta łyżką — widelcem to dla ciebie za trudno”. Któregoś dnia Piętaszek potknął się na schodach i potłukł dość dotkliwie. „A widzisz — pouczał go Broniek — trzeba schodzić tyłem, jak ze stodoły po drabinie, to sobie nic nie zrobisz...”

Mój, Boże, a któż z nas nie pamięta ze szkolnych czasów choćby takich odezwań się, jak: — Ty ciemna maso! Z jakiej wioski przywieźli cię w worku? Ależ z ciebie kmiotek! — i tak dalej. Miałem wśród kolegów gimnazjalnych dwóch autentycznych hrabiów, a można było usłyszeć z ust syna woźnego pod adresem hrabiczka: — Ach, ty żłobie z głębokiej prowincji! Dalibóg, z walką klas nie miało to nic wspólnego.

Czy Michalski był chłopskim synem, jak twierdzi Piętak? Że ojciec miał kuźnię w starej, lepsze czasy pamiętającej Sieniawie, jeszcze niczego nie dowodzi. Po katastrofie powstania styczniowego zawały się tradycyjne hierarchie społeczne, degradacji gospodarczej podlegali nie tylko szaraczkowie i średnia szlachta, ale i poniekąd karmazyn. Miały te sprawy swoje re-

perkusje także w nędzarskiej Galicji. Ze skąpych wiadomości, jakich Broniek niekiedy udzielał półgębkiem, mogłem wywnioskować, że pochodził albo z mieszczaństwa, albo z drobnej, zdeklaszowanej szlachty. Wrodzona kultura osobista, zupełnie wyrażonego typu, świadczyła, że nie wyniósł jej tylko z gimnazjum czy uniwersytetu. To zresztą nie jest takie ważne jeśli chodzi o samego Michalskiego; większe posiada znaczenie jako przyczynek do obolałej wrażliwości Piętaka.

A cóż z tymi „starymi kochankami”, z ową Teresą, córką Rozalii Sawickiej, gospodyni na Dobrej? Niestara wdówka, niewiele starsza (może o trzy, cztery lata) od Michalskiego, przystojna i dość jeszcze ponętna, zakochała się w Bronku i zagięła na niego parol. Była stroną atakującą i przy milczącej aprobacie matki dopięła swego, wyczekawszy aż zdybie Bronka samego. „Panie Józiu — mówiła mi Rozalia — przecież wdowa, to nikt się nie zgorzyszy, a pan Bronio sam jeden na świecie, czemuż by się nie mieli pokochać? Nie grzech!” Broniek długo wahał się, zanim zdecydował się przenieść do Teresy. Miała spore, całkiem przyzwoite mieszkanko na Woli, piętnastoletnią, bardzo ładną córkę. Zarabiała jako szwaczka. Broniek zwierzył mi się pierwszemu. Akurat otrzymał stypendium z Funduszu Kultury Narodowej w wysokości pięciuset złotych. Trzeba było wykupić maszynę do szycia, zastawioną w lombardzie na placu Napoleona.

— Kobieta spokojna, pracowita — uzasadniał Michalski swoją decyzję. — Będzie szyc, ja będę zarabiał korepetycjami. Muszę się o coś zaczepić, jakoś ustatkować, nie mogę tak ciągle od knajpy do knajpy. Chcę zabrać się do uczciwej pracy. Wykupię maszynę, zostanie mi przeszło trzysta złotych do wspólnej kasy — jakoś to pójdzie.

Żywiłem poważne wątpliwości, ale nie odmawiałem. Gdyby Teresa miała obok pewnego wdzięku sprytną samyczki, nieco inteligencji i wrażliwości, gdyby potrafiła stworzyć Bronkowi miłą atmosferę dnia powszedniego i znalazła coś wspólnego, poza stołem i łóżem, ich związek miałby jakieś szanse przetrwania. Czego Michalski szukał na Wolskiej? Nie zysków, bo wkładał więcej niż otrzymywał. Szukał ostatniej szansy życiowej, ale trafił pod niewłaściwy adres. To był rozpaczliwy gest człowieka ginącego, który chwyta się przysłowiowej brzytwy, zanim pójdzie na dno.

W dwa dni po zainstalowaniu się Bronka na Woli, „wspólny pokój” został zaproszony na wystawną kolację. Teresa promieniała, wyglądała całkiem przyjemnie. Powiedziałem jej, że bardzo ostatnio wyładniała. Błysnęła zębami: „To od tej robo-

ty. Udał mi się ten czarny Cygan, ależ udał!” Biedaczka, nie orientowała się, że czarnowłosa uroda cygańska kryje problemy, których samą „robotą” nie można było rozstrzygnąć, ani okiełznać. Po paru tygodniach Michalski wrócił na Dobrą. Teresa rozpaczła, próbowała ściągnąć go z powrotem — nadaremnie. Na otarcie łez pozostała jej maszyna do szycia, wykupiona przez Bronka z lombardu.

„Stare kochanki!” Mógłby je mieć, gdybv chciał. Jakoś trafił do Zofii Nałkowskiej, która lubiła otaczać się młodzieżą literacką. Potem malowniczy Geoffrey Montalk of Potocki, „król polski i wielki książę litewski, Władysław V”, z którym w owym roku 1934 widywaliśmy się dość często, karciał Bronka, że nie wraca do salonu, gdzie autorka „Granicy” efektownie drapowała się pod przyćmionym abażurem. „Przecież — przekładał — taki Boguś Kuczyński nie umywa się do ciebie! Mógłbyś załatwić sobie raz na zawsze wszystkie kłopoty”. Broniek rzewnie uśmiechał się, do salonu Nałkowskiej więcej nie poszedł.

Przyjaźnił się z Haliną Dąbrowską, ale o żadnych intymnościach nie było mowy. „Broniek Michalski — insynuuje z cięcha pęk Mrozowski w „Cyganerii” — w pewnym czasie, w tajemnicy zresztą przed nami, utrzymywał bliski kontakt z pisarkami średniego pokolenia i cieszył się u nich dużym wzięciem”. A na tej samej stronie (229) informacja, że do Dąbrowskiej „wprowadził nas Michalski”. Jeżeli wprowadził, to gdzie tajemnica? Ach, ci „przyjaciele”, rozgrzebujący popioły, jak gdyby chodziło o wielkowiejskie śmietniki!

Nałóg alkoholowy pogłębiał się. Nie byłem już wtedy stałym lokatorem, wpadałem do Warszawy na kilka dni, niekiedy na parę tygodni. Staraliśmy się ratować Bronka, jak się dało. Jeśli nie było innego sposobu, buty szły pod klucz i poeta siedział w skarpetkach. Nie protestował. Miał zresztą swoje sposoby, a durna Rozalia stawiała się cichą współniczką. Przyjeżdżam rano z Lublina — ekspres Budapeszt-Warszawa przychodził, jeśli mnie pamięć nie myli, koło 8-ej, — załatwiam parę spraw, wpadam na Dobrą. Towarzystwo — w międzyczasie doszedł wspomniany już malarz Jan S. Miklaszewski — jest bez grosza. Całej ferajny zapraszać do knajpy nie będę. Zresztą widzę, że buty Bronka są pod aresztem. Wołam Rózię, daję kilka złotych. Ma być chleb, masło, jajka, kiełbasa... Po kwadransie siedzimy grzecznie, zjadamy jajecznicę, popijamy herbatą.

Ku ogólnemu zdumieniu Broniek zaczyna zjadać literę *er* — nieomylny znak, że jest pod gazem. Co u diabła? Przecież był najzupełniej trzeźwy! Widzę, że coraz to sięga do czajnika i dolewa herbaty. Nigdy go o takie herbaciarstwo nie posądzałem.

Coś mnie tknęło, wyjmuję szklankę z ręki, wacham — spirytus! Naturalnie, usłużna Rozalia przyniosła ósemkę, wręczyła ją w chwili naszej nieuwagi ubóstwianemu Broniowi, ten ukradkiem, z kieszeni, dolewał spirytus do herbaty i zalał się w cułach.

„Nie miał łączności z domem rodzinnym — napisał Piętek w „Portretach” — z nikim ze swego dawnego świata...” To znowu nie tak. Od jesieni 1934 do wiosny 1835 Michalski był dwukrotnie w Lublinie, u siostr i szwagra. Ostatni bodaj raz przed zgonem spotkałem go także w Lublinie, gdzie zatrzymał się po drodze z rodzinnej Sieniawy. Był w dobrej formie. Parę tygodni spędzonych w Sieniawie znakomicie mu posłużyło. Opalił się, wyglądał zdrowo, ładnie opowiadał o łąkach i kwitnących sadach nad Sanem. „A wiesz — trzepnął mnie łagodnie po plecach — przez cały czas nawet pół literka nie wypiłem”. A przecież pamiętałem go sprzed miesiąca zaledwie, zdradzał wyraźnie objawy delirium tremens.

Poszliśmy do knajpki na bigos. Chciałem sprawdzić i Broniek zaskoczył mnie. Czwartka na dwóch to było niewiele. Zazwyczaj Broniek nie wytrzymywał, każda kolejka prowokowała następną. Tym razem pierwszy uznał, że czas na nocleg. Jeszcze spacer starym szlakiem poza Ogród Saski. Był zupełnie trzeźwy, poważnie mówił o planach na przyszłość, o tomie „Spotkanie z brzozą”, już gotowym do druku, wiele sobie po tej książce obiecywał. Następnego dnia odprowadziłem go na dworzec. Po miesiącu przyszła depesza od Czechowicza: „Broniek nie żyje — zawiadom rodzinę.”

Wiele deliberowano i wówczas i w wiele lat później nad przyczynami tej samobójczej śmierci. Ze jakiś sentymentalny dramata w młodości, że alkoholizm, że brak sukcesów literackich... Zapewne, mogły to być gwoździe do trumny, ale sama trumna spod innego wyszła hebla. Może najbardziej do prawdy zbliżył się Lew Gomolickij, młody poeta rosyjski, zamieszkały w Warszawie, przyjaciel Czechowicza. Napisał on o Michalskim, że zabiła go bezbronność wobec życia. Podobno gdy w szpitalu Broniek odzyskał na krótko przytomność, wymamrotał: „To jest słuszna kara za wszystkie łajdactwa...” Więc także skrajne wyczerlenie moralne, maskowane pozorną bez troską i kpina. Owe bzy, ofiarowane nieznanej dziewczynie w tramwaju i bezsilne: „Gdybym był Dantem, pani byłaby moją Beatrycją...” Nie, nie był Dantem. Ale za życia przeszedł przez piekło udręk psychicznych i moralnych, więc pewnej chwili przykrył się chłodnym nurtem Wisły, by nie oglądać więcej świata, do którego nie nadawał się. Po innych takie same udręki spływały jak

woda z gęsi. Ilekroć myślę o Michalskim, zawsze przypominają mi się wiersze romantycznego poety, który wprowadzić samobójstwa nie popełnił, ale od najwcześniejszych lat chodził w cieniu przedwczesnej śmierci:

*...Ich dusze z światła Bóg posplatał,
w jasnym promieniach wiódł z otchłani.
I nie stworzeni są dla świata,
jak świat stworzony był nie dla nich.*

Niektórym obserwatorom z boku szarpanina mieszkańców „wspólnego pokoju” wydawała się dość żalną i niepotrzebną farsą. W wypadku Michalskiego była to jednak farsa, za którą w epilogu płaci się życiem.

„Owczarz z Wielowisi”

Rozpisałem się o Michalskim dłużej, gdyż we wspomnieniach osób, które znały go bliżej, tragiczny jego profil rozplywa się i nabiera cech karykaturalnych. U Piętaka portret stał się niejako projekcją przeżyć samego autora; Mrozowski zapamiętał tylko to, na co było go stać: tylko pijacką powierzchnię, tylko najbrutalniejszą anegdotę. Najuczciwiej, najbardziej bezstronnie, starając się dotrzeć do wnętrza, pisali o Bronku ludzie, którzy albo w ogóle go nie znali, jak Wiesław Szymański, albo tacy, którzy stykali się z nim przelotnie, jak choćby wspomniany już Lew Gomolickij.

Po ćwierćwieczu Piętak przypomniał, że odprowadzający go po pogrzebie Michalskiego, „młody poeta chłopski”, Marian Kubicki, powiedział, żegnając się: „Wiecie, wszyscy byli przekonani, że to nie Michalski, ale wy pierwsi zrobicie z sobą koniec... że jesteście całkiem spustoszeni na duchu i że te wiersze wasze ostatnie to aż jęczy, jakby kto was dusił...” Czyżby już wtedy dostrzeżono znamię przyszłego samobójstwa?

Przy zupełnie odmiennej poetyce, Piętaka łączyło z Michalskim nadzwyczaj intensywne odczucie pejzażu. Ale w innym ujęciu. Michalskiego nie bez pewnej racji posądzano o panteizm, o *utożsamianie* się z pejzażem. U Piętaka krajobrazy, bujnie wezbrane niekontrolowanym przypiływem, są jakby szeregiem umówionych znaków, pod które zawsze można postawić doznania wewnętrzne. Dlatego też mimo wszelkich załamania i trwogi głucho tętniącej pod skórą, liryki Michalskiego są bardziej jednolite i zharmonizowane. Wyobrażenia Piętaka jest potężniejsza, ale trudniej poddająca się kształtowaniu: to żywioł, występujący z

brzegów i zrywający wszystkie mosty. I dla wielu na tym właśnie polega jego autentyczna chłopskość.

Próżno jednak i w nim i w jego twórczości dopatrywać się „ludowej krzepy”. To był pisarz niezmiernie skomplikowany i uwrażliwiony, a nawet zakompleksiony. A jednocześnie w całym sposobie bycia dziwnie chłopiący, naiwny i łatwowski. Łatwo spływał ciemnym rumieńcem, wtedy wargi napływały krwią i — wypisz, wymaluj! — wyglądał jak zażenowana panna. Jakoś w lutym 1938 roku, wkrótce po otrzymaniu Nagrody Młodych, Piętak wraz z paroma innymi poetami występował na „podwieczorku” w Simie, u Zofii Arciszewskiej. Recytował wiersz z pamięci, zaciął się, zaczął od początku, zaciął się znowu w tym samym miejscu, bezradnie rozłożył ręce, gęsto poczerwieniał. Dwudziestoosmioletni rosły mężczyzna zamienił się w zakłopotaną pensjonarkę. Kontrast był tak niezwykle, że rozbawieni bywalcy kawiarniani dali mu huczne brawo. Potknął się jeszcze raz, zawsze na tym samym kamieniu, i dopiero czwarta próba skończyła się zwycięsko. Rozbroił całe towarzystwo i zszedł z estrady przy akompaniamencie szczerych oklasków i radosnego śmiechu.

Łatwowski Piętaka była bezgraniczna. Wobec kawałów był najzupełniej bezbronny. Umówiliśmy się, że projektowaną przez mnie Bibliotekę Poetycką „Dźwigarów” zainauguruje jego debiut, „Alfabet oczu”. Papier i introligator wziąłem na siebie, do rozliczenia w przyszłości, koszt druku pokrywał sam autor, z przyznanego mu właśnie stypendium. Skład i druk szesnastki kosztował w lubelskiej drukarni 60 złotych. Nie pamiętam już, czy tomik miał trzy czy cztery arkusze, w każdym razie wypadło od 180-ciu do 240-stu złotych.

Siedzę więc w Lublinie, zaniósłem do drukarni ostatnią maszynową korektę, papier — pocięty, introligator — zamówiony. Z Warszawy przychodzi list. Długi, rozpaczliwy, nabrzmiały łzami, inwektywa goni inwektywę. Piętak wymawia mi przyjaźń i kończy list następująco: „Mam do ciebie wiele szacunku jako do poety, ale żadnego — jako do człowieka. Nie odpowiadaj — nie potrzebuję twoich usprawiedliwień!”

Cóż się stało? Ano, Domiński i Michalski, w przystępie dobrego humoru, postanowili zabawić się kosztem Piętaszka. Zjawili się z grobowymi minami i oznajmili, że właśnie rozmawiali z jednym z przyjaciół, który był w Lublinie. Łobodowski przepił całą sumę przeznaczoną na druk, książki nie będzie. „To, może, Stasiu, nawet lepiej — dodał niewinnie Bronek, — bo debiut chyba przedwczesny.” Piętak uwierzył, wpadł w rozpacz i wykropił ów groźny list.

Minął tydzień. Zjawiam się w Warszawie z pierwszą partią „Alfabetu oczu”. Akurat „wspólny pokój” był w komplecie. Otwieram walizkę, wydobywam z niej pachnące farbą drukarską i klejem egzemplarze. Pokazuję z daleka, ale do siebie nie dopuszczam. „Nie, najpierw włącz pod stół i odszczekaj coś nagryzmolił!” Piętaszek zamienił się w żonę Lota, a potem przy akompaniamentcie homeryckiego śmiechu pozostałych, rozkładał ręce, rumienił się i mamrotał jakieś usprawiedliwienia.

We wczesnej młodości ciężko chorował — nie pamiętam, a może w ogóle nie wiedziałem, o co chodziło — i choroba ta zostawiła mu dość częste i przewlekłe bóle głowy. Panicznie lękał się odnowienia dolegliwości. Czy to właśnie w niej należy szukać źródła tragicznego rozwiązania życia, nie mam oczywista, pojęcia. Sam Piętak kilkakrotnie, przy różnych okazjach, wspominał o młodzieńczej chorobie, nigdy przecież bliżej jej nie określił. Bodaj-że chodziło o ostre zapalenie opon mózgowych.

Krytyka literacka długo nie mogła Piętaka rozgryźć, chociaż już pierwsza jego książka miała sporo omówień, między innymi dość wnikliwą recenzję Hieronima Michalskiego w „Zecie”. Piętak na pewno nie był typem poety o wielkiej samowiedzy artystycznej, a jednak sam siebie najlepiej z biegiem lat określił. „Cała siła tych wierszy — pisał w roku 1942-gim, a więc prawie w osiem lat po debiucie — tkwi w splątaniu uczuciowym, w żarze serca i wyobraźni”. „I dziś — to już notatka z lat powojennych — nie opuszcza mnie przeświadczenie, iż w wierszach tamtych mieści się potężny ładunek nowości i prawdy, że poezja czai się nawet zza porwanych zdań i niekształtnej strofy... Sztuka moja jest uczuciowa, wielokrotnie bezkształtna, całkowicie pogrążona w ciemnym wnętrzu osobowości, pełna kompleksów, aluzji i boleści niemal namacalnej... Jest w niej coś z ekstatycznego zaśpiewu bosego chłopca na pastwisku „urzeczonego i chorego...”

„Chłopskim nadrealistą” nazwał Piętaka Iwaszkiewicz i ze wszystkich etykietek przyklejanych poecie, ta chyba pasowała do niego najbardziej. A jednocześnie Iwaszkiewicz odkrył w autorze „Młodości Jasia Kunefala” odpowiednik wiejskiego *owczarza*. Osobom nie znającym dawnej polskiej wsi nic to określenie nie powie. Owczarz to nie był zwykły pastuch. Zazwyczaj znał się na ziołach, umiał zamawiać chorobę, więc uprawiał znachorstwo, a przede wszystkim łączył w sobie dwie cechy, pozornie wykluczające się nawzajem: samotność, zamknięcie się w życiu wewnętrznym i umiejętność opowiadania, bajczarstwa raczej, bo te opowieści zawsze przenosiły rzeczywistość w inny, nierealny

wymiar. „Owczarz z Wielowsi” — tak, to nienajgorsze określenie.

W „Młodości Jasia Kunefala”, powieści bardzo niedoskonaliej, a na swój sposób czarującej, coraz to natrafiamy na miejsca typowo bajczarskie, urzeczone, „znachorskie”. Jest tam historia z Rasputinem, przeniesiona na polski, chłopski grunt, przy czym znikło i samo nazwisko ponurego bohatera i wszystkie realia carskiego dworu, rzecz wręcz kapitalna, nasyciona surrealistycznym humorem, a tak autentyczna, że chyba Piętak musiał ją usłyszeć w dziedzinstwie z ust jakiegoś „bajczarza” i zapamiętać. Przypominam sobie, jak bardzo smakował ten urywek Czechowicz, wcale nieskłonny do zachwytów nad innymi pisarzami, a zwłaszcza tymi, których uważał za swoich „podopiecznych”.

W jakiś czas po rozleceniu się „wspólnego pokoju” Piętak dał się wciągnąć w kawiarniano-knajpiarskie życie literackiej Warszawy. „Coś z narkotyku — przypomni w 1961-ym — miały dla mnie te posiedzenia w „Ziemiańskiej”, a później w „Zodiaku”. Chodziłem do kawiarni codziennie... Królem niekoronowanym naszego stolika był Witold Gombrowicz... pierwszą damą dworu piękna i utalentowana Zuzanna Ginczanka*), ja natomiast pierwszym pazim, Otwinowsy marszałkostwem...” Narkotyzował się kawiarnią, ale czuł się źle. „Nie czułem się wolny, byłem jak spętany przeszłością. Dym rozsnawał się i widziałem skrawki wielowiejskiego nieba i przesywał mnie jak spazm, jak lęk we śnie, strach przed dalszym życiem”, „Stolik w „Ziemiańskiej” — pisał do niego ówczesnie jeden z przyjaciół — to rozpaczliwa pozycja, myślę, że wrócisz do Wielowsi — ostatecznie”.

W „Portretach i zapiskach”, złożonych przez Piętaka wydawnictwu dokładnie na rok przed śmiercią, uderza zarówno szczerość, nieraz posunięta niemal do ekshibicjonizmu, jak nieumiejętność obiektywizacji swoich wrażeń i wspomnień. Pisząc o przyjaciółch, żywych i zmarłych, Piętak nie był w stanie usunąć się na bok, pozwolić czytelnikowi zapomnieć o autorze, skupić całe światło na twarzach wymienianych osób. Widzi ich *poprzez siebie*, istnieją po to, by mówiąc o nich, mógł pełniej pokazać samego siebie. W najlepszej swojej prozie Piętak jest

*) W wywiadzie, ogłoszonym pośmiertnie w „Twócości” przez Jana Śpiewaka, czytamy, że Piętak poznał Ginczankę w Warszawie, w jesieni 1934-go roku. To oczywista omyłka. Ginczanka mieszkała wówczas w Równem, była uczenicą ósmej klasy gimnazjalnej. Do Warszawy zjechała na studia po maturze, a więc w rok później. O wcześniejszym, parodijnowym nawet przyjeździe musiałbym wiedzieć, gdyż w tym okresie prowadziłem z nią stałą korespondencję.

egotystą, lirykiem, którego *ja* wypełnia cały świat. Próby obiektywizmu, ilekroć je podejmował, zawodziły całkowicie.

To dlatego lata, w których Piętaś usiłował włączyć się w nurt „soc-realizmu”, przynosiły same klęski, wyniki kompromitujące artystycznie. „Dałem się na jakiś czas — pisał do mnie w paryskim liście — ponieść fali rewolucji”. Taka to była rewolucja i takie skutki. Pisał powieści, o których lepiej nie wspominać, próbował tworzyć poematy i wiersze o przemianach na polskiej wsi, męczył się, łudził, wpadał w przerażenie. Przerobionej i uzupełnionej powieści o Jasiu Kunefale nie chciano mu wydać, „bo za błaża, za egocentryczną”, „Oczywiście — notuje Piętaś w dzienniku pod 27 września 1951, — kilkunastu utworów z obecnego cyklu wierszy nie będę mógł wydrukować nawet w zbiorze. Są one za osobiste, za pesymistyczne, żal mi jednak, że nikt ich nie pozna...”

Trudno osądzić, w jakim stopniu ciężkie przeżycia tamtych lat wpłynęły na rozwój choroby nerwowej, która po jednym z nawrotów zmogła go ostatecznie. Opublikowane w 1963 roku „Kartki z dziennika” pozostawiły niejeden trop, mogący prowadzić ku rozwikłaniu zagadki. Chociażby zapis z 3 marca 1961 w którym poeta spowiada się, dlaczego od dłuższego czasu nie pisał wierszy: „Cofałem się ciągle — to kłopoty codzienności mnie odrywały, to gnuśność moralna, wynikająca z niechęci i rozpacz do tego, co mnie otaczało... Przemogłem się i oto staję sam na sam z męką słowa, z materiałem, który jest tak nabrzmiały od napięć ciemnych, rozkładowych, że gotów mnie unicestwić, a nie unieść ku słońcu, ku wyżynom czystego powietrza. To, co chcę pisać, trudne jest jeszcze do sprecyzowania... Może to będzie fantastyczny poemat, a może monolog wewnętrzny artysty, który *na próżno szuka* dla siebie miejsca w najbliższym świecie.”

Chwilami przecież jego liryka, prawie zawsze bolesna i wytężona, uspokajała się i zdobywała harmonijny kształt. Tom „Pośrodku żywiołów”, wydany na początku 1960 roku, przyniósł kilka wierszy wyjątkowo zrównoważonych, choć i w nich czai się na dnie przerażenie i rozpacz.

*Ofiarują nam podziemne morza
i niezbadane, szczęśliwe przestworza,
a my jednak patrzymy nimi,
bo trzeba nam tylko tyle ziemi,
ile starczy na ukrzyżowane, rozpostarte ciało,
na rękę w powietrzu szukającą,
oniemiałą.*

W ostatnich latach krytyka krajowa zaczęła przyznawać poezji Piętaśa bardzo wysoką rangę. Szymański w „Balladach przed burzą” uznał go za „jednego z najciekawszych twórców w dwudziestolecu”. „Jest to poezja — napisał Zbigniew Bieńkowski już po śmierci Piętaśa — w każdej chwili swego rozwoju nie podobna do szkół, kanonów, ideałów estetycznych, tak samo zwyczajających, jak i przezwytyczonych”. I zakończył swój szkic takim zapewnieniem („Twórczość”, 4 nr 1964): „Jest to chyba najbardziej osamotniona poezja współczesna. Nie wywoływała sporów, nie prowokowała polemik. A przecież była ustawiczną polemiką, ustawicznym sporem ze Światem. Tragiczna śmierć przecięła tę twórczość w chwili, gdy osiągnęła ona pełnię dojrzałości, gdy wątplenie przełamało własną słabość i stało się tym, czym być powinno dla każdego artysty, solą mądrości”.

Lecz o poetach najlepiej świadczą ich własne słowa:

*...było tak, że nawet w jej ruchu najweselszym
widział poeta kształt niedopowiedzianego cierpienia.
Lecz było tak, że nawet w jej ruchu doskonałym
widział poeta, że słowa dla piękności nigdy nie miał...*

Józef ŁOBODOWSKI

(Dokończenie nastąpi)

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA LTD

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



Wiersze

ETUDIA Nr 1

Patrzanie także nuży.
Ostre kontury sprzętów
Ranią oczy.
Przestrzeń — miliony
Wirujących pyłków kurzu.

To tylko półmrok,
Szary i wilgotny,
Koi, jak dłoń matki.

Brałam w siebie dużo
Słońca, bólu i kurzu.
W gardle wyschło
I pali w oczach.
Nie chcę więcej.

W przestrzeni,
Drżącej w słońcu,
Czekam na półmrok.
Który koi, jak dłoń matki —
Półmrok,
który
koi...

ETUDIA NR 2

Myślenie także nuży.
Ostre kontury myśli
Tuż pod czaszką —
I tępy ból.

To tylko półmrok,
Szary i wilgotny,
Spływa dłonią na czoło,
Dłonią matki.

Zapomnij, myśli zgasną.
I tamto, co wciąż boli,
Głowa i ogon słońca
Tuż pod czaszką,
Rozpłynie się w półmroku.

Jakżeby słońca
Pod czaszką?
I roje much,
Które brzęczą, brzęczą...
A cisza półmrokiem spływa —
Zapomnij...

ETIUDA NR 3

Uczucia także nużą.
Radosne,
Bolesne,
Lękliwe,
Uczucia,
U-czu-cia,
Tak-że...

Londyn, 1964.

Z CZASEM POPRZEZ CZAS...

Krzyk godzin,
Bijących w tarczę czasu,
Szept minut,

Sączących się przez palce —
To noc wplynęła w dzień
I wplynęła nocą.

O jeden krok — drugi brzeg.
Na brzegu nocy — dzień.
Po kolana w wodzie
Idę poprzez czas
I nie wiem, czy czas
Płynie w przód, czy wstecz.

Ale słyszę szept minut,
Spływających deszczem w piasek
I krzyk godzin,
Bijących w tarczę słońca.
I znam lęk dnia.
Wpływającego w noc
I bojaźń nocy,
Zapalającej się dniem.

Między brzegiem, a brzegiem,
Po kolana w wodzie
Idę w przód, a może w tył?
Minuty zlewają się w godziny,
Godziny wtapiają się w dzień.
Gaśnie tarcza dnia
I księżycowo
Pali się tarcza nocy.

Wielki ruch jest tylko
Ruchem w miejscu.
Wielka cisza woła głosem
Bez głosu.
Pieśń o trwaniu
Zawieszona jest
Ponad przepaścią,
Gdzie jeden brzeg
Jest krzykiem,
A drugi brzeg
Jest milczeniem.
Szept minut nigdy
Nie gaśnie...

Londyn, 1964.

T Y , N I E - T Y

Słońce, pająk ognisty
Nad kominami miasta —
I dzień dymem się ściele
Po dachach.

Czemu zawsze stoję
Z twarzą przy szybie?
Ja, nie-ja,
Ktoś, kto ma
Głowę i ręce.

Słońce, nie-słońce,
Dymem, nie-dymem,
Po dachach,
I ja, nie-ja,
Między dymem, a słońcem.

A mówiłam ci zawsze;
— Ty, nie-Ty,
Chciałeś być nie-być,
Może dymem się rozplynąć
Po niebie?

A mówiłem ci zawsze;
— Ty, nie-Ty,
Kochałeś, nie-kochałeś,
Może ci się zdawało,
Że widziałeś twarz słońca
Za szybą?

Czemu zawsze
Wiem, nie-wiem,
Czuję, nie-czuję?
Czemu patrzę,
Nie patrząc,
Otwartymi szeroko oczyma?

Słońce, pająk ognisty,
Pozą płotem kominów,
I dzień dymem zagląda
Do okna.

Londyn, 1964

KLĘCZĄC NA STOPNIACH ŻYCIA...

*Klęcząc na stopniach życia
Z różańcem spraw codziennych
Szepczemy słowa modlitwy:
— Nie daj, Panie!*

*Głowa i kolano
Wrasta w kamień.
Myśl nieustannie szuka
Skreću w wieczność,
A bzy już ziółki.*

*Ty jesteś rysą bólu
W ścianie naszych objawień.
Niech ściana pęknie!
Niech się łamią słowa i ręce,
Niech pachną bzy,
A człowiek,
Słaby człowiek,
Niech odnajdzie drogę w wieczność!*

Toronto, 1964

J E S T E M

*Doznanie jest
Ukłuciem igły,
Kroplą wody
Na czoło.
Ból —
Już wiem.
Ból —
Już jestem.
Jestem, bo wiem.
Wiem, bo jestem.
Ból mija.
Przemykam oczy.
Przestaję być.*

*Duże, ciepłe nic,
Jak kołdra
W łóżku matki.
I już nie wiem.
I nie jestem.
Śnię o dużym
Ciepłym łóżku
Bez doznań.*

*Kropla wody
Na czoło.
Ukłucie igły.
Ból.
Otwieram oczy.
Jestem.
Jak jeszcze długo?*

Londyn, 1964

Danuta Irena BIENKOWSKA

KWARTALNIK

DROGA

Wolna trybuna polskiej myśli demokratycznej
5, rue d'Asace, Paris 10^e

Cena egzemplarza 3 F
Prenumerata roczna 10 F

Konto pocztowe: Wyd. SWATŁO, PARIS C.C. 98 98 28
DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH POLSKICH

Nowość

SERIA « ARCHIWUM REWOLUCJI »

Tom CIV BIBLIOTEKI « KULTURY »

IGNAZIO SILONE

WYBÓR TOWARZYSZY

Przekład Zofii Kozarynowej

Treść:

Wywiad z I. Silone

Droga do wolności

Wybór towarzyszy

„Ilu pokoleń historyków trzeba będzie w przyszłości dla uwolnienia obrazu życia rosyjskiego w ostatnich dziesięcioleciach od ciężkich fałszerstw propagandy i dla zrekonstruowania prawdziwego przebiegu wypadków”.

Str. 94

Cena egz. F 7,50 (£. 11/6; \$ 1,75)

Archiwum polityczne

Strona bierna

Podkreślałem wielokrotnie w moich artykułach, że komunizm zreformować mogą tylko komuniści. Lecz komunistów w danym kraju zmienić może tylko nacisk społeczeństwa.

Można szkicować modele i projektować reformy lecz rzeczą najtrudniejszą jest wskazać drogę. Innymi słowy odpowiedzieć na podstawowe pytanie co praktycznie należy robić?

Publicysta krajowy — choćby częściowo dzielił z nami nasze poglądy — jest skrępowany cenzurą. Publicysta emigracyjny (w pewnych wypadkach) korzysta z pełnej swobody lecz ciąży na nim „wyobcowanie” wielu lat rozłąki.

„Kultura” jest w sytuacji wyjątkowej. Otrzymujemy różnymi drogami listy z Kraju oraz rozmawiamy z dziesiątkami Polaków odwiedzających Zachód. Jak oceniają sytuację Polacy krajowi? W oparciu o autentyczne i skrzętnie zbierane materiały postaram się dać odpowiedź na to pytanie.

Większość przyjmuje bezkrytycznie oficjalne argumenty, że w okresie XX-lecia PRL dokonano „olbrzymiego” postępu gospodarczego. Społeczeństwo polskie charakteryzuje nie tylko niska stopa życiowa lecz również bardzo małe wymagania. Duży odłam społeczeństwa dokonał rzeczywistego awansu socjalnego i ekonomicznego. Ci ludzie oceniają swoją sytuację za znacznie korzystniejszą niż przed wojną.

Równocześnie społeczeństwo w kraju toleruje złą organizację, marnotrawstwo, niską wydajność i sprawność pracy, kłopoty i niewygody przy załatwianiu najprostszych spraw w urzędach i instytucjach. Wszyscy sarkają i poprzestają na sarkaniu. Owo chroniczne sarkanie na nikim nie robi już wrażenia.

Jednostki rozgrzeszają się stwierdzeniem: „co ja mogę zrobić w sprawie, w której cały naród jest bezsilny?” Po fiaszkach wystąpień zbiorowych z bronią w rękę zakorzeniła się niewiara w celowość i skuteczność jakichkolwiek wystąpień zbiorowych. Cytuję dosłownie: „społeczeństwo sarka, krytykuje, nawet potępia lecz zawsze jako strona bierna”.

Patriotyzm polski utracił aktywność. Jeden z naszych korespondentów wysuwa pogląd, że w obecnej sytuacji bierność, apatia, „tumiwizizm” — są podstawą niepatriotyczną choć powszechną.

Załamano się tradycja zbiorowych wystąpień i manifestacji. Akcja zbiorowa — podjęta w bezwzględnie słusznej sprawie — choć pociągnęłaby może za sobą pewne ofiary (aresztowania, utratę posady) — przywróciłaby społeczeństwu wiarę we własne siły. Akcje tego typu podejmowane samorzutnie w roku 1956 przyniosły cenne zdobycze.

Wojna, okupacja, powstanie, okres stalinizmu — przyczyn wyczerpania i zniechęcenia wyliczyć można wiele. Lecz w ocenie naszych korespondentów i rozmówców cytowane przyczyny nie tłumaczą owego fenomenu bierności społeczeństwa. W najlepszym razie tłumaczą go tylko częściowo.

Społeczeństwo zdaje sobie sprawę ze swej niemocy gospodarczej. Dobra i sprawna gospodarka stanowi bazę wszelkich żądań — od podwyżki płac po większą niezależność polityczną. „Producent dobrego towaru” — cytuję opinię krajową — „jest zawsze bardziej niezależny od partacza”.

Finnowie swój status polityczny w znacznej mierze zawdzięczają znakomicie zorganizowanej gospodarce, która budzi podziw Sowietów. Wystarczy zacytować opinię Żdanowa („Rozmowy ze Stalinem” — Dżilas) o towarach fińskich: „wszystko zawsze dostarczone punktualnie, w doskonałym opakowaniu i w pierwszorzędnej jakości”. Dobra jakość produktów imponuje nie tylko Rosjanom lecz wszystkim odbiorcom tak na Wschodzie jak i na Zachodzie.

W sumie należy stwierdzić:

I. Dobry towar daje producentowi obiektywną podstawę do żądania wysokiej ceny za produkowane artykuły — robotnikom zaś daje podstawę domagania się wysokich wynagrodzeń.

II. Dobry towar stwarza możliwość manewru gospodarcego. Jest bardziej poszukiwany i łatwiej go sprzedać na korzystnych warunkach większej liczbie odbiorców. Tylko pierwszorzędny towar zdobywa trwale rynki zagraniczne.

III. Dobra jakość imponuje Rosji. Gdyby polska produkcja stała na wysokim poziomie można by to wykorzystać w negocjacjach z Sowietami.

IV. Podniesienie stopy życiowej społeczeństwa możliwe jest tylko poprzez usprawnienie gospodarki i zwiększenie wydajności pracy.

Powyższe tezy — które można by mnożyć w nieskończoność — nie wyczerpują zagadnienia.

Z polityczno-społecznego punktu widzenia najistotniejsze są szkody wyższego rzędu spowodowane złą gospodarką. Niewydajna praca, „tumiwizizm”, „czy się stoi czy się leży” — cały ów koszmarny klimat demoralizuje i osłabia społeczeństwo.

Dogmatyczni antykomuniści, których porównać można tyl-

ko do stalinowców *à rebours* — hołdują zasadzie „im gorzej tym lepiej”.

Dogmatyczni antykomuniści liczą na bankructwo i upadek komunizmu. Dogmatyczni komuniści liczą na bankructwo i upadek kapitalizmu. W rzeczywistości jednak nie zanoszą się ani na bankructwo komunizmu ani na bankructwo kapitalizmu. Przyspieszyć natomiast należy bankructwo dogmatyzmu po obu stronach „żelaznej kurtyny”, ponieważ dogmatycy bez władu na zabarwienie polityczne hamują postęp i ewolucję w pożądanym kierunku.

Wielu naszych korespondentów i rozmówców wysuwa tezę, że w obecnym ustroju PRL nie jest rzeczą możliwą zorganizowanie sprawnego systemu gospodarczego. Na poparcie tego twierdzenia przytacza się setki przykładów. Materiał dowodowy w tej sprawie jest tak olbrzymi, że nie można powątpiewać w słuszność tej opinii. Lecz jakie jest wyjście? Znaczny procent ludzi w kraju powyższy stan rzeczy kwituje biernością, apatią i cynizmem. I w ten sposób obwód błędnego koła zostaje zamknięty.

„Im gorzej — tym lepiej”. Gorzej jest dla społeczeństwa, lepiej dla klasy rządzącej. Społeczeństwo jest wyjątkowo, od-dynamizowane, uległe. Dla klasy rządzącej oznacza to bezpieczeństwo, i nie małą lecz wielką stabilizację. Dyktatura klasy rządzącej może być utrzymana i zabezpieczona tylko za cenę sowietyzacji społeczeństwa.

Co stanowi istotę sowietyzacji? Człowiek sowiecki na skutek długotrwałego uwarunkowania akceptuje pogląd, że społeczeństwo z definicji jest bierną masą, którą rządzi aktywna elita partyjna. To jest ów wschodni kompleks „ojca”. Car — ojcem narodu, Stalin — ojcem narodu, Chruszczow — ojcem narodu. W tym systemie społeczeństwo jest wiecznym dzieckiem, które ponosi skutki przewin ojca. Lecz ojca się nie wybiera i nie pociąga do odpowiedzialności. Ojciec jest, i to wystarczy.

Społeczeństwo polskie uwarunkowane zachodnią kulturą nie wykazuje kompleksu cara-ojca. Niemniej sowietyzacja psychiki społeczeństwa poczyniła znaczne postępy. Kardynalnym przejawem sowietyzacji jest bierność wypływająca z akceptacji nie systemu lecz własnej niemocy. Analiza dowcipów krajowych rzuca interesujące światło na ten problem. Dowcip spełnia rolę „reakcji zastępczej”. Ośmiesza się tych, których nie można zwalczyć. Robi się błazna z Gomułki, któremu nikt nie śmie się przeciwstawić — wykipiwa się system, który wszyscy pokornie znoszą. Lecz istotny sens społeczny dowcipów warszawskich polega na tym, że nie *kpiący* lecz *wykpiwani* śmieją się *ostatni*.

Jeśli prawdą jest — w co osobiście nie wątpię — że obecny model społeczno-gospodarczy uniemożliwia prowadzenie racjonalnej gospodarki — to prawdą jest również, że polskiego

systemu nie uzdrowią ani Amerykanie ani Francuzi, ani Eskimosi tylko uzdrowić go muszą Polacy.

Przed wojną w Polsce miewaliśmy dyrektorów, których kwalifikacje fachowe dowcip warszawski określał następująco: „ukończone 4 klasy loterii państwowej i akademii ku czci Marsz. Piłsudskiego”.

Dziś w PRL mamy dyrektorów i kierowników wielkich zakładów przemysłowych, którzy mają analogiczne kwalifikacje fachowe. W ocenie naszych korespondentów niefachowość stanowi jedną z zasadniczych plag życia gospodarczego w kraju. W przemyśle na kierowniczych stanowiskach roi się od dyktantów, których jedynymi kwalifikacjami są legitymacja partyjna i dyplom WUML. WUML czyli Wieczorowy Uniwersytet Maksizmu Leninizmu stanowi popularne wydanie Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC. Na Śląsku i w Poznańskim w kilku wypadkach fachowcy przeprowadzili udany bojkot WUML'owców. Inżynierowie i wykwalifikowani robotnicy zdają sobie sprawę, że kierownicze stanowiska obsadza się WUML'owcami w chwili gdy politechniki wypuszczają armię fachowców dla których nie ma pracy. Lecz Gomułka nie chce fachowców. Pierwszy Sekretarz ceni tylko uległych partyjników.

Uzdrowić życie gospodarcze mogą tylko fachowcy z prawdziwego zdarzenia. Na Węgrzech odkad przyjęto zasadę, że nie partyjne kwalifikacje lecz kwalifikacje fachowe decydują przy obsadzaniu stanowisk w przemyśle — nastąpiła wybitna poprawa.

Dlaczego organizacja i poziom życia gospodarczego są tak istotne?

Ludzie głodni doprowadzeni do ostateczności organizują ruchy. Ludzie dobrze zarabiający, którzy żyją w unormowanych warunkach gospodarczych i społecznych są pewni siebie i świadomi swych praw. Ani pierwszy ani drugi typ „masy społecznej” nie stanowi ideału dyktatora. Ideałem dyktatora są stosunki gospodarczo-społeczne panujące w PRL. Nikt nie umiera z głodu, lecz równocześnie nikt nie jest pewny ani dnia ani godziny. Rutyna dnia codziennego — komunikacja, załatwianie spraw w urzędach, zakupywanie żywności i odzieży, zabieganie o dodatkowe źródła dochodu — wszystko to w sumie wyczerpuje, ubeznadziejnia i ubiernia. Jeżeli dodać do tego codzienne borykanie się z biurokracją, niefachowością, niedbalstwem — obraz będzie kompletny. To wszystko stanowi jedną z metod sowietyzowania społeczeństwa. Celem jest akceptacja — nie systemu (partii nic na tym nie zależy) — lecz własnej niemocy. Celem jest uznanie bierności społeczeństwa za stan normalny. Celem jest przekonanie wszystkich i każdego z osobna, że jakakolwiek akcja zbiorowa jest nierealnym szaleństwem. Celem jest wtłoczenie ludziom w głowy, że jakakolwiek forma demokracji nie jest ani złem ani dobrem lecz po prostu absurdem. Istotą sowietyzacji jest wyrobienie w ludziach — po-

przez długotrwałe uwarunkowanie — pewności, że system w którym żyją, obojętne jak go sklasyfikujemy, stanowi sytuację bez wyjścia z którą, by żyć, należy się pogodzić.

Osobiście nie we wszystkich punktach zgadzam się z ocenami naszych rozmówców i korespondentów. Wielu z nich wszystkie nadzieje wiąże z formami nacisku z zewnątrz. Są nawet i tacy, którzy uważają, że ideałem w naszych warunkach byłby model anglosaski, który „zdał znakomicie egzamin w zachodnich Niemczech”.

To są wszystko mrzonki charakteryzujące stopień sowietyzacji społeczeństwa. Ponieważ w systemie sowieckim polityka jest dziedziną zastrzeżoną dla rządzącej elity — ogólny poziom myślenia politycznego obniża się z każdym rokiem i traci związek z rzeczywistością. Samodzielne myślenie polityczne nigdy nie stanowiło naszej narodowej „specjalności” a w obecnych warunkach całkowicie upadło.

Gdyby w Polsce Ludowej w ostatnich 20 latach istniał choćby jeden talent polityczny — mielibyśmy kilka książek wydanych zagranicą.

We wszystkich listach i we wszystkich rozmowach z krajowcami powtarza się zarzut, że emigracja uległa skostnieniu. Chwałebnym wyjątkiem potwierdzającym tę regułę jest tylko paryska „Kultura”.

Krytycznie oceniam emigrację z paryską „Kulturą” włącznie, czemu wielokrotnie dawałem wyraz na tych łamach. Lecz obiektywizm każe mi stwierdzić, że za skostnienie emigracji w bardzo znacznym procencie winę należy przypisać społeczeństwu w kraju.

Pomijam głęboko zakorzeniony i dość powszechny kompleks antyemigracyjny. Wbudowanie tego kompleksu w psychikę zbiorową społeczeństwa jest niewątpliwie jednym z większych sukcesów rządów komunistycznych. Znany wiersz Tuwima „Na podstawie Martwej Wizy” był nie tylko wyskokiem poety usiłującego „włączyć się” za wszelką cenę — lecz stanowił również wyraz nastrojów społeczeństwa.

Reakcje tzw. szerokich mas zwłaszcza w pierwszym okresie stalinowskim były zrozumiałe. Polacy na emigracji żyli na znacznie wyższym stopniu, cieszyli się wolnością i narodowy dramat nie ciążył bezpośrednio nad ich losem. Propaganda komunistyczna dokonała reszty.

Lecz jest rzeczą wręcz niepojętą że, w 30-to milionowym narodzie na przestrzeni 20 lat nie znalazło się dwu czy trzech ludzi, którzy mieliby odwagę wyłamać się z tej konformistycznej sztancy. Dwie czy trzy książki polityczne — wydane zagranicą — ujmujące krytycznie i obiektywnie sytuację krajową w jej rozwoju — mogły wywrzeć decydujący wpływ na emigrację. Zemściło się to w okresie Października 1956 r. Emigracja była zaskoczona wypadkami w kraju i całkowicie zdezorientowana.

W warunkach dyktatury komunistycznej nie może być mowy o tajnych organizacjach, o podziemnie działających partiach politycznych itp. Lecz nawet w PRL bez większego ryzyka można napisać książkę czy broszurę, z której emigracja dowiedziałaby się co ludzie w kraju myślą, do czego dążą, jakie koncepcje rozważają, jakie nastroje ich nurtują. Gdybyśmy z kraju otrzymywali tego rodzaju broszury — choćby tylko co 2 lata — byłby to potężny zastrzyk przeciwko kosnieniu emigracji.

Nasi krajowi rozmówcy podkreślają zawsze służebny charakter emigracji w stosunku do kraju. Jest oczywiste, że emigracja polityczna winna służyć krajowi a nie odwrotnie. Lecz w sensie politycznym od 20 lat emigracją interesują się komuniści — nie kraj.

Proponuję by naszą analizę ująć w następujące punkty:

I. W PRL zbudowano przemysł lecz rewolucji przemysłowej nie było. Rewolucja przemysłowa to nie wysoki poziom stopy życiowej — nie tylko awans klasy robotniczej do statusu pełno-prawnego partnera — lecz przede wszystkim zmiana mentalności społecznej. Cechuje nas mentalność feodalna, antygospodarcza i antymerkantylna. Sprawnie działający przemysł nie niesie z sobą automatycznie wolności. Lecz nawet przy sprzyjającej koniunkturze międzynarodowej wolność dostępna jest tylko dla krajów na pewnym poziomie gospodarczym.

II. Uzdrowić system gospodarki komunistycznej mogą tylko fachowcy. Indywidualne wystąpienia są cenne lecz przemiano-twórcze są tylko wystąpienia zbiorowe.

W warunkach krajowych wystąpienia zbiorowe muszą mieć charakter nie ideologiczny lecz zawodowy. Solidarność i uświadomienie fachowców winno stanowić punkt wyjściowy. Protest 34 pisarzy stanowi dobry przykład wystąpienia zbiorowego w oparciu o więź zawodową. Dlaczego inżynierowie, chemicy czy elektrotechnicy mieliby być czymś gorszym niż pisarze?

III. Jedną z głównych zdobyczy rewolucji przemysłowej jest utrwalenie w masach pracowników przekonania, że *industrial action* prowadzi do celu. W naszej tradycji strajk traktowany jest na równi z Somosierrą. Jest to akt szaleńczy kończący się beznadziejną walką z policją i wojskiem. Owych „Somosierr” nikomu w Polsce nie przyszłoby do głowy określać prozaicznym mianem *industrial action* (akcja przemysłowa). Dlatego twierdzą, że w PRL zbudowano przemysł lecz rewolucję przemysłową zdławiono. W rezultacie mamy przemysł lecz nie jesteśmy narodem przemysłowym. Ponieważ nie jesteśmy narodem przemysłowym, gospodarujemy źle i niewydajnie.

Wskaźnik produkcji stali tylko dla stalinowców jest magiczną formułą. Mentalność przemysłowa stanowi de facto czynnik znacznie ważniejszy. Szwajcaria nie ma Nowych Hut lecz dzie-

ki gospodarczej mentalności swych obywateli będzie dla nas niedościgłym wzorem jeszcze przez następne sto lat.

IV. Podstawowym warunkiem zapoczątkowania w Polsce ewolucji ku modelowi demokracji przemysłowej — jest odzyskanie przez społeczeństwo poczucia podmiotowości. Społeczeństwo musi przestać być bierną masą komenderowaną — musi przestać być sarkającym niemową i przedmiotem rozgrywek o władzę pomiędzy frakcjami klasy rządzącej.

W warunkach polskich trzeba wszystko zaczynać od „a”. Każde choćby na małą skalę wystąpienie zbiorowe — nawet jeżeli nie przyniosłoby natychmiastowych korzyści — odbuduje w społeczeństwie poczucie podmiotowości i wiary we własne siły.

V. Nie namawiamy do nieprzemysłowych wystąpień. Lecz jawnych nonsensów i jawnej krzywdy nie należy kwitować biernym sarkaniem.

Wystąpienia zbiorowe winny zawsze dotyczyć spraw bezspornie słusznych. Należy unikać „generalnych rozgrywek”. Zbiorowa akcja winna zawsze dotyczyć konkretnej sprawy. Proponowane rozwiązanie musi być realne i możliwe do przyjęcia.

VI. Doświadczenia nie 20 lat jak w PRL, nie 50 lat jak w Związku Sowieckim — lecz doświadczenia stulecia obejmujące okres najświetniejszego rozwoju przemysłowego notowanego w dziejach wskazują, że „akcja przemysłowa” jest zawsze opłacalna i jako instrument emancypacji świata pracy niczym nie do zastąpienia. „Akcja przemysłowa” tylko w sytuacji kryzysowej przybiera formę strajku. W gruncie rzeczy prawo do strajku oznacza prawo krytyki i prawo zbiorowej obrony interesów społeczno-gospodarczych danej grupy pracowników.

Ludzie przy władzy — czy to będzie Gomułka czy dyrektor super-koncernu przemysłowego — są liberalni i ustępliwi tylko w proporcji do nacisku tych, którymi rządzą. Jeżeli nie ma nacisku rządzonych — kończy się „liberalizm” rządzących.

VII. Demokracji w Polsce nie stworzy ani nowa konstytucja ani wolne wybory. Własną formę demokracji musi się wypracować i wywalczyć. Zmiana międzynarodowej koniunktury politycznej może nasze szanse polepszyć lub pogorszyć — lecz demokracji nikt nam w prezencie nie ofiaruje. To jest typ kultury polityczno-społecznej, która musi wyrósć z nas samych.

Komunizm jest stotalizowanym socjalizmem. Wszyscy zgadzamy się z podstawowymi postulatami socjalizmu lecz zgodę na totalizm wymusić można tylko siłą. Z totalizmem — jak z

każdą formą przemocy walczyć można tylko nieustannym naporem. Nie walczymy z marksizmem tylko z formami jego interpretacji. Społecznie nie jest istotne czy ktoś jest katolikiem czy marksistą. Istotne jest *jak* pojmuje się marksizm i *jak* pojmuje się katolicyzm. Torquemada-marksista i Torquemada-katolik są równie groźni dla społeczeństwa.

Togliatti pisząc swój testament zdawał sobie sprawę, że komunizm z ideologii stał się instrumentem *power policy* w rozgrywce dwóch wielkich mocarstw komunistycznych. Nie chciał dopuścić do wyklęcia Chińczyków by owa degradacja komunizmu do roli narzędzia imperialistycznej polityki — nie stała się widoczna i oczywista dla wszystkich.

Z krytycznych uwag pod adresem Związku Sowieckiego wynika, że Togliatti zdawał sobie sprawę, że proces de-stalinizacji zatrzymano w Rosji niejako w pół drogi.

Pozycja Związku Sowieckiego *vis à vis* Pekinu byłaby niepomernie silniejsza, gdyby pełnej stalinizacji Chin Rosja przeciwstawić mogła pełną de-stalinizację europejskiego bloku komunistycznego.

W ramach stalinizmu nie można rozwiązać ani problemów narodowościowych ani zagadnień niepodległościowych, ani zde-mokratyzować ustroju, ani nie można przekonać Polaków, Rumunów czy Czechów, że trwałe porozumienie z Rosją nie musi być równoznaczne z zaborem.

De-kolonizacja jest zawsze procesem dwu-stronnym. Napór i postęp ludów kolonialnych powodować musi przemiany w myśleniu politycznym kolonizatorów. Indusi nie mieli żadnej szansy pobicia Anglii i wywalczenia niepodległości z bronią w rękę. Ludy kolonialne długotrwałym naporem przekonały z czasem oświecone warstwy Wielkiej Brytanii, że imperializm nie odrzuca tych zysków co dawniej ani w sensie gospodarczym ani politycznym.

W moim przekonaniu Rosja będzie musiała kiedyś wybrać — albo staroświecki, imperialistyczny stalinizm, albo utratę Europy wschodniej. Lecz uruchomić proces zmierzający do wykryszta-lizowania się owej decyzji mogą tylko narody satelickie.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

SPRAWA WAŃKOWICZA

„Polska Agencja Prasowa” w komunikacie z dnia 6.10. br. doniosła, że „w dniu 5-go października prokuratura generalna w Warszawie wszczęła śledztwo przeciwko Melchiorowi Wańkowiczowi pod zarzutem przekła-

zywania za granicę materiałów opracowanych przez niego, a szkalujących Polskę Ludową”.

W dniu 9 października korespondent United Press w Warszawie doniósł o aresztowaniu Wańkowicza. W więzieniu odwiedził go konsul amerykański Walter Smith.

Sprawa Melchiora Wańkowicza z wielu względów zasługuje na specjalną uwagę. Rozmawiałem z nim w Londynie w przeddzień jego wyjazdu do Polski. Autor „Smętka” wracał pełen najlepszych chęci. Wierzył, że z administracją Gomułki współpraca jest możliwa. Na tym tle doszło między nami do ostrego starcia lecz rozstaliśmy się jak życzliwi sobie ludzie. W kraju — choć Wańkowicz unikał tematyki politycznej — składał jednak dowody lojalności. W jednym z artykułów podkreślił, że rządy silnej ręki w Polsce Ludowej wyróżniają się umiarem w porównaniu z rządami przed-wrześniowymi.

W sumie należy stwierdzić z naciskiem, że Wańkowicz wracał do kraju nie jako emisariusz, nie jako „rewizjonista”, nie jako poplecznik i zwolennik paryskiej „Kultury” — lecz wracał jako pisarz zdecydowany podjąć swą pracę w ramach ustaw, przepisów i cenzury Polski Ludowej. Podkreślam, że jestem uprawniony do wystawienia mu „świadczenia lojalności” — ponieważ przedyskutowałem z nim kilka godzin w nocy poprzedzającej jego ostatni wyjazd do kraju.

Wańkowicz złożył dowód cywilnej odwagi składając podpis pod protestem 34. Nie pomniejsza jego odwagi i zasługi fakt, że jechał do kraju z oceanem dobrej woli. Chciał się włączyć w nurt literatury krajowej — pragnął zdobyć czytelnika i odbudować swą pozycję nad Wisłą. By osiągnąć ów cel gotów był ponieść ofiary i pójść na pewne kompromisy.

Jeżeli Wańkowiczowi się nie powiodło, jeżeli nawet on ściągnął na siebie oskarżenia i wylądował w więzieniu — stanowi to niezbity dowód, że współpraca z administracją Gomułki nie jest po prostu możliwa.

Nie wystarczy dobra wola, nie wystarczy gotowość pójścia na pewne kompromisy, nie wystarczy chęć włączenia się w nurt życia w kraju. Panowie w KC oczekiwali, że Wańkowicz demonstracyjnie odeśle swój paszport amerykański, oczekiwali również serii artykułów szkalujących emigrację, a w szczególności liczyli na „zdemaskowanie” paryskiej „Kultury”, Free Europe itd. Wańkowicz tak wysokiego wpisowego do „klubu” zapłacić nie chciał. I tym przypieczętował swój los.

Szczerze współczujemy Wańkowiczowi choć nie podzielaliśmy ani jego optymizmu ani jego argumentów. Może jednak owo bezprzykładne, stalinowskie poniewieranie 72-letnim wielkim pisarzem potrząśnie wreszcie sumieniem setek intelektualistów i pisarzy polskich i wykaże im bezsens pokornej bierności. Panowie ci winni masowo wycofać swe podpisy spod ośławionego kontr-protestu. Powinni wymusić na „człowieku z gumy”, Iwaszkiewicz, by własnoręcznie doręczył Cyrankiewiczowi pismo z setkami podpisów z żądaniem natychmiastowego zwolnienia Wańkowicza i umorzenia śledztwa.

RAJ UTRACONY LITERATURY POLSKIEJ

„Trylogię” czytano nam w domu, kiedy ani mój brat ani ja nie

umieliśmy jeszcze ani czytać ani pisać. Na Podhalu, gdzie wówczas mieszkaliśmy, pełno było wojskowego sprzętu. Był to początek pierwszej wojny światowej. Kuzyn-ułan to był oczywiście Kmicic, gruby jowialny wuj przypominał Zagłobę. Trylogia zazębiała się o rzeczywistość — stanowiła jakby scenariusz filmu, który montowano na naszych oczach.

Dziś, po latach 40-tu, nie ma śladu ani znaku po moich wujach i po ułanach w wysokich czapkach. W przedpokoju mojego londyńskiego mieszkania nigdy nie brzęczą ostrogi. Lecz gdy sięgnę po tomy „Trylogii” — mój wuj-Zagłoba i kuzyn-Kmicic jawią się przede mną jak żywi. Ich surrealistyczne wcielenie okazały się trwalsze niż rzeczywista osobowość, która zatarła się w mojej pamięci.

„Chłop polski dawał na Mszę za duszę Podbipięty” — pisał Ignacy Chrzanowski w swych „Studiach i Szkicach”. Gdzie więc leży granica pomiędzy surrealizmem a realizmem?

Andrzej Kijowski sądzi, że „poczucie tożsamości literatury i rzeczywistości, tożsamości pisarza i wodza duchowego, „profetyzm” — wszystko to stanowi dziedzinę archaicznego życia duchowego. Historia XIX i XX wieku zahamowała proces różnicowania się kultury polskiej: wszystkie dziedziny życia, wszystkie tematy myślenia, wszelki odruch ludzki, wszystko, wszystko poddane zostało idei wywołania”. Kijowski pisze dosłownie: „Romantyzm to prehistoria faszyzmu”.

Dobrze — a jak jest dziś? Polska współczesna w mojej opinii winna być rajem pisarzy i literatów. Stanowi bowiem jedyną w swoim rodzaju arenę ścierania się dwóch kapitalnych ideologii — katolicyzmu i komunizmu.

Marksizm rozwija się na Zachodzie. Ukazują się książki odkrywczе i kontrowersyjne. Marksistami są tak różni i świetni myśliciele jak Sartre i Lucien Goldmann, którego ostatnia książka „The Hidden God” ukazała się w przekładzie angielskim. Zmumifikowanemu, ocenzonego Marksowi świata komunistycznego — pisarze zachodni przeciwstawiają Marksa humanistycznego, pełnego wątpliwości, sprzeczności i tragizmu.

Polska jako kraj katolicki — wydawać by się mogło — jest predestynowana do roli amfiteatru wielkiej debaty naszej epoki. Bo jak słusznie zauważył Alasdair MacIntyre w szkicu „Pascal and Marx” katolicy i marksiści, choć różnią się w kwestii czy Bóg istnieje — są solidarni w przekonaniu, że problem istnienia czy nie istnienia Boga jest sprawą zasadniczej wagi. W tej podstawowej kwestii marksiści bliżsi są katolikom niż pewnego typu liberałowie, którzy religię (względnie jej brak) uważają za sprawę prywatną, bez większego znaczenia. Można nawet zarzykować pogląd, że przywiązując podstawową wagę do tej arcy-kwestii marksiści bliżsi są katolikom niż protestanci rewizjoniści typu Biskupa Robinsona, który w swej książce „Honest to God” rozstał się z ideą personalnego Boga.

Świat bez Boga jest nie tylko tragiczny lecz i bez sensu. Jak przywrócić światu sens nie wskrzeszając Boga? Marksizm idei wieczności przeciwstawia pojęcie Historii w czasie przyszłym. Kiedyś poszczególne części skomplikowanej zagadki ludzkiego bytu ułożą się w harmonijną całość. Wówczas poznamy prawdę. Historia nie jest jednak Mesjaszem, którego nadejścia biernie oczekują marksiści. Przeciwnie, jesteśmy współautorami

tego procesu, którego utopijna wizja leży w przyszłości, lecz kolebka w teraźniejszości.

Afirmowanie Boga jest aktem wiary. Istnienia Boga nie można udowodnić laboratoryjnie. Historii w czasie przyszłym ujętej w wizję komunistycznej utopii nie można również udowodnić naukowo.

Każdy katolik pragnie uniwersalnego zwycięstwa rzymskiego kościoła. Każdy przekonany komunista pragnie światowego triumfu komunizmu. To jest zrozumiałe i ludzkie. Lecz co innego jest wierzyć, co innego jest wysuwać hipotezę, a zupełnie czymś innym jest ideologiczną koncepcję podnosić do rangi obiektywnie sprawdzalnego naukowego prawa.

Dlaczego komunizm wynaturzył się w totalizm? Jeżeli utopię podnosi się do rangi naukowego pewnika — wówczas zasada, że cel uświęca środki wydaje się w pełni usprawiedliwiona.

Pewien minimalny procent dzieci umiera corocznie na skutek komplikacji wywołanych szczepieniami ochronnymi. Niemniej, szczepienia są narzucone administracyjnie ponieważ ich statystyczna skuteczność jest pewnikiem naukowym. Gdyby owa skuteczność nie była bezwzględnie naukowo sprawdzona — przymus administracyjny czyli zasada, że cel uświęca środki — nie byłaby usprawiedliwiona.

Komunizm nie jest uniwersalną szczepionką naukowo sprawdzoną. I wskutek tego, tak w Polsce jak i w innych krajach bloku wschodniego, wielu ludzi wątpi w jego skuteczność. W takich warunkach stosowanie przymusu administracyjnego jest czystym totalizmem, tzn. ulegalizowaną przemocą.

Wszystkie środki są dobre z wyjątkiem tych, które nie prowadzą do celu. Za zbrodnicze należy uznać środki niweczące cel do którego rzekomo mają prowadzić. Wierzącemu komuniście jest bardzo trudno zrezygnować z uniwersalnego mitu którego formalnym wyrazem jest wszechkonformizm. Światowy triumf komunizmu — ów koniec prehistorii, by użyć słów Marksa — musiałby oznaczać uwiad wszystkich religii i wszystkich kierunków filozoficznych z wyjątkiem materializmu.

W krajach w których komuniści dochodzą do władzy „prehistoria” dobiega kresu i przemocą narzuca się ludziom konformizm — tak jakby komunistyczne millenium było faktem dokonanym. Konformizm komunistyczny jest naiwną imitacją uniwersalizmu i przypomina do złudzenia wsie Potiomkina.

W utopijnym państwie, w którym 80% społeczeństwa stanowiliby przekonani komuniści, cenzura byłaby niepotrzebna i nikt nie skarżyłby się na brak wolności. Podstawowe dyskusje mielibyśmy za sobą. Lecz jak można dojść do owego stanu uniwersalnej harmonii w ustroju, w którym dyskusja na zasadnicze tematy jest zabroniona?

W rezultacie, Marks żyje jako myśliciel w krajach Zachodu. W bloku wschodnim zadowolić się musi milczącymi portretami i pomnikami.

W Polsce istnieją potencjonalne możliwości wielkiej intelektualnej dyskusji, która mogłaby zapłodnić literaturę i wydobyc ją z wschodnio-europejskiego zaścianka. Lecz nie operujemy ogólnikami i przeanalizujmy pojęcie zaścianka. W kulturze zaściankowej jeden motyw lokalny podniesiony jest do rangi naczelnego mitu, któremu podporządkowane jest wszystko. Partykularz jednak może służyć również do wyrażenia motywu

uniwersalnego i wówczas pod piórem wielkiego pisarza powstaje arcydzieło literatury światowej jak „Gösta Berling” Selmy Lagerlöf. „Trylogia” wyraża partykularz poprzez partykularz i dlatego nie jest arcydziełem literatury światowej. „Pan Tadeusz” wyraża również partykularz poprzez partykularz, lecz jest arcydziełem literatury światowej dzięki nieskazitelnej doskonałości formy.

Literatura zaściankowa jest nietolerancyjna i jednokierunkowa. W naszym konkretnym wypadku literatura polska XIX i początków XX wieku poświęcona była „krzepieniu serc” i „mobilizacji ducha”. Marksizm uczy nas, że tak pisarz jak i jego dzieło są produktami uwarunkowania społecznego. Naród pragnął wyzwolenia i niepodległości i tej idei podporządkował dobrowolnie swe dążenia i twórczość. Każdy stan wyjątkowy narzuca ciasnotę i wówczas zwycięstwo jest jedynym punktem odniesienia dla wszystkich i dla wszystkiego. Nie zmienia to faktu, że literatura polska okresu niewoli — w aspekcie uniwersalnym była *poniejszona* partykularyzmem naszej tragedii. Lecz ów partykularyzm i poddanie całej twórczości jednej idei — po pierwsze było aktem spontanicznym po drugie pokrywało się z „zamówieniem społecznym”, po trzecie przyniosło zwycięstwo w postaci niepodległego państwa.

Dziś również poddaje się literaturę supremacji jednej idei lecz owa idea w jej obecnej postaci nie pokrywa się z „zamówieniem społecznym”. Dziś również obowiązuje konformizm z tą różnicą, że nie wpływa on z dobrowolnie przyjętych konsekwencji stanu wyjątkowego — lecz narzucony jest administracyjnie poprzez cenzurę.

Nasza kultura XIX i początków XX wieku była monolityczna w tym względzie, że przesycała ją jedna idea. Lecz ów monolityzm nie był postulowany i stanowił wyraz sytuacji wyjątkowej. Obecnie narzuca się Polsce kulturę monolityczną z tą różnicą, że monolityzm obecny nie jest wyrazem stanu wyjątkowego lecz przeciwnie stanu permanentnego. Monolityzm obecny jest doktrynalny, instytucjonalny i stanowi konsekwencję ideologicznej dyktatury.

Krytyk uprzedzony do poprzedniego okresu historycznego — może powiedzieć, że monolityzm naszej kultury był archaiczny, nacjonalistyczny, zaściankowy. Lecz jakkolwiek był — był nasz własny. Podczas gdy obecny monolityzm jest narzucony.

Andrzej Kijowski w omawianym szkicu pt. „Granice Literatury” („Twórczość”, Nr 8/64) pisze:

„Pierwszy warunkiem, który musi spełnić dobijający się o władzę dyktator jest sprowadzenie społeczeństwa do stanu owego dziecięctwa, tzn. zlikwidować musi instytucje, znieść podział na kompetencje, zatrzeć granice między poszczególnymi strefami działalności ludzkiej, a wszystko poddać jednolitemu celowi, jednolitej idei i jednolitemu autorytetowi. Społeczeństwo zuniformizowane w formach kulturalnych zdziecinnieje w przeciągu bardzo krótkiego czasu. Grunt jest wtedy przygotowany dla byle jakiej dyktatury: może po nią sięgnąć dziecko lub kretyn. Społeczeństwo o kulturze monolitycznej jest bezbronne”.

Choć powyższe słowa w intencji autora nie odnoszą się do sytuacji współczesnej oświadczyć sędzę, że znacznie lepiej charakteryzują stan obecny w Polsce niż epokę sprzed pół wieku.

Lecz wróćmy do kwestii surrealizmu, od której zacząłem te rozważania. Absurdalna jest literatura, która w sposób magiczno-archaiczny identyfikuje się z rzeczywistością. Lecz niemniej absurdalna jest literatura, wyobcowana z rzeczywistości. Absurdalny jest Podbipięta, za którego duszę daje się na Mszę, lecz niemniej absurdalny jest „bohater pozytywny” odgórnie zaplanowany.

Katolicyzm i komunizm jako systemy autorytatywne współżyć mogą tylko w ustroju demokratycznym jak we Włoszech lub we Francji. Literatura nie może spełnić swego zadania w żadnym ustroju autorytatywnym. Przywódcy autorytatywni nie są zainteresowani ani w dyskusji ani w interpretacji i każdy przejaw niezależnej myśli uważają za herezję.

Lucien Goldmann nie mógłby wydać swej książki ani w Hiszpanii ani w Polsce. W pierwszym wypadku z uwagi na herezję katolicką — w drugim wypadku z uwagi na herezję marksistowską. Lecz cóż na to poradzić, że na ogół najlepsze książki są zwykle heretyckie.

ŹRÓDŁA MISTYCZNE

Kazimierz Okulicz którego artykuł pt. „Między Niemcami a Rosją” w poprzednim numerze „Kultury” przeczytałem z wielkim zainteresowaniem — wprowadził mnie w zdumienie następującą uwagą:

„Mogę tylko skierować tych co chcieliby przestudiować mistyczne źródła rosyjskiego imperializmu do pism Aleksandra Brücknera, Mariana Zdziechowskiego, Jana Kucharzewskiego...”

Według mojej skromnej opinii nie ma żadnych „mistycznych” źródeł imperializmu rosyjskiego — wielu Polaków natomiast, zwłaszcza starszego pokolenia, wykazuje mistyczne podejście do tematyki rosyjskiej.

Pewni, skądinąd znakomici, specjaliści polscy traktują Rosję jako fenomen izolowany, którego nie mają się ani czas, ani postęp, ani ewolucja. Wszystko na świecie zmienia się i przeobraża lecz nie Rosja. Wskutek tego ciągle jest ważne i istotne co napisali o Rosji Brückner czy Zdziechowski, mimo, że pisarze ci zmarli przed ćwierć wiekiem.

Okulicz pisze, że „tylko nieznanostwo ducha Rosji, tego co prof. Marian Zdziechowski nazwał „maksymalizmem duszy rosyjskiej”, mogła dyktować (Mieroszewskiemu — przyp. mój) — taki frazes jak „rozładowanie wschodnio-europejskiego i rosyjskiego, historycznego kompleksu lęku w stosunku do Niemiec”.

W każdej dyskusji wyodrębnić można trzy elementy: teza, kontrteza i fakty.

Jak wyglądają fakty?

W okresie, który dzieli nas od epoki Brücknerów, Zdziechowskich i Kucharzewskich, Rosja Sowiecka na skutek najazdu hitlerowskiego poniosła straty oceniane na 20 milionów ludzi.

Okulicz powołuje się na „maksymalizm duszy rosyjskiej” i pisma sprzed 30-tu laty, natomiast ja moją tezę opieram na świadectwie Polaków, którzy w ostatnich kilku latach dłuższy czas spędzili w Rosji. Jeden z moich rozmówców — wybitny młody naukowiec — spędził w 1962 roku 6 miesięcy w Związku Sowieckim. Ludzie ci podkreślali zgo-

dnie, że Rosjanie nie boją się Amerykanów ani nie czują do nich nienawiści — boją się natomiast Niemców i pamiętają straszliwe lata wojny. W tej sprawie nic nie pomoże „maksymalizm duszy rosyjskiej”, bo to są bezsporne fakty potwierdzone przez legion wiarygodnych świadków.

Jest czymś zdumiewającym owa iście mistyczna wiara pewnych Polaków w niezmienną naturę fenomenu rosyjskiego. Owa postawa wywodzi się z kompleksu „miłości-nienawiści” i stanowi nasze fatalne dziedzictwo.

Oczywiście „dusze”, „mistyki”, „maksymalizmy” — nie mają nic wspólnego ani z antropologią, ani z historią ani z polityką. Nikomu nie przyszłoby na myśl w ocenie współczesnej polityki amerykańskiej czy brytyjskiej powoływać się na studia sprzed 30-tu laty. Ameryka i Anglia uległy licznym i istotnym przeobrażeniom — lecz Rosja oczywiście jest wieczna, nieśmiertelna i niepodlegająca przemianom.

Z „duszami” narodów trzeba być bardzo ostrożnym. Jakż najwięk-
szy znawca „duszy” narodu francuskiego — po chwale i laurach zwycięstwa w pierwszej wojnie światowej — mógł przewidzieć Vichy?

My również mamy swoje Vichy. Gdyby mi ktoś w roku 1938 powiedział że Polacy przełkną zabór i Bieruta, tak jak to się stało — nigdy bym w to nie uwierzył.

Lata koszarnej okupacji a przede wszystkim Powstanie Warszawskie przygotowały grunt pod Vichy — tak jak wstępem do klęski Francji był ów powojenny Paryż czarny żałobą Francuzek.

Gdyby nie było powstania, gdyby Warszawy nie zrównano z ziemią — Październik 1956 miałby zupełnie inny przebieg. Stabilizację i stagnację w Polsce Ludowej komuniści w znacznym procencie zawdzięczają klęsce powstania. Lecz na emigracji nie brak zamasy starych panów, którzy choć Polskę opuścili 25 lat temu, gotowi przysięgać, że Polacy nie zmienili się na jotę. Byle przemówić do nich z konia i z szablą w dłoni.

Cytowany artykuł Kazimierza Okulicza zawiera wiele ciekawych tez i poglądów. Jeden z najbliższych moich artykułów poświęcę omówieniu tych spraw. Celem tej notatki jest jedynie oczyścić przedpole i określić płaszczyznę dyskusji. W „Kulturze” odrzucamy wszystkie „mistycyzmy” zarówno rosyjskie jak i polskie. Reprezentujemy pogląd, że Rosja Sowiecka podlega ewolucji (i wpływem zewnętrznym) podobnie jak wszystkie inne państwa i narody. Przyszłej perspektywy normalizacji stosunków polsko-rosyjskich dopatrujemy się w ewolucji Związku Sowieckiego i sądzimy, że na ów rozwój Polska winna wpływać odrzucając wszystkie wczorajsze kompleksy i szablony.

MODEL MIESZANY

Czy dyskusje ideologiczne są przejawem charakteryzującym niski stopień rozwoju społecznego?

Obserwując wybory w Wielkiej Brytanii odnosiło się wrażenie, że na skutek rozpisania „konkursu” na nowy rząd — dwa zespoły ekspertów podjęły konkurencyjną walkę w celu zdobycia tego cennego kontraktu społecznego.

Ewolucja modelu brytyjskiego polega na tym, że obie główne partie adoptują fragmenty programu swych przeciwników. Konserwatyści przejęli w całości koncepcję *Welfare State*. Labour Party przejęła od konserwatystów tezę, że motyw zysku i „wolna inicjatywa prywatna” są do pogodzenia zarówno z *Welfare State* jak i z tzw. „mieszana gospodarką”.

Na ulicach przedmieść londyńskich, które przemierzam od wielu lat — roilo się niegdysiejsi adaszy konserwatystów. W przeciwieństwie do dawnych ważyły niebieskie afisze konserwatystów. W przeciwieństwie do dawnych lat wojennej *austerity* — dziś przed każdym domem stoi samochód. Samochody na ogół głosują na „niebiesko”, na konserwatystów.

W chwili gdy piszę te słowa wynik wyborów nie jest znany, lecz dylemat Labour Party jest znany. Słusznie zauważył „The Observer” — że Labour Party nie może zrezygnować z wizji społeczeństwa socjalistycznego a równocześnie musi przekonać wyborcę, że nie odbędzie się to jego kosztem.

Podstawą socjalizmu jest zasada prymatu sprawiedliwości społecznej. Innymi słowy sprawiedliwość społeczna przed zyskiem prywatnym i kosztem zysku prywatnego.

Należy podkreślić jeszcze jeden moment niezmiernie ważny. Postęp technologiczny zmienił oblicze doli proletariackiej.

Nie można porównać warunków życiowych żony przeciętnie zarabiającego robotnika sprzed ćwierć wieku z analogiczną sytuacją żony robotnika dzisiaj. Opieranie całej rodziny, klasyczne cerowanie męzowskich skarpetek, pastowanie i froterowanie linoleum, trzepanie reprezentacyjne dywanu itd. itp. — to były ciężkie roboty, na które kobieta była skazana dożywotnio. Dziś brudną bieliznę pierze maszyna do prania, skarpetek z sztucznych włókien nie trzeba nigdy cerować, koszul nie trzeba prasować, linoleum czyścić i wyswieca maszyna, dywan trzepie odkurzacz, lodówka umożliwia robienie sprawunków raz na tydzień — i jest mnóstwo czasu na telewizję, „Bingo” i nieskończoną ilość *cups of tea*.

Na produkcji tych wszystkich „gadżetów” setki przedsiębiorców zarobiło i zarabia nadal miliony funtów. Lecz równocześnie kapitaliści ci udostępnili postęp technologiczny szerokim masom społeczeństwa. Owa powódź dóbr konsumpcyjnych kojarzy się w umyśle każdego z nas z kapitalizmem, z wolną inicjatywą, a nie z socjalizmem, nie z nacjonalizacją przemysłu.

Czy jest rzeczą możliwą być sprawiedliwym społecznie jak socjalista i równocześnie produkować tak sprawnie jak kapitalista?

To jest dylemat, na który do tej pory nie ma odpowiedzi. Ideałem byłby ustrój, który sprawiedliwość społeczną socjalizmu umiałby połączyć z dynamiką gospodarki kapitalistycznej.

Wydaje się, że najbliższym powyższego ideału jest ustrój mieszany oparty o *mixed economy*. Tak konserwatyści jak i Labour Party reprezentują programy mieszane. Różnice nie dotyczą istoty rzeczy tylko proporcji mieszanki. W mieszance Labour Party mamy przewagę socjalizmu, w mieszance konserwatystów przewagę kapitalizmu. I to wszystko.

GENEZA IMPERIUM

W Stanach Zjednoczonych ukazała się wybitna książka pt. „The Rise of the Soviet Empire”. Autorem tego obszernego dzieła, liczącego niemal 400 stron jest b. polski dyplomata Jan Librach.

Omawiana praca jest klasycznym wzorem w aspekcie formalnym. Dokumentacja, źródła, bibliografia, indeks — znamionują warsztat naukowy na najwyższym poziomie. Olbrzymi materiał skomponowany jest logicznie, wykład jest jasny, całość klarownie przejrzysta.

Książka jest polska i nie polska i w tym leży jej największa wartość.

Trudno byłoby znaleźć polskiego autora, który w omawianiu spraw tak nam bliskich — potrafiłby dorównać Librachowi w bezwładnym obiektywizmie. Anglosaski *detachment* doprowadził autor do perfekcji. I w tym sensie książka jest zaszczytnie „nie polska”.

Studium przeznaczone jest w pierwszej linii dla czytelnika amerykańskiego, który biorąc książkę do ręki z noty na obwolicie dowiadyuje się że autorem jest Polak. By zdobyć obcego czytelnika dla naszego punktu widzenia trzeba przełamać jego nieufność do polskiej stroniczości. Sądząc po recenzjach w prasie amerykańskiej Librach w pełni to osiągnął:

Autor omawianej książki unika syntez i przepowiedni. Niemniej przecież przesłanki książki są bardzo wyraźne. Librach nie wyłącza w przyszłości przemian ewolucyjnych w Związku Sowieckim. Lecz w chwili obecnej owe przemiany nie są jeszcze sprawdzalnym faktem i wskutek tego byłoby błędem uznać je za fundament polityki koegzystencji. Niestety wielu „koegzystencjalistów” Zachodu tak właśnie postępuje. Przyjmowanie pobożnych życzeń za fakty dokonane — nie przyspiesza liberalizacji w Związku Sowieckim lecz przeciwnie wydatnie ją opóźnia.

Książka reprezentuje sumę polskich doświadczeń popartych intymną znajomością problematyki sowieckiej. Równocześnie zarówno w treści jak i w formie studium jest tak wyważone, że gdyby nie nota na okładce nikt by się nie domyślił, że napisał je emigrant z wschodniej Europy. I to zadecyduje nie tylko o sukcesie lecz i o skuteczności pracy Libracha.

LONDYŃCZYK

Sprawy gospodarcze**Problem cen w handlu polsko-sowieckim**

Od lat już istnieje wiele dowodów, że w oczach opinii krajowej handel z Rosją Sowiecką przynosi Polsce straty, że mianowicie koszt surowców i maszyn sowieckich jest wyższy, a ceny towarów wywożonych przez Polskę niższe od uzyskiwanych gdzie indziej, w tej liczbie w innych krajach bloku sowieckiego. Z tym poglądem łączą się wielokrotnie dochodzące z granicy wiadomości o tym, że jakoś towarów przywożonych z Sowietów była czy jest niska, że np. ruda żelazna krzyworska często zawiera wysoki procent kamienia, że używana maszyneria bywa sprzedawana za nową, że Rosja narzuca Polsce sprzęt przemysłowy wycofany przez nią z obiegu jako przestarzały, i tak dalej. Dzieje się to właśnie wtedy, kiedy kontrola sowiecka przywozu z Polski staje się szczególnie surowa i wymagająca: inspektorzy sowieccy mają nieraz „szukać dziury w całym”, aby poprzez kary konwencjonalne obniżyć ustalone w kontraktach dostaw ceny sprzętu polskiego. Na tym tle kilkakrotnie miało dojść do protestów załóg zakładów przemysłowych przeciw wywozowi do Rosji np. statków czy blach stalowych, czy to dlatego, że te ostatnie były specjalnie potrzebne gospodarce krajowej, czy też w przekonaniu, że wywóz ich był nieopłacalny.

Rozejrzenie się w tej ewidencji podejrzeń i pogłosek i zorientowanie się ile w nich jest prawdy a ile złośliwej plotki, jest dla badacza spoza kraju niewykonalne. Będąc odbiciem daleko idących niechęci do Sowietów i nieufności wobec władz krajowych, materiał taki zawiera domniemanie wielki procent przesady. Jest on jednak jakby uzasadniony doświadczeniem lat

Studium to jest skrótem referatu wygłoszonego na konferencji ekonomistów polskich, odbytej w Londynie w czerwcu rb. Teksty kilkunastu odczytanych tam referatów i dyskusji nad nimi, oraz uchwał konferencji, ukaza się pod koniec roku w wydaniu książkowym.

powojennych, kiedy armia czerwona „kupowała” w Polsce co się dało za jednostronnie wyznaczone przez nią ceny, a miliardowe w dolarach *avoiry*, uznane równie jednostronnie za niemieckie, były konfiskowane i wysyłane na wschód bez odszkodowania. Można także bez wielkiego ryzyka założyć, że w okresie stalinowskim, a szczególnie w czasie wojny koreańskiej, Bierut i Minc nawet przy dobrych chęciach nie byli w stanie uzyskać od Rosji sprawiedliwych cen na towary, będące przedmiotem obrotu z tym krajem. Sporadyczne oświadczenia urzędniczo-prasowe z tego okresu, ogólnikowo stwierdzające, że miało być wręcz odwrotnie, mogły być raczej uważane za dowód z lewej ręki, za potwierdzenie, że nie było dymu bez ognia, i nie mogły być brane za dobrą monetę.

Sytuacja ta wszakże uległa, czy miała ulec zmianie na lepsze pod koniec r. 1956, jak o tym zdaje się świadczyć znana deklaracja sowiecka z 30 października 1956, zapowiadająca wprowadzenie rzetelnych cen w handlu satelitów ze Związkiem Sowieckim. Widocznie uprzednio tak nie było, skoro zaszła potrzeba składania takiego oświadczenia. Czy rzeczywiście takie ceny są sprawiedliwe, oto przedmiot mego studium, opartego na oficjalnym materiale sowieckim w rocznikach handlu zagranicznego 1955-1962 oraz częściowo tylko, niestety, na odpowiednim materiale polskim. Wnioski wyciągnięte ze statystyk sowieckich uzupełnione są konkluzjami ze źródeł polskich za r. 1961. Wszakże wobec ogólnej stałości cen w handlu polsko-sowieckim dane takie są w dużym stopniu miarodajne dla całego okresu po r. 1958 (w r. 1957 niektóre ceny wywozu polskiego do Rosji miały ze zrozumiałych powodów charakter wyjątkowy).

Pierwszym badaczem za Zachodzie, który podszedł do zagadnienia cen w handlu sowiecko-satelickim był dr Horst Mendershausen z Rand Corporation w Kalifornii, instytucji znanej z wysokiego poziomu jej prac. W pionierskich studiach, ogłoszonych w maju 1959 i maju 1960 w *Review of Economics and Statistics*, wydawanej przez uniwersytet Harvard, zestawiał on ceny towarów wywożonych bądź przywożonych przez Rosję w obrocie z krajami bloku sowieckiego z cenami tychże towarów w jej handlu z Europą Zachodnią w latach 1955—1959. Doszedł on do wniosku, że dyskryminacja sowiecka w handlu z krajami bloku była faktem dowiedzionym, zarówno w wywozie jak przywozie. W okresie tych czterech lat satelici nadpłacili Rosji kolejno 16%, 11%, 8% (w r. 1957) i 12% w porównaniu do krajów Europy Zachodniej. Odpowiednie niedopłaty za wywóz z tych krajów do Rosji miały w kategoriach porównywalnych wynieść przeciętnie 13%, 20%, 21% i 20%. Łączny efekt pieniężny tej dyskryminacji w ciągu czterech lat w wywozie i przywozie wyraził się ekwiwalentem 644 milionów bieżących dolarów. Suma ta była niemal czterokrotnie wyższa od nadwyżki wywozu sowieckiego do krajów bloku nad przywozem z nich, i znacznie wyższa od sumy kredytów przyznanych tym

krajom przez Rosję w tym samym czasie, mimo iż obejmował on rok 1957, kiedy kredyty takie były wysokie.

Wywody Mendershausena wywołały szerokie echo wśród ekonomistów amerykańskich, a zarazem zarzuty wobec nich. Jednym z argumentów jego przeciwników była rzekoma nieporównalność towarów, będących przedmiotem handlu sowieckiego z dwiema częściami Europy. Gdzie jest dowód, pytano, że jest to tego samego gatunku zboże, bawełna, metal czy budulec? Być może, mówiono, wolne kraje Europy kupują niższe gatunki tych towarów od nabywanych przez satelitów, wobec czego niższa ich cena jest uzasadniona. Jeśli zaś chodzi o wywóz do Rosji, niższy gatunek czy jakość towaru satelickiego są więcej niż prawdopodobne, usprawiedliwiając niższe ceny płacone przez Rosję. Argument ten, jeśli chodzi o wywóz z Rosji, nie był przekonywujący, gdyż domniemanie, że względnie ubogie kraje bloku kupują towar sowiecki wysokiego gatunku czy jakości, na który nie mogą sobie pozwolić bogate kraje Europy Zachodniej, był nie tylko do udowodnienia, ale sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem. Bardziej podatne na krytykę były inne wyliczenia Mendershausena.

Można było zarzucić mu rozumowanie liczbowe na podstawie początkowych danych, zwłaszcza w odniesieniu do eksportu krajów bloku do Rosji, i co więcej niebezpieczeństwo nawiasowej co prawda ekstrapolacji takiego rozumowania na całość miliardowych obrotów handlowych sowiecko-satelickich. W pierwszej swej pracy nietylę twierdził on, ile sugerował, że tak obliczana dyskryminacja wobec krajów bloku w *całości* ich handlu z Rosją mogła wynosić ekwiwalent 500 do 625 milionów dolarów rocznie, przewyższając w ciągu czterech lat dwa miliardy dolarów. Fakt, że uczony ekonomista wszedł na tę drogę, zachęcił badaczy emigracyjnych w Ameryce — nie Polaków — do uznania jej za dowiedzioną i właściwą. Kto zna niektóre z takich wyliczeń, ogłoszonych w Nowym Jorku, ten zdaje sobie sprawę, że na podstawie takich założeń można w oskarżeniach wobec Związku Sowieckiego zajechać zbyt daleko (osiem miliardów dolarów domniemanych strat krajów bloku w latach 1955-1962). Przypuszczać można, że właśnie obawa przed propagandowym wyzyskaniem metody Mendershausena przez osoby specjalnie zainteresowane, była przyczyną ostrożnego stosunku do jego wywodów ze strony badaczy amerykańskich, zwłaszcza w okresie kiedy oficjalna Ameryka weszła na drogę szukania *modus vivendi* ze Związkiem Sowieckim.

Innym zarzutem wobec Mendershausena było to, że w swych wyliczeniach nie uwzględnił on wpływu jaki na kształtowanie się cen sowieckich na towary masowe musi mieć koszt ich transportu do portów czy granic lądowych sowieckich, co będzie omówione niżej. Fakt jest, że napotkawszy na krytyczny stosunek wobec swych studiów, uczony ten poniechał dalszych badań tematu.

Obrawszy nieco inną metodę porównywania cen towarów sowieckich dla poszczególnych krajów bloku sowieckiego z przeciętnymi cenami tychże towarów wywożonych do *wszystkich* krajów wolnego świata, obliczyłem efekt pieniężny dyskryminacji wywozowej wobec Polski i innych krajów bloku za lata 1958—1960. Uczniowie moi z seminarium Wschodniej Europy w American University w Waszyngtonie, Richard A. Morris i James G. Bowden Jr., posiłkując się tą samą metodą i uzupełniając ją w niektórych kierunkach, obliczyli podobne *prima facie* nadpłaty sześciu krajów bloku za lata 1961—1962. Badania porównawczych cen towarów wywożonych do Rosji przez sześć krajów nie podjąłem, wychodząc z założenia, że podstawa statystyczna, na której obliczenia takie mogły być oparte, była zbyt wąska aby można było wyciągać z niej przekonujące wnioski. Obliczenia takie wprawdzie mogły być przeprowadzone, ale pokrywając zaledwie 10 do 20% importu sowieckiego z tych krajów byłoby statystycznie bezwartościowe.

Studium wywozu sowieckiego około 50 pozycji towarowych za pięć lat do sześciu krajów Komekonu (do r. 1960 także i do Albanii) wymagało tysięcy żmudnych przeliczeń i może tu być odmówione tylko w największym skrócie.

Według statystyk sowieckich, ogólny koszt dyskryminacji wywozowej wobec całego obszaru wyniósł w latach 1958—1963 ekwiwalent 2,070 milionów dolarów, z czego na Polskę przypadało 281 milionów. *Prima facie* nadpłata Polski, niższa od podobnych nadpłat Niemiec Wschodnich (784 miliony) i Czechosłowacji (422 miliony), tłumaczy się mniejszym polskim wolumenem importu surowców z Rosji: w przeciwieństwie do wspomnianych krajów, Polska albo wcale nie kupuje w Rosji, albo przywozi małe tylko ilości żywności, węgla i koks, budulca i drewna, żelaza, cynku, ołowiu i wyrobów walcowanych. Współczynnik dyskryminacji wywozowej wobec Polski, tj. różnica dwóch poziomów cen, podniósł się z 4.6% w r. 1958 do 23% w r. 1962 i 26% w r. 1962, będąc wciąż nieco niższy od przeciętnego dla sześciu krajów bloku, który w tym ostatnim roku wyniósł 28%.

Z 35 kategorii towarów importowanych przez Polskę z Rosji, w ostatnim statystycznie opracowanym r. 1962, tylko dwie, żyto i len, były nabyte po cenach niższych od uzyskiwanych przez Rosję na rynkach wolnego świata. Ceny innych towarów sowieckich były dla Polski wyższe. Nie chcąc przeciążać tych wywodów szczegółami, podam tylko, że w okrągłych liczbach, cena węgla sowieckiego sprzedawanego Europie Zachodniej wyniosła w r. 1962 niecałe 8 nowych rubli za tonę (rubel handlu zagranicznego oznacza 1.11 dolara), dla Polski 15 nowych rubli, cena ropy naftowej odpowiednio 9 i 20.5 rubli za tonę, oleju opałowego 9 i 16.5 rubli, smarów 49 i 88, rudy żelaznej 7.24 i 10.58, rudy manganu 22 i 42, rudy chromu 20 i 35, wyrobów walcowanych 87 i 271, azbestu 94 i 188 rubli. Traktory

dla wolnego świata kosztowały 1375 rubli za sztukę, dla Polski 6545 rubli, ciężarówka odpowiednio 1400 i 3200 rubli, motocykle 163 i 306, rowery 6 i 17, telewizory 51 i 104, zegarki na rękę 1.43 i 4.23 rubli. Wyższe ceny sowieckie na węgiel, wyroby walcowane i traktory były usprawiedliwione wyższym gatunkiem bądź asortymentem tych kategorii w stosunku do ich eksportu do innych krajów po obu stronach kurtyny żelaznej, ale nie do stopnia wyżej podanego. W stosunku do wielkości innych towarów usprawiedliwienia takiego nie było.

Niemniej interesującym wnioskiem z analizy oficjalnie stwierdzonych cen wywozu sowieckiego jest fakt, że dyskryminacja istnieje również *wewnątrz* obszaru europejskich krajów bloku. Obok Bułgarii, Niemiecka Republika Demokratyczna korzysta z uprzywilejowanych cen na niektóre kluczowe towary sowieckie, w porównaniu z cenami płaconymi przez inne kraje, w tej liczbie przez Polskę. Oto trzy przykłady za rok 1962 — chodzi tu zresztą o zjawisko ciągłe, a nie jednoroczne — ruda żelazna: Austria (jedeny wolny kraj importujący ten surowiec z Rosji) 8 dolarów za tonę, Niemcy Wschodnie 10 dolarów, Polska 11.35; ruda manganu wolny świat 24 dolary, Niemcy Wschodnie 27, Polska 36; ropa naftowa wolny świat 10 dolarów, Niemcy Wschodnie 19.40, Polska 22.67 dolarów. (Warto tu nadmienić, że na pytanie zaniepokojonego czytelnika, nie dając mu zresztą oczekiwanej odpowiedzi, minister przemysłu chemicznego Radliński ujawnił w warszawskiej *Polityce* z 3 marca 1964, że Polska płaci „teraz” 21.32 dolarów za tonę ropy romaszińskiej na granicy państwa, tj. nieco mniej niż w r. 1962). Nadpłata Polski za te trzy kategorie importu z Sowietów w stosunku do cen płaconych przez Niemcy Wschodnie wyniosła blisko 16 milionów dolarów w jednym roku 1962 i przeszło trzy razy więcej od r. 1955.

Powyższe wyliczenia, i legion innych na które tu nie ma miejsca, mogą być skontrolowane przez każdego kto siądzie do statystyk sowieckich z ołówkiem w ręku. Jest obiektywnie pewne, że za 35 kategorii towarów sprowadzonych ze Związku Sowieckiego w r. 1962, przedstawiających 60% całości jej przywozu z tego kraju i ogólnej wartości 594 milionów dolarów, w stosunku do klienteli sowieckiej w wolnym świecie Polska przepłaciła ekwiwalent 93 milionów dolarów. Nadpłata ta rośnie z roku na rok od r. 1955, tendencja jej wzrostu jest niezamącona wyjątkami.

Oto ewidencja *prima facie*. Analiza zagadnienia wymaga wszakże wzięcia pod uwagę innych elementów rozumowania: jednym z nich jest sprawa kosztów własnych Związku Sowieckiego przy sprzedaży towarów, zwłaszcza masowych, do różnych krajów świata.

Kraje Europy Zachodniej kupują surowce sowieckie i inne towary masowe głównie w portach czarnomorskich, z reguły bliższych stacji ich załadowania od granicy polskiej. Im dłuż-

szy przebieg wagonu kolejowego, tym wyższy jest koszt własny towaru sowieckiego, sprzedawanego f.o.b. Różnica kosztu transportu jest do obliczenia; stanowi ona kilka, czasami więcej procent ceny sprzedażnej. Jest ona szczególnie wysoka dla ropy naftowej, która do niedawna jeszcze była przywożona do Polski w cysternach kolejowych z odległości około 2500 km. Koszt takiego transportu wynosił około 40% ceny sprzedażnej dla krajów bloku sowieckiego, tj. około 9.40 dolarów za tonę. Po uruchomieniu w r. 1965 brakującego dotąd odcinka rurociągu Przyjaźni (na terenie sowieckim), koszt przewozu ropy na odległość 2250 km od Ałmetiewska za Wołgą do Terespolu, który już latem 1964 jest mniejszy, powinien spaść w przybliżeniu o 7 dolarów na tonie. Przy dwóch milionach ton ropy tłoczonych tym rurociągiem, oszczędność powinna wynieść do 15 milionów dolarów rocznie. Statystyki za 1966-1967 wykażą czy tak się stanie.

Reasumując tę część rozumowania, niezbędne jest przy badaniu cen wywozowych masowych towarów sowieckich wprowadzenie poprawki na koszt transportu na terenie sowieckim. Tu wszakże nie jest koniec sprawy. Szczegółowa analiza szeregu pozycji wywozowych sowieckich, przewożonych w różnych kierunkach różnymi środkami transportu, prowadzi do niezliczonych znaków zapytania, na które nie ma odpowiedzi. W teorii, ceny w handlu sowiecko-satelickim są ustalane na podstawie przeciętnych cen światowych za miniony okres czasu z poprawką na wahania tych cen na giełdach towarowych wolnego świata, wywoływanych przez spekulację. Jakkolwiek jest wprowadzona w życie ta mętna zasada, pozwalająca na dowolne odchylenia interpretacyjne, uchodzi za dowiedzione, czy raczej oczywiste, że w braterskich stosunkach między krajami socjalistycznymi ceny dla nich powinny być te same po uwzględnieniu czynnika kosztów transportu, który i w tym wypadku gra pewną rolę. Okazuje się, że tak nie jest, że ceny takie są najczęściej inne, wyższe lub niższe w setkach kombinacji towar przez środek transportu przez ten lub inny kraj i tę lub inną datę sprzedaży. Przykładowe nawet omówienie tej sprawy jest niewykonalne w krótkim studium, a jej szczegółowa analiza nie była dotąd przeprowadzona przez nikogo, a przynajmniej nie jest mi znana.

Wniosek z wyżej powiedzianego jest, że jeśli chodzi o towary porównywalne, kraje satelickie, a wśród nich Polska, przepłacają Sowietom znaczne sumy, wprawdzie nieco mniejsze od cytowanych w pierwszej części wywodu: nie 2,070, względnie 281 milionów dolarów za pięć lat, ale trochę mniej. Kraje te płacą tak wysokie ceny, gdyż nie mają wyboru dostawców, głównie dlatego, że nie mają dewiz na zakup surowców na wolnych rynkach, częściowo także dlatego, że nawet gdyby miały takie dewizy, zakup niektórych surowców byłby trudny do przeprowadzenia.

Nie oznacza to jeszcze udowodnienia, że Rosja handlowo

eksploatuje Polskę czy jej sąsiadów w bloku sowieckim. Załóżmy, że strata czy nadpłata Polski na zakupach w Rosji dwa lata temu rzeczywiście wyniosła ekwiwalent 93 milionów dolarów. Były przecież i inne towary, stanowiące pozostałe 40% importu polskiego z Rosji, których ceny są nieznane bądź nie mogą być ustalone. Czy możemy przypuścić, że ceny tych towarów o ogólnej wartości 238 milionów dolarów w r. 1962, były o tyle niższe od cen, po których Rosja dostarczała je krajom wolnego świata aby skompensować nadpłaty na statystycznie zbadane pozycje importu sowieckiego? Teoretycznie możliwa, taka odpowiedź na pytanie jest skrajnie nieprawdopodobna. Jeżeli praktyka wysokich cen obowiązuje przy wywozie do krajów bloku niemal wszystkich kategorii żywności, surowców, półproduktów, jak wyroby walcowane, i szeregu fabrykatów do zegarków włącznie, to dlaczego ma być wręcz odwrotnie w stosunku do sprzętu przemysłowego i nie figurujących w statystykach pozycji sprzętu wojskowego i innych? Zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę domniemanie niższa technologiczną wartość maszyn i sprzętu sowieckiego w porównaniu ze sprzętem zachodnim. Nie chodzi tu bynajmniej o niedoceniając wartości sprzętu sowieckiego jako takiego, skoro wiadome jest, iż Rosja produkuje, przynajmniej dla siebie, pierwszorzędną broń dla wielu gałęzi przemysłu, a nawet celuje w niektórych z nich, jak aparatura wielkich pieców czy zakładów ciężkiej chemii. Ale bynajmniej nie każdy sprzęt sowiecki należy do tej wyborowej kategorii. Gdyby tak nie było, jak należy tłumaczyć pęd inwestorów przemysłowych za żelazną kurtyną do nabywania aparatury przemysłowej w Europie Zachodniej i Ameryce, czego przykładem jest współczesna Rumunia? Nie generalizując, ustalmy założenie, że sprzęt sowiecki nie może być tak tani, aby jego przywóz przez Polskę i inne kraje bloku mógł skompensować wysokie ceny na surowce i inne towary. Odwrotnie, jest prawdopodobne, że cena takiego sprzętu jest raczej wyższa od wywożonego powiedzmy do Indii czy Egiptu, a nawet Jugosławii czy Finlandii, które w przeciwieństwie do Polski i jej sąsiadów mogą przebierać wśród ewentualnych dostawców.

Dotychczasowe rozumowanie było oparte na statystykach sowieckich. Jak problem cen w przywozie z Rosji wygląda w oświetleniu statystyk polskich? Otóż ceny sowieckie na kilka ważnych pozycji importu polskiego były niższe od zachodnich. Pszenica sowiecka była w r. 1961 o 19 dolarów na tonie tańsza od amerykańskiej, dając *prima facie* oszczędność około 4 milionów dolarów. Wymowa tej pozycji maleje gdy się uwzględni, że jak dotąd Polska płaci w dolarach tylko koszt przewozu pszenicy amerykańskiej, i że wątpliwe jest aby jej wartość w portach amerykańskich mogła być kiedykolwiek zapłacona w dolarach. Miedź sowiecka jest o 130 dolarów na tonie tańsza od innych, kauczuk syntetyczny o jedną czwartą tań-

szy. Urządzenia walcowni kosztują w Sowietach 965 dolarów za tonę, satelickie są tańsze, sprowadzane z wolnego świata kosztują 1265 dolarów — ale tu specyfika urządzeń sprzętu zachodniego jest inna, dla przykładu urządzenia ocynowni blachy w Nowej Hucie z Ameryki, które muszą być o wiele droższe od ciężkich urządzeń walcowni z Rosji.

O wiele dłuższą listę porównywalnych towarów, za które według statystyk polskich płaci się więcej Rosji niż w dewizach Zachodowi otwiera jęczmień, nawet w praktyce bezdewizowy amerykański, olej napędowy i opałowy, ołów. Ruda żelazna sowiecka jest o 8% droższa od innych, ruda manganu o 30%, bawełna o 37% droższa od amerykańskiej z tym, że za tę ostatnią aktualnie płaci się tylko koszta jej transportu; w świetle statystyki polskiej przepłaciło się za bawełnę sowiecką w r. 1961 ekwiwalent 18 milionów dolarów. Zachodnia stal narzędziowa jest tańsza od sowieckiej, blacha transformatorowa — typowy wypadek standaryzowanego towaru — kosztuje o 115 dolarów na tonie mniej od sowieckiej, taśma zimnowalcowana jest dwa i pół raza tańsza, żelazostopy włoskie są cztery razy tańsze od sowieckich, tańsze są zachodnie łożyska toczne, urządzenia chłodni, rzeźni i aparatura łączności, oraz przyrządy pomiarowe w przeliczeniu na tony. Porównawcze ceny wymienionego sprzętu nie mogą być obliczone na podstawie statystyk sowieckich, które są mniej szczegółowe od polskich.

Ogólny obraz tych cen w świetle danych polskich potwierdza, choć nie bez zastrzeżeń w stosunku do niektórych towarów, to co można było ściśle wywnioskować ze statystyk sowieckich. Stąd teza, że za wywóz do Polski Rosja jakby ściągła haracz z gospodarstwa polskiego. Stąd też wysiłki polskie aby, nie nazywając rzeczy po imieniu, jak najwięcej surowców kupować nie od Rosji, szukać ich zwłaszcza tam, gdzie mogą one być nabywane w obrocie bezdewizowym.

Ale jak jest z wywozem polskim do Rosji? Jakie ceny uzyskiwane są w tym kraju w porównaniu z cenami osiąganymi gdzie indziej, zwłaszcza w krajach wolnego świata? Od odpowiedzi na to pytanie zależy ostateczna nasza konkluzja.

Tu obraz jest odmienny, wskazując, że Związek Sowiecki płaci w złotych dewizowych ceny na ogół wyższe od uzyskiwanych przez Polskę na wolnych rynkach. Na podstawie statystyk polskich za r. 1961 obliczyć można, że polityka wysokich cen w handlu z Rosją stosuje się także do szeregu pierwszorzędnych pozycji wywozu polskiego. Niektóre z nich będą tu omówione bliżej.

Pierwszą z tych pozycji jest węgiel. Wiadomo każdemu jak olbrzymie i pod wielu względami nieodwracalne straty Polska poniosła na wywozie do Rosji 56 milionów ton węgla dostarczonego na specjalnych warunkach na podstawie umowy z sierpnia 1945, tracąc przy tej okazji szereg lukratywnych przedwojennych rynków zachodnich. Od 1956 r., według statystyk so-

wieckich, cena na węgiel polski waha się od 15.50 do 16.65 dolarów za tonę (w r. 1957, dla znanych powodów, wyjątkowo nawet 23.70 dolarów), będąc tylko niewiele niższa od ceny importowanego przez Polskę z Rosji węgla koksującego. Inni satelici płacą niewiele mniej. Natomiast wszystkie państwa płacące dewizami nabywały w r. 1961 węgiel polski po tańszej cenie: od Austrii za 14 dolarów za tonę do Włoch, Finlandii i Danii poniżej 7 dolarów. Domniemane różnice gatunków tego węgla, od najwyższego na wschód do niskich na zachód, nie mogą zaprzeczyć faktowi, że w przeliczeniu na złote dewizowe najlepszym klientem na węgiel polski wydaje się być Związek Sowiecki, a to mimo to, iż szeroka polska opinia publiczna uważa ten typ wywozu do Rosji za nieopłacalny. Obliczony w ten sam sposób w jaki ustalone były powyżej porównawcze ceny importu z Sowietów, *prima facie* zysk Polski na sprzedaży węgla do Rosji wyniósł w r. 1961 ekwiwalent około 36 milionów dolarów, tj. blisko połowę *prima facie* dopłat do przywozu z Rosji wszystkich porównywalnych towarów (73 miliony dolarów).

Rzecz przedstawia się podobnie w stosunku do szeregu innych pozycji eksportu polskiego do Rosji. Za inny masowy i zarazem trudny do niedawna do umieszczenia na Zachodzie towar, jakim jest cukier, Rosja płaciła blisko dwa razy więcej od wolnego świata, za cukierki o 67% więcej; wyższą od zachodniej cenę uzyskiwały w Rosji wołowina mrożona, soda kalcynowana, cement, cynk i papier, oraz tkaniny bawełniane (zapewne wyższy gatunek od dostarczanego np. do Afryki), a znacznie wyższe tkaniny lniane i blachy stalowe. Kilkumilionowe w dolarach niedopłaty sowieckie za inny szereg pozycji, w tej liczbie mięso wieprzowe i obuwie skórzane, nie wyrównują *prima facie* zysku na wspomnianych wyżej towarach. Jest tu zresztą do zanotowania spadek w ostatnich latach cen płaconych przez Rosję za szereg pozycji, w tej liczbie za papier, którego brak w kraju.

Jakie wnioski wyciągnąć można z tych wszystkich przeliczeń, dokładnych jeśli chodzi o ośmioletni przywóz sowiecki do Polski, przybliżonych w stosunku do jej wywozu? Odpowiedź wyraża się w kilku tezach natury ogólnej.

Pierwszą z takich konstatacji jest, że obie wyżej wymienione metody obliczeń nie prowadzą do miarodajnego ustalenia kto w handlu sowieckim z Polską, czy innymi krajami bloku sowieckiego, zarabia więcej a kto mniej, czy też traci na nim. Posiadane bowiem dane o cenach w tym handlu, a zwłaszcza w wywozie z Polski, są niewystarczające. W r. 1963 sprzęt przemysłowy i transportowy stanowił 43% wywozu polskiego do Rosji. O cenach tego sprzętu płaconych przez odbiorcę nie wiemy nic, albo prawie nic. Być może były one słuszne, a nawet wysokie, być może również, że były niskie. Podobnie prawie nic nie wiemy o cenach odpowiedniego sprzętu sowieckiego dla Polski.

Nawet gdybyśmy mieli do dyspozycji równie szczegółowe obliczenia cen sowieckich na towar przywożony z Polski, jak to zostało dokonane w stosunku do cen wywozu sowieckiego do Polski, ostateczne zestawienie *prima facie* strat i zysków, czy też nadpłat i niedopłat, pokrywałoby nieco mniej od połowy obrotu handlowego między obu krajami, i nie mogłoby być całkowicie przekonujące. Pomija się tu całkowicie nierozwiązalny problem tego co jest wart złoty dewizowy w handlu z krajami bloku sowieckiego — tego zapewne nie wiemy i w Warszawie.

Drugim wnioskiem jest, że zagadnienie cen porównywalnych jest zamącone tam gdzie przy wywozie z Polski trzeba uwzględnić ceny towarów sprzedawanych na kredyt, zwłaszcza do nowych krajów zamorskich, gdyż tu wchodzi w rachubę momenty polityczne, jak chęć ich penetracji dla dobra całego bloku sowieckiego. Towar do tych krajów może być sprzedawany po cenach specjalnie niskich i atrakcyjnych, przy czym postronny badacz sprawy nie wie czy i w jakim stopniu otrzymuje się zań zapłatę i czy w ekwiwalencie towarowym czy też w dewizach. Dlatego też jedyną względnie celową metodą porównywania cen jest zestawianie cen sowieckich z cenami w handlu z krajami o których na pewno jest wiadomo, iż kupują i sprzedają w twardych walutach, tj. z większością krajów Europy Zachodniej, Ameryką Północną, Japonią, Oceanią i niewielu innymi krajami świata tam gdzie nie wchodzi w rachubę manipulacja cen w handlu wymiennym.

Za trzecią tezę uważać można statystycznie udowodniony fakt, że wbrew miarodajnym zapewnieniom działaczy bloku sowieckiego, ceny w handlu między jego członkami nie są oparte na cenach światowych, w każdym razie nie w odniesieniu do wielu podstawowych artykułów tego handlu. Odwrotnie, jest jasne, że Sowiety wymagają, w nominalnych jednostkach dewizowych, o wiele wyższych cen na towary tego typu co ropa naftowa i jej produkty, bawełna i niektóre metale, w zamian za co gotowe są płacić odpowiednio wyższe ceny za towary takie jak węgiel czy cukier, co w rezultacie prowadzi, bądź może prowadzić, do wzajemnej kompensaty tych nadpłat w stosunku do cen światowych. Polityka wysokich cen nie odpowiada teoretycznym zasadom ich ustalania rzekomo na poziomie światowym, ale sama przez się nie jest zjawiskiem negatywnym ani dowodem eksploatacji. Z zestawienia cen przywozu polskiego z Rosji i wywozu do Rosji w r. 1961 wynikać się zdaje, że *prima facie* zyski i straty obu partnerów wyrażają się w liczbach zbliżonych do siebie tam gdzie chodzi o towary porównywalne.

Odwrotną stroną tej tezy jest inny ustalony statystycznie fakt, że w poszukiwaniu twardych walut zarówno Rosja jak Polska, i domniemanie inne kraje bloku sowieckiego, zmuszone są do sprzedawania krajom przemysłowym wolnej Europy swych podstawowych towarów za ceny niższe od osiągalnych

gdzie indziej wewnątrz bloku czy poza nim, zwłaszcza jeśli chodzi o towary produkowane w nadmiarze i trudne do ulokowania na rynkach światowych. Jest to zjawisko podobne do obserwowanego w Polsce i wielu innych krajach w latach depresji międzynarodowej, kiedy towar bywał sprzedawany za granicą ze stratą. Dla przykładu, cena ropy sowieckiej dla Włoch została obniżona o 55% między rokiem 1957 a 1962, podczas gdy dla Polski tylko o 5%. Cena węgla polskiego we Włoszech spadła odpowiednio, kształtując się na tym samym poziomie w Rosji. (W nawiasie warto nadmienić, że w handlu Włoch z krajami bloku sowieckiego praktykowana jest polityka niskich cen w przywozie i wywozie, podczas gdy Niemcy Zachodnie, podobnie jak przed r. 1939, płacą względnie wysokie ceny za towar z naszej części Europy).

W obecnych warunkach stagnacji jeśli nie recesji gospodarczej w większości krajów socjalistycznych, w tej liczbie w Polsce, zapotrzebowanie ich na twardą walutę jest tak wielkie, że nic nie wskazuje aby polityka sprzedawania wielu towarów Zachodowi za każdą osiągalną cenę miała ulec zmianie w dającej się przewidzieć przyszłości. Wyjątkiem są tu produkty żywnościowe, zwłaszcza wysoko przerobione, zapotrzebowanie na które w narastających w bogactwo krajach Zachodu jest stałe, pod warunkiem wysokiej jakości i dobrej organizacji sprzedaży. Natomiast postulowany od paru lat wzrost wywozu maszyn i towarów konsumpcyjnych nie rokuje wielkich nadziei jeśli chodzi o ich sprzedaż w krajach płacących dewizami.

Jakkolwiek niekompletne, wyżej podane obliczenia cen porównawczych rzucają wiele światła na charakter i problemy polskiego handlu z Rosją. Powinny one być uzupełnione analizą cen płaconych bądź uzyskiwanych przez Polskę od czasu wznowienia przez nią szczegółowych statystyk handlowych. Jednak wątpliwe jest aby rezultat takich badań sam przez się mógł dać wiążącą odpowiedź na dręczące opinię krajową wątpliwości co do tego czy handel z Rosją jest *per saldo* opłacalny. Bo jeśli nawet eksploatacja sowiecka w obrocie towarowym nie jest statystycznie do udowodnienia (choć również nie do zaprzeczenia), to przy zależności Polski od Sowieców i tajemnicy otaczającej obowiązujące wobec nich *terms of trade* jest miejsce na wiele znaków zapytania, w tej liczbie na wątpliwości co do tego jak powstają statystyki handlu zagranicznego i ile są one warte. Tam gdzie nie ma obiektywnego miernika cen wewnętrznych i nie stosuje się cen światowych, musi dochodzić do dowolności, przy której potężny partner, a zarazem często monopolista kupna czy sprzedaży, może zawsze narzucać korzystne dla siebie warunki słabszemu krajowi. Jest dość powszechnie wiadomo, że w przedrewolucyjnej Rosji kto nie oszukał ten tradycyjnie nie zarobił, że współczesny Związek Sowiecki odbudował swe zniszczenia wojenne częściowo kosztem

kilkoletniej eksploatacji państw satelickich. Dlaczego teraz ma być inaczej, jak tego dowieść ludziom w kraju, którzy właśnie w sferze stosunków gospodarczych z Rosją dopatrują się łatwej odpowiedzi na pytanie dlaczego jest im tak źle, skoro rzekomo jest tak dobrze?

Piszący te słowa badacz spoza kraju nie kwestionuje ani wartości i potrzeby szerokiej komplementarnej wymiany towarowej ze Związkiem Sowieckim (maszyny i towary przemysłowe za surowce i półfabrykaty), ani dobrej woli i sumiennosci kierowników polskiego handlu zagranicznego. Ale z braku pozytywnych stwierdzeń on także nie widzi naprawdę przekonującej odpowiedzi na wątpliwości ludzi w kraju. Milczenie koło problemu cen, tylko z rzadka przerywane przez wykrętne wyjaśnienia tego lub innego dygnitarza partyjnego, nie może odmienić klimatu podejrzeń i nieufności.

Jan WSZELAKI

TOM CIII "BIBLIOTEKI KULTURY"

SERIA "ZESZYTY HISTORYCZNE"

ZESZYT SZÓSTY

zawiera m. in.

Słownik biograficzny ofiar terroru P.R.L.

Gen. M. Tokarzewski-Karaszewicz — *Jak powstawała Armia Krajowa.*

Witold Babiński . — *Powstanie Warszawskie.*

Z.S. Siemaszko — *Łączność radiowa Sztabu N. W. w przededniu Powstania Warszawskiego.*

Jan Kowalewski — *Cykl rumuński.*

Alfred Poniński — *Wrzesień 1939 w Rumunii.*

Str. 240

Cena egz. 15 F. (22/-; dol. 3,00)

Sprawy i troski

Cień Frankowskiego w Australii

Na przełomie sierpnia i września 1961 r. w Australii pojawił się znany polityk „reżymsko-katolicki”, poseł na sejm Polski Ludowej, dr Jan Frankowski. Według wiadomości, podanych wówczas przez *Tygodnik Katolicki* w Melbourne (któremu, podobnie jak innym placówkom emigracyjnym, Frankowski złożył wizytę), na okres pobytu w Australii został on wyposażony w tytuł „ministra pełnomocnego”. Był więc oficjalnym wysłannikiem reżymu.

Dopiero teraz — po dwu i pół latach — da się w pełni ocenić powagę następstw jego misji...

1.

Czy społeczeństwo polskie w Australii zostało ostrzeżone przed osobą dywersanta i jego talentem w rozbijaniu oporów wobec komunizmu? Tak. Ostro i wyraźnie pisał o nim wówczas p. Roman Gronowski, redaktor *Tygodnika Katolickiego*. W miesiąc później, w dwutygodniku *Nasza Droga* w Adelajdzie, pojawił się pierwszy alarm o jakichś konszachtach z Frankowskim; pismo to jednak nie ma dobrego kolportażu w dwu najgęściej zaludnionych stanach, tj. w Wiktorii i N. P. Walii; tu zaś zarówno w *Tygodniku* jak w sydneyjskich *Wiadomościach Polskich*, alarmy „*Naszej Drogi*” zbyt wymownym milczeniem, widocznie jako rzecz niegodną wzmianki.

Coś jednak musiało być w owych alarmach... Dopiero w wigilię oczekiwanej tu debaty w tej sprawie na Zjeździe Delegatów Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii (w połowie listopada 1962 r., a więc w rok po powrocie Frankowskiego do Polski), *Tygodnik* zdecydował się na stwierdzenie, że Frankowski Zjeżdżał polskie skupiska wzdłuż i wszerz, tu i ówdzie go fetowano, odbył kilkadziesiąt rozmów z różnymi dzia-

łaczami — którzy w większości wypadków nie orientowali się, z kim mają do czynienia.

Trudno tu oprzeć się pytaniu: Cóż to byli za mężowie stanu, owi „różni działacze”, których większość — mimo głośnego ostrzeżenia w *Tygodniku* — nie zorientowała się, kim jest Frankowski?... Na domiar nieświadomości „większości” nie wybiela świadomej reszty „frankistów”. Żałować należy, iż osobom tym prasa tutejsza udzieliła protekcyjnej dyskrecji, zostawiając opinię publiczną na pastwę wzburzenia i niepewności: Co się właściwie dzieje poza plecami ogółu?... Komu można ufać, a komu nie wolno?... Odpowiedzialnością za milczenie w tej sprawie *Tygodnik* obarczył (nie bez racji) zespół ludzi niewątpliwie światłych, bo w rękach swych dzierżących ważne funkcje prezydium Rady Naczelnej, szczytowej komórki w tutejszej hierarchii emigracyjnej. Pisał *Tygodnik*: *Otwarte i odważne zajęcie stanowiska przez Prezydium Rady w sprawie Frankowskiego nie dopuściłoby do jego oficjalnych wizyt w Domach Polskich, do uczestniczenia w uroczystym otwarciu jednego z nich i do późniejszych pożałowania godnych publikacji w jednym z pism polskich.*

Tu znów ciśnie się pytanie: Co jest naprawdę godne pożałowania? Czy to, że zaalarmowano opinię publiczną — czy też może jednak fakt, iż troskliwie ukrywane narady pewnych przedstawicieli emigracji z wysłannikiem reżymu dały powód do alarmu?... Czyżby obowiązkiem prasy miało być tumanienie ogółu drogą przemilczeń?...

Tak czy siak, szczegóły owych kontaktów widocznie okazały się nie warte uwagi całej prasy tutejszej.

Czytelnicy jej zostali zorientowani, że Zjazd Delegatów Rady Naczelnej, mimo gorącej debaty, jakoś rozwiązał to wszystko. W swym sprawozdaniu ze Zjazdu, *Tygodnik* skwitował to lakonicznie, jednym zdaniem. Z pobieżnego potraktowania sprawy przez oba czołowe pisma polskie w Australii można wnioskować, że ostrzeżenie, rzucone z łamów *Tygodnika* już w momencie pojawienia się Frankowskiego, musiało jednak paść na grunt wdzięczny: że więc nikt naprawdę poważny nie dał się wziąć na lep wysłannika reżymu. Przyjechał, było trochę szumu, pojechał, i znów wszystko dzieje się tu po staremu, mniej więcej w porządku...

2.

Ale dzisiaj — po dwu i pół latach od tej wizyty — baczny czytelnik prasy polskiej w Australii dostrzeże w niej ton nowy, niepokojący... I jeśli w *Wiadomościach Polskich* niejedno zjawisko przestało nas dziwić już dawniej, to pokrewny ton w *Tygodniku Katolickim* niepokoi tym bardziej. Pismo to, które

zawsze wyróżniało się swą bezkompromisową postawą wobec reżymu, dziś zdaje się też patronować zespołowi wyznawców kierunku, określonego tu zręcznym sloganem „emigracji patriotycznej” (tj. przeciwstawnym pojęciu emigracji politycznej, reżymowi odpornej).

Celem niniejszego artykułu jest rzucenie światła na dwa aspekty wizyty Frankowskiego i jej skutków w Australii — oraz poinformowanie polskiej opinii publicznej o następujących faktach:

1) Że *dzisiejsza* prasa polska w Australii nie dopuszcza do publikacji wypowiedzi, mogących skutecznie przeciwstawić się lokalnemu „patriotyzmowi” spod znaku Frankowskiego.

2) Że mamy tu tzw. Rząd Dusz, nieliczny, lecz aktywny i zgrany, a działający według zasad ustrojów totalnych: poza plecami i wbrew oporom społeczeństwa; i że samowola owej monopartii przedstawiana jest w tutejszej prasie jako wzór aktywności demokratycznej.

Czym kończą się próby przełamania zapory milczenia, gdy chodzi o sprawy wynikłe z wizyty Frankowskiego — wiem z własnego doświadczenia. Walka o udostępnienie prawdy polskiemu ogółowi w Australii jest z konieczności cicha, bo na łamy pism tutejszych nie dopuszczana. Poza Australią, jest nieznaną tym bardziej. To, co spod piór korespondentów z terenu Australii ukazuje się, na przykład, w *Kulturze*, — ma zupełnie inną treść i wymowę dla jej czytelników z Australii, a zupełnie inną dla całej reszty w polskim świecie na Zachodzie. I nawet tu, w Australii, płynniej czytać między wierszami potrafią tylko stosunkowo nieliczni, świadomi utajonej walki, przenoszonej poza Australię.

Uchyłmy rąbka zasłony.

3.

Pan Adam Nasielski w swym *Przesileniu* (*Kultura*, nr 6/188) powołał się na trzy artykuły prasy polskiej w Australii, chwając ich autorów za otwartą dyskusję spraw drażliwych, które (jak pisze) często mamy tendencję uważać za „tabu”. Redaktor *Tygodnika Katolickiego*, p. Roman Gronowski, jako jeden z trzech pochwalonych, zareagował na to listem do *Kultury* (nr 10/192), twierdząc, że temat, poruszony przez p. Nasielskiego, nie schodzi z łamów tutejszej prasy polskiej, — oraz że do wymienionego przezeń „triumwiratu” (koniecznie w cudzysłowie) należy ponadto — a raczej przede wszystkim — włączyć kilka innych czołowych, o znanych poza Australią nazwiskach, publicystów. Na pierwszym miejscu red. Gronowski wymienia nazwisko moje, w porządku bynajmniej nie alfabetycznym, co mi tym razem nie pochlebia.

Jest to jakieś nieporozumienie. Nie biorę udziału w żad-

nym takim fascynującym temacie, który „nie schodzi z łamów”. W ogóle nie wiem, o co chodzi. Red. Gronowski „włącza” mnie w *Kulturze* do jakiejś zbiorowej odpowiedzialności, podczas gdy nazwiska mego od dłuższego czasu w ogóle nie ma w prasie polskiej w Australii.

Owszem, poczuwam się do otwartego wietrzenia spraw, które często mamy tendencję uważać za „tabu”. Pokusiłem się o to w maju 1963 r., przysyłając red. Gronowskiemu (w formie listu do *Tygodnika*) swój otwarty, spokojnie ujęty apel do władz tu-tejszego Związku Dziennikarzy, o rewizję sprawy p. Mieczysława Iwańczaka (autora alarmów w *Naszej Drodze* o kontaktach z Frankowskim). Dzisiaj, skoro wołałem do głuchych, podkreślę głośniej, że chodzi mi o ów przedziwny „wyrok” Związku, będący następstwem czterech skarg przeciw Iwańczakowi o oszczerstwo; między nimi zaś skargi nie byle czyjej, bo aż prezydium Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii. Paskudna ta sprawa po dziś dzień woła o rozładowanie, wciąż bowiem ją trząsą tutejsze społeczeństwo, powodując spory i fermenty, rozgryczenie, wzajemną nieufność, zniechęcenie, apatię.

Niestety, *Tygodnik* kategorycznie odmówił publikacji apelu do Związku Dziennikarzy. Nie dość na tym: W grudniu 1963 r. (tj. już po liście red. Gronowskiego do *Kultury*), gdy zostałem imiennie zaproszony przez *Tygodnik* do wzięcia udziału w publicznej ankiecie pt. *Najważniejsze zdarzenie w życiu Polonii australijskiej w r. 1963* — i zachęcony postawą red. Gronowskiego w *Kulturze*, gdzie bronił naszego prawa do miana emigracji politycznej — w ankiecie *Tygodnika* wysunąłem tę samą sprawę „wyroku” Związku Dziennikarzy. Mimo zaproszenia, red. Gronowski znów kategorycznie odmówił druku. Wołający o pomstę do nieba „wyrok” na Iwańczaka jest „tabu”.

Nie roszczę tu pretensji do *Tygodnika* o to, że nie może ogłaszać poglądów, niezgodnych z linią pisma. Red. Gronowski ma prawo nadawać własnemu piśmie taką linię, jaką uważa za stosowną. Ze zaś mnie jako publicyście („czołowemu”, jak twierdzi Gronowski) nie pozwala to na spełnianie w Australii obowiązków społecznych, do jakich się poczuwam, jest po prostu niepomyślnym dla mnie (i dla sprawy Iwańczaka) zbiegiem okoliczności; pomyślnym zaś — dla majstrów tej politycznej intrygi.

Natomiast nie mogę zgodzić się z reklamowaniem przez red. Gronowskiego w *Kulturze* — a więc poza Australią — mej rzekomej aktywności publicystycznej w pismach tutejszych, przy jednoczesnym wytrącaniu mi pióra z ręki — tu, w Australii. Albowiem tu, w Australii, nekają mię i szeptu pokątne i listy z zarzutami, że sprawy *de publicis* nic mnie śnać nie obchodzą, że sprawy Frankowskiego nie chce mi się ujawnić, że wysiłków o rehabilitację imienia Iwańczaka poniechałem, że w ogóle nabrałem wody w usta i milczę — tchórz, oportunistą, samolub, abnegat.

Nieporozumienie, zatem? Proszę osądzić:

Po zaproszeniu mnie do wypowiedzi i rzuceniu jej do kosa, red. Gronowski zamieścił w swym piśmie rzecz pt. *Pokłosie Tygodnikowej Ankiety*, pióra p. Nasielskiego (nr z 15. 2. 64). Autor wysuwa tam zarzut pod adresem nieobecnych, m. in. pisząc: *Wprawdzie niektóre znane nazwiska „świeciły nieobecnością”, lecz nie wiem czy dlatego, że ich do ankiety specjalnie nie zaproszono, czy też nie mieli ochoty do wzięcia udziału albo im ciocia umarta i nie byli w nastroju.*

Trudno byłoby mieć żal do p. Nasielskiego o to, że red. Gronowski nie pochwalił się przed nim, jak to tam naprawdę bywa z tym „świeceniem nieobecnością”. Natomiast fakt, iż tego rodzaju zarzut spod nieświadomego pióra p. Nasielskiego ukazał się w *Tygodniku* ze świadomością jego redaktora, bez jednego słowa wyjaśnienia ze strony redakcji — jest wymowny. Każe mi to wątpić, czy p. Nasielski w ogóle doczeka się szerszego spełnienia dezyderatu, zgłoszonego w *Kulturze*, by prasa polska w Australii zechciała ujawniać owe sprawy, które często mamy tendencję uważać za „tabu”.

Daj Boże, bym się mylił. Może rzeczywiście wszystko to jest tylko zwykłym niedopatrzaniem, wynikłym z redakcyjnego pośpiechu. Wierzyć się nie chce, aby *Tygodnik Katolicki* — który, mimo wszystko, dla wielu z nas w Australii jest pismem bliskim — miał celowo dopuszczać się ciosów poniżej pasa w rozgrywce o kontakty z Frankowskim. Skłonny jestem przypuścić, że redakcyjna cenzura tego pisma, że nierówność jego cenzury w kwalifikowaniu publikacji do druku — tu sroga i bezwzględna, a gdzie indziej dziwnie pobłażliwa i miękka — jest wynikiem raczej jakiejś fazy nadgorliwości, że więc chodzi tu o zgodę z wszystkimi naraz, a przynajmniej o zgodę z ową enigmatyczną, tak często przez *Tygodnik* cytowaną, „zdrowo myślącą częścią społeczeństwa”: zgodę za wszelką cenę. Chwiejna to jednak zgoda i niebezpieczna, jeśli ceną jej ma być tajnienie prawd takich, jak o kontaktach z Frankowskim. Gdyby tak miało być dalej, tutejsze społeczeństwo poniosłoby jeszcze jedną niepowetowaną szkodę: straciłoby, już nadwątloną, wiarę w jedyne pismo, które wciąż jeszcze ma wszelkie szanse stania się orędziem niezależnej opinii publicznej w Australii. Czy *Tygodnik Katolicki* odbuduje sobie tę cenną a zaszczytną pozycję? Przyszłość pokaże.

4.

Tak zwana sprawa Iwańczaka nie jest tylko prywatną krzywdą p. Iwańczaka. Jest sprawą dalszych losów polskiego ogółu w Australii.

W *Naszej Drodze* (bo gdzie indziej nie pozwolono mu na to) Iwańczak zaalarmował społeczeństwo o tajemniczych konszachtach kilku naszych „leaderów” — z Frankowskim. W wyniku skarg, wniesionych do tutejszego Związku Dziennikarzy, Iwańczak doczekał się „wyroku”. Nie zadano tu sobie trudu, by orzec, czy narady owych „leaderów” z Frankowskim miały miejsce czy też ich nie było. Po prostu „skazano” Iwańczaka za... naruszenie norm etycznych Związku. Dostał ostrą naganę i został zawieszony w prawach członkowskich na dwa lata.

Czyżby więc żadnych kontaktów z Frankowskim nie było? *Tygodnik* stwierdził, że były. Może więc miały one charakter rozmów prywatnych, z miłym gościem z Kraju? *Tygodnik* stwierdził, że go tu fetowano. A więc może były to kontakty takie, jakie miało z nim, na przykład, kilka osób, uchodzących tu za dziennikarzy? Nie! Chodzi tu o kontakty oficjalne, w imieniu społeczeństwa. Kto więc dopuścił się narad z wysłannikiem reżymu — w imieniu społeczeństwa — bez wiedzy społeczeństwa?...

Otóż, między innymi — i tego żadne z naszych pism nie ujawniło — kontaktów z Frankowskim dopuściło się *prezydium* Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii.

Czyżby Związek Dziennikarzy nic o tym nie wiedział? Związek, w którego władzach znajdują się osoby, pełniące funkcje we władzach *prezydium* Rady Naczelnej?...

Prezydium dołożyło wszelkich starań, by swe własne, oficjalne kontakty z Frankowskim zataić przed ogółem. Ba, zataiło je *prezydium* przed własną Radą Naczelną, z której mandatu funkcjonuje. *Prezydium* nie tylko zataiło owe kontakty (to byłby grzech bierności): *prezydium* aktywnie zaprzeczyło — nie raz i nie dwa — istnieniu jakichkolwiek, czyichkolwiek kontaktów z Frankowskim. Po uzyskaniu „wyroku” Związku Dziennikarzy, *prezydium* Rady Naczelnej zaprzeczyło istnieniu kontaktów tym ławiej, tym gwałtowniej i tym brutalniej.

Na ogólno-australijskim Zjeździe Delegatów Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii (w listopadzie 1962 r.) pod adresem Iwańczaka padały publiczne insynuacje, że — w celu poderwania autorytetu emigracyjnej „góry” — odrobił robotę godną dyrektury Kremla. Od stołu *prezydium* Rady, nad głowami setki delegatów i gości z całej Australii, powiewano „wyrokiem” Związku jak lilią, jak sztandarem prawości, chroniącym nieposzlakowaną biel oratorów. I grzmiano, głosem drżącym z oburzenia:

— Oto jest, proszę Zjazdu, wyrok Związku Dziennikarzy na pana Iwańczaka!... Oto, proszę Panów Delegatów, mamy tu dowód, niezbity dowód na piśmie, którego treść odczytano tu przed forum!... Tak, proszę Panów!... Właśni koledzy związkowi pana Iwańczaka tym oto wyrokiem napiętnowali go, dając wyraz prawdzie!...

Nawiasem mówiąc, „wyrok” Związku Dziennikarzy wydano na warunkach tzw. dżentelmeńskich: żadna ze stron — z

oskarżycielami włącznie — nie miała prawa podawać jego treści do wiadomości publicznej. Ale żaden z członków władz Związku (na Zjeździe zasiadłych w roli członków władz Rady) nie zaprotestował przeciw tak brutalnej niedyskrecji. Przeciwnie, dżentelmeni sami pomagali jak umieli.

Aż nagle...:

Na tym samym Zjeździe Delegatów Rady Naczelnej znalazł się naoczny świadek narad z Frankowskim. Stwierdził przed forum, że sam brał udział w takich naradach. Gdzie? Ano właśnie tu, w tej samej sali Domu Polskiego w Ashfield (Sydney), w której teraz obradują delegaci Rady...

Zjazd oniemiał.

A *prezydium*? O nie, *prezydium* nie straciło głowy. Zatrąbiono na odwrót: No tak, owszem, rozmawiano z panem Frankowskim, owszem, no tak, ale przecież, zważywszy, nic złego, czystość intencji, twardo na stanowisku, ze względu na wzgląd, rozmawiać przecież wolno, Zachód przecież, w imię zasad demokracji... Po czym, w obliczu dziejowej konieczności, już silnym spiżowym głosem, prezes Rady odczytał delegatom oficjalny list *prezydium* do Frankowskiego: negatywny.

Oto oficjalna formuła „wyjaśnienia” *prezydium*, jaką Zjazd usłyszał z ust prezesa Rady — nic więcej:

Prezydium Rady Naczelnej, kierując się dobrem społecznym, po troskliwej a głębokiej rozwadze, postanowiło rozmów z drem Frankowskim nie ujawniać, aby w społeczeństwie nie wywoływać niepożądanych niepokojów.

Rzecz niepojęta, iż coś podobnego w ogóle mogło być rzucane Zjazdowi z mównicy *prezydium*!...

Prezydium Rady nie jest ani ciałem ustawodawczym, ani jakimś samodzielnym, niezależnym rządem tutejszych organizacji emigracyjnych. Władzą naczelną Rady są jej zrzeszone organizacje — w osobach swych delegatów. *Prezydium* Rady jest aparatem wykonawczym Zjazdu Delegatów, a nie własnego widzi-mię. Do zadań, zleconych *prezydium*, należy międzyorganizacyjna koordynacja działalności społecznej oraz reprezentacja takiej polityki, jaką organizacje te na Zjazdach uchwalają. Nb. *prezydium* Rady Naczelnej bynajmniej nie reprezentuje wszystkich Polaków w Australii: reprezentuje tylko te spośród tutejszych organizacji polskich, które dobrowolnie uznały się za członków Rady. To prawda, że lwia część organizacji polskich jest zrzeszona w Radzie. Lecz nie mniej żywą prawdą jest fakt, że zrzeszyła nas wspólna wola zachowania ducha emigracji politycznej. A to znaczy: zachowania polskości demokratycznej, nie zaś na modłę ustrojów totalnych. Czuwanie nad tym, byśmy w ramach organizacyjnych zachowali właśnie taką polskość — powierzono *prezydium* Rady Naczelnej. Czuwanie nad wolną, niezależną polskością powierzono — a nie uzurpowanie sobie praw i metod, demokracji wrogich.

Swe samowolne narady z wysłannikiem reżymu, wyniszcza-

jącego żywotne siły polskości w Kraju, prezydium Rady usiłowało ukryć nawet wobec Delegatów Zjazdu — *aby w społeczeństwie nie wywoływać niepożądanych niepokoju...* My zaś, tj. owo społeczeństwo, my — gdzie indziej sklasyfikowani jako *szara, niewyrobiona masa emigracyjna* — możemy spać spokojnie. Niepożądanych niepokoju — już w nas nie ma. Poza naszymi plecami, choć w naszym imieniu, bo z naszych mandatów — uspokoiono nas idealnie.

5.

A wynik tej bomby zjazdowej?...

Niewypał. Prasa polska w Australii bacznie czuwa nad tym, by szerszy ogół nie mógł poznać prawdy. *Wiadomości Polskie* są oficjalnym organem prezydium Rady Naczelnej. Przedstawicielem *Tygodnika Katolickiego* na Zjeździe był członek władz Rady. Sprawozdania prasowe ze Zjazdu były parodią rzeczywistości.

Znakomita większość czytelników obu pism w dalszym ciągu nic nie wie, co się dzieje i dlaczego. Iwańczak w dalszym ciągu uchodzi za oszczercę. Związek Dziennikarzy nie skasował „wyroku”. Kilku skompromitowanych ojców narodu — bezkarne, bo z poparciem prasy — „piastuje funkcje”. Ba, rośnie lokalny kult jednostki, bankrutów dawnej świetności rozdmuchuje się tu w gigantów słonecznego „dzisiaj”, portrety frazeologów z mozołem odnawia się, podmalowuje w prasie, by dożywotnie mogli nas tumanić i w śpiączkę pogrążyć. Opinia publiczna zeszała w podziemie. Nie wiadomo, komu i w co wierzyć. I w rezultacie: coraz większe rozgoryczenie, zniechęcenie do życia społecznego, nieufność, apatia. I coraz bezczelniejsze, bo już bezpieczne, bezkarne, przez prasę nie wstrzymywane — worywanie się reżymu w tereny tutejszej emigracji.

W ankiecie *Tygodnika Katolickiego* jeden z filarów Związku Dziennikarzy, dr Fryderyk Goldschlag, pochwalił naszych przywódców, a i prasę polską w Australii, jej czujnych redaktorów, jej ton nareszcie przyzwoity (nr z 21. 12. 63): *Zastuge tego tak pożądanego przeistoczenia przypisać należy ludziom sprawującym Rząd Dusz w dostatecznym zrozumieniu misji na nich spoczywającej. W rezultacie nasza szara, niewyrobiona masa emigracyjna łatwiej i szybciej przyswaja sobie zachodnie reguły gry politycznej i harmonijnego współżycia z własną i obcą społecznością. Prasa nasza unowocześnia się szybszym tempem, z wielką korzyścią dla czytelników i Sprawy, której ofiarnie służy. W tym fakcie widzę dobrą wróżbę na przyszłość.*

Inny członek Związku Dziennikarzy, p. E. Żagiell, już nie owija bawelną owej Sprawy przez wielkie S, wyraźnie stwierdzając (nr z 18. 1. 64), że: *stosunek tutejszej Polonii do Kra-*

ju, a pośrednio i do jego rządu, uległ głębokim przemianom. Z emigracji politycznej staliśmy się „emigracją patriotyczną”.

Opozycji przeciw Rządowi Dusz nie było w ankiecie. Jesteśmy tu — niech zaświadczy ankieta — jednomyślni.

6.

Oczywiście, inny duch panuje w upartych, zdecydowanych, polskości zasłużonych — placówkach S.P.K. i pokrewnych organizacji żołnierskich, harcerstwa, Macierzy Szkolnej... W szeregu związków i kół polskich ofiarność czołowych jednostek błyszczy tym jaśniej, wyróżniając się tym szlachetniej na tle — niestety — korupcji innych i rosnącego obojętnienia ogółu. Jak przywrócić — zrażonych? Jak rozbudzić — ospałych? Badać, owszem, biadać wolno w prasie każdemu. Lecz w dzwon uderzyć i bić, bić na alarm, i krzyknąć wielkim głosem, że trucizna sączy się tu z *nas samych*, i skrzyknąć się, samym sobie na pomoc — nie wolno. Niezależnej opinii publicznej zakneblowano tu usta.

Stawiam tezę (i obym się mylił):

Prasa polska w Australii będzie w dalszym ciągu informować nas stereotypami agencji prasowych o fiasku komunizmu w Polsce Ludowej (styl i temat tak już ograny, że można nie czytać). Prasa ta w dalszym ciągu będzie patetycznie biadolić i bąkać, nieokreślonymi ogólnikami, zwykłą drętwą mową, o „zakusach Kremla na ducha emigracji” (o czym i tak wiemy). Ale, w dalszym ciągu „twardo stojąc” — a jakże! — „na stanowisku niepodległości”, „na gruncie demokracji” i „na straży emigracji” i „odwiecznych tradycji Zachodu” oraz w „nieugiętej służbie dla dobra społeczeństwa”, „na rzecz nieskażonej polskości”, „za Wiarę i Ojczyznę”, z rozwiniętym sztandarem, z Orłem Białym, z Królową Korony Polskiej, z uroczystym obchodem Millenium, tudzież z ogłoszeniami P.K.O. — prasa polska w Australii będzie nas dalej wodzić „ku ostatecznemu zwycięstwu”, „w myśl niezłomnych postulatów zdrowo myślących obywateli”, — będzie! a jakże, dalej będzie! — byle tylko nie ujawniać konkretnych, namacalnych faktów, dzięki którym penetracja reżymu swobodnie rozsiada się i panoszy na naszym własnym terenie: Nie w dalekiej Polsce, lecz tutaj, pośród nas, w Australii.

Tutaj — narażać się towarzyszom podróży — nie wolno. Tabu.

Zbigniew JASIŃSKI

Sąsiedzi

Banska Bystrica

Dzień był bezchmurny. Jaskrawe światło sierpniowego słońca odkrywało najdalsze horyzonty, wyrwało z niebieskiej mgiełki niewidoczne zwykle kontury gór i dolin. Zdawało się, że sama natura sprzyja temu, by wreszcie stało się zadość prawdzie.

A tymczasem padły znów słowa kłamliwe, stwierdzenia nieprawdziwe, trochę tylko przystosowane do oczekiwań tych tysięcy, którzy czy tu na miejscu, w Banskiej Bystrzy, czy w najdalszych zakątkach Słowacji śledzili przebieg uroczystości, z racji dwudziestej rocznicy powstania słowackiego.

Jest rzeczą dziwną, jak mało polska opinia publiczna interesuje się sprawą Słowacji i jak mało wie o całym splocie wspomnień, który łączy się ze sprawą powstania 1944 r., skierowanego przeciwko Niemcom i rządowi ks. Tiso.

Tłumaczenia można tu szukać chyba w samej dacie powstania: wybuchło ono w końcu sierpnia 1944 r., a stłumione zostało przez Niemców w końcu października tegoż 1944 r. — było więc niemal równoległe w czasie do powstania warszawskiego, które skupiło na sobie całą uwagę, a później całą boleść narodu polskiego. Ale właśnie dlatego przez swe podobieństwa i swe różnice budzi tyle skojarzeń i sprawia, że ci tak mało znani polskiej opinii Słowacy są nie tylko z języka najbliżsi...

Trzeba więc przypomnieć fakty: w 1943 r., kiedy wyraźnie zaczęła się rysować perspektywa kłęski hitlerowskich Niemiec, na terenie podległego im całkowicie państwa słowackiego powstała podziemna Słowacka Rada Narodowa, która zajęła się organizacją ruchu oporu. Celem politycznym Rady było uratowanie z kłęski Niemiec niezależności państwa słowackiego albo — co najmniej — wywalczenie we wspólnym państwie z Czechami równouprawnienia dla Słowaków. W Słowackiej Radzie Narodowej reprezentowane były wszystkie anty-tisowskie

ugrupowania polityczne, łącznie z komunistami. Wprawdzie w komunistycznej partii Słowacji istniał odłam, hołdujący poglądom, które określić można byłoby jako przeniesiony na tamtejszy teren „luksemburgizm”, a które wyrażały się w przekonaniu, że Słowacja winna się stać integralną częścią wielkiego ZSRR, ale większość komunistów mniej lub więcej lojalnie współpracowała ze Słowacką Radą Narodową.

Fakt powstania Słowackiej Rady Narodowej był dobrze znany tak Moskwie, jak i przebywającemu w Londynie rządowi Benesza. W Moskwie na tyle liczone się z separatystycznymi dążeniami Słowacji, że w połowie 1943 r. skierowano do Czech i do Słowacji odrębnych emisariuszy, których zadaniem było przygotowanie, bądź wzmocnienie ruchu oporu.

Perspektywa odrębności Słowacji oczywiście niepokoiła poważnie Benesza. W ręku Stalina stała się zaś środkiem nacisku na Benesza i jego rząd. Na przełomie 1943 i 1944 r. doszło w Moskwie, z przybyłym w tym celu Beneszem, do rodzaju handlu rosyjsko-czeskiego. Benesz odstąpił ZSRR Ruś Podkarpacką, którą traktował, jeśli sądzić z jego uprzednich wypowiedzi, jako „zastaw czasowy” w rękach Czechosłowacji. Równocześnie zawarty został dwudziestoletni traktat rosyjsko-czeskosłowacki o przyjaźni, w którym Benesz występował w imieniu całego państwa Czesko-Słowackiego. Było to ze strony Rosji równoznaczne z uznaniem status quo z 1938 r., tj. z okresu przed ogłoszeniem istnienia niezależnego państwa słowackiego w 1939 r. Traktat ten zawierał również „wolne miejsce” dla przyłączenia się do niego i Polski, oczywiście na warunkach dyktowanych przez Rosję.

Charakter tego układu był jasny. Rosja wyrzekła się podsyłania nastrojów separatystycznych wśród Słowaków i uznawała władzę Pragi nad nimi. Benesz zaś jednostronnie zrywał niedawno przedtem zawarty z rządem gen. Sikorskiego układ o federacji polsko-czesko-słowackiej. Ułatwiał Rosji czynienie zarzutów, że polski rząd londyński nie utrzymujący, jak wiadomo od czasu sprawy katyńskiej stosunków z ZSRR, jest rządem reakcyjnym, że obrona polskości Wilna i Lwowa jest tylko wymysłem, posiadających w tych okolicach wielkie włości feudałów itd. On sam, Benesz, występował też jako *favorite son*, prawdziwy demokrat, w oczach ówczesnych kół rządowych Londynu i Waszyngtonu, które jak wiadomo na konferencji w Teheranie, w listopadzie 1943 r. przehandlowały Rosji Polskę.

No, ale był ruch oporu w Słowacji, organizowany przy czynnym współudziale miejscowych komunistów, którzy powoływali się na błogosławieństwa i instrukcje otrzymane uprzednio z Moskwy. W przeciwieństwie do sytuacji w Czechach właściwych, gdzie nie było prawie chętnych do ryzyka partyzantki, w Słowacji powstała silna organizacja podziemna, której udało się nawet przeciągnąć na swoją stronę licznych oficerów

i całe oddziały armii słowackiej. Ruch ten prowadzony był nadal pod hasłem niepodległej Słowacji, która ewentualnie mogła się połączyć z Czechami, ale jako odrębny członek federacji. W Słowacji nie wiadano o tym, że Stalin dogadał się z Beneszem.

Warszawska „Polityka” (w artykule: „Słowacja — Nowe fakty o powstaniu” — Nr 35/391 z dn. 29 sierpnia 1964 r.) twierdzi, opierając się w znacznej mierze o rewelacje, wypuszczonego przed dwoma laty z więzienia czeskiego, Husaka, że od lipca 1943 r., aż do sierpnia 1944 r., tj. do powrotu wysłanego uprzednio z Moskwy emisariusza, Smidkego, kontakty między słowackim ruchem oporu a Moskwą były przerwane.

„Gdy Smidke z opracowanymi planami powstania wrócił do Moskwy — czytamy w tym artykule „Polityki” — spotkał się tam nie tylko z pełną aprobatą ze strony członków KC KPCz, lecz wprost z entuzjazmem, gdyż towarzysze w Moskwie nie wyobrażali sobie dotychczas — z braku informacji — że przygotowania do powstania mają taki szeroki zakres”.

Zanotujemy: działo się to w sierpniu 1944 r.
A dalej:

„Sytuacja w kraju pozwalała myśleć nie tylko o ruchu partyzackim — jak to było w dyrektywach otrzymywanych z Moskwy — lecz o szerokim ogólnonarodowym powstaniu”.

„Komunistyczna Partia Słowacji — cytuje „Polityka” za Husakiem — przygotowywała powstanie jako ludową wojnę rewolucyjną przeciwko faszyzmowi, jako rewolucję, w której weźmie udział uzbrojony naród i armia”.

W rozmowach między kierownictwem Słowackiej Rady Narodowej i przedstawicielami armii słowackiej zostało ustalone, że powstanie wybuchnie najpóźniej w momencie ewentualnej próby obsadzenia Słowacji przez armię niemiecką. Tak też się stało. Powstanie słowackie wybuchło 29 sierpnia 1944 r., gdy quislingowski rząd słowacki ks. Tiso wezwał na pomoc Niemców. Niezdecydowane zachowanie się wyznaczonych do dowodzenia powstaniem oficerów słowackich zadało mu pierwszy cios. Zasadniczo pozyskany dla udziału w powstaniu szef sztabu armii słowackiej, płk. Talsky, zamiast walczyć we Wschodniej Słowacji uciekł z całym lotnictwem słowackim do Rosji. Powstanie wybuchło więc zbyt późno, gdy część armii słowackiej była już w niewoli, a część rozeszła się do domów. Walki rozgorzały na dobre tylko w środkowej części Słowacji.

„Polityka” pisze o tym, jak Benesz z Londynu, korzystając na terenie międzynarodowym z pozycji „legalnego prezydenta” i „legalnego rządu” (cudzysłowy „Polityki”), pragnął narzucić się jako zwierzchnia siła powstania.

M.in. czytamy:

„Gdy rząd londyński w depechach z 23 i 24 września dość otwarcie

ujawnił pragnienie ujęcie władzy w kraju, narzucenia swej koncepcji powstania oraz niechęć uznania Słowaków za równoprawny naród Słowacka Rada Narodowa 29 września 1944 r. jednomyślnie uchwaliła merytoryczną rezolucję, że:

„a. uznaje Benesza i rząd londyński jako naczelne organa rewolucyjne za granicą, które jednak nie mogą ingerować w urządzenie stosunków na terenie kraju;

b. żąda pełnego równouprawnienia narodu słowackiego w odradzającej się republice;

c. proklamuje własną suwerenność na terenie Słowacji jako naczelny organ reprezentatywny;

d. odrzuca pełnomocnictwa delegata rządu w stosunku do Słowacji”.

„Po wielu rokowaniach Benesz skapitulował” — pisze dalej „Polityka” — „Ale dlatego powstanie pomocy londyńskiej nie otrzymało”.

„Jedynie poparcie rzeczywiste przyszło ze strony radzieckiej” — zaznacza „Polityka” — chyba jednak nie bez wątpliwości, gdyż dalej zaraz mowa jest o tym, że „Skoro nie udało się uzgodnić powstania z działaniami Armii Radzieckiej”...

Wprawdzie armia Koniewa rozpoczęła 8 września 1944 r. operację karpacko-dukiewską, której celem miało być połączenie się z powstańcami, ale operacja ta „nie powiodła się...”

„Skoro nie udało się uzgodnić...” „operacja nie powiodła się...” Nie powiodła się? Czy została wstrzymana na rozkaz Małkwy? (1).

Przez cały wrzesień i październik 1944 r. rozwijała się wielka ofensywa na tzw. II froncie ukraińskim. Wojska rosyjskie przeszły przez Rumunię na Węgry. Dn. 15 października 1944 r. Horthy oznajmił o zawieszeniu broni. Ale Słowakom nie można było jakoś pomóc... Dopiero 19 października 1944 r. wyruszyła przeciwko nim 8 dywizja niemiecka. A więc po siedmiu tygodniach trwania powstania. I dopiero 28 października 1944 r. powstanie upada... Upada stłumione przez Niemców, przy biernym współdziałaniu Rosjan, którzy byli zadowoleni, że rękami niemieckimi tłumią lokalne patriotyzmy na obszarze, który uważali za swą przyszłą „przestrzeń życiową”... Podobnie jak kilkanaście dni wcześniej w Warszawie...

O tym oczywiście „Polityka” już nie pisze...

Komuniści słowaccy, współuczestnicy powstania 1944 r., wzięci w karby dyscypliny partyjnej Komunistycznej Partii Czechosłowacji, dopóki byli potrzebni w rozgrywce z Beneszem i partiami demokratycznymi byli tolerowani. Niektórzy, jak np. Clementis, zostali nawet wysunięci na wysokie stanowiska. Po za-

(1) Można przypomnieć, że to Chruszczow jako komisarz polityczny I Frontu Ukraińskiego organizował pomoc dla powstania słowackiego.

garnięciu władzy przez Gottwalda w 1948 r., doszło do serii procesów w latach 1949-1954 r., w których rozprawiono się również z powstaniem słowackim.

Gottwald i Nowotny oraz wysługujący się im Siroky nie wahali się popełnić szeregu zbrodni dla utrwalenia władzy Czechów nad Słowacją i dla zatarcia śladów tego, że jedyny większy czyn ruchu oporu przeciwko Niemcom miał miejsce nie w Czechach, a w Słowacji. Że zrodził się ze współdziałania w nim znacznej części narodu słowackiego, nie tylko komunistów, i że dążył do równouprawnienia Słowaków wobec Czechów, jeśli zgoła nie do odrębności państwa słowackiego. Padły wyroki śmierci, jeszcze liczniejsze wyroki długotrwałego więzienia. Powstanie słowackie zostało potępione. Do rewizji poglądów doszło dopiero stopniowo w ciągu ostatnich dwóch lat, w spóźnionej reakcji na te wszystkie zmiany, jakie nakoło Czechosłowacji wywołał XXII Zjazd KPZR. Trzeba było i w Pradze, jesienią 1963 r., znieść pomnik Stalina, a na plenum KC KPCz w dniach 18-19 grudnia 1963 r. zgodzić się na rehabilitację skazanych w latach terroru 1949-1954 komunistycznych przywódców słowackich. Ustąpić musiał ze stanowiska premiera Siroky.

Wydarzenia te poprzedzone były coraz śmielszymi wystąpieniami prasy słowackiej.

„Częstokroć zagadnienie walki wyzwoleniczej — pisze o powstaniu słowackim 1944 „Pravda”, organ KC Komunistycznej Partii Słowacji (2) — zwrócono do sprawy ruchu robotniczego, kierowanego przez partię komunistyczną, nie doceniano zaś pozostałych sił ruchu. Było tak częściowo dlatego, że w źródłach własnych nie znajdowano w tej sprawie dostatecznej ilości odpowiednich jakościowo materiałów, częściowo zaś dlatego, że do sprawy działania warstw nieproletariackich, a szczególnie burżuazji, nie podchodzono z dialektycznego punktu widzenia, który by uwzględnił we właściwy sposób warunki owego okresu”.

„Poznanie działalności wszystkich uczestniczących w ruchu oporu sił, ich stanowiska, poglądów i znaczenia w ruchu, jest niezbędne dla dokonania należytej oceny działania najwyższego organu kierującego walką wyzwoleniczą — Słowackiej Rady Narodowej”.

„Jeszcze w 1959 r., na konferencji z racji 15 rocznicy powstania — pisze dalej „Pravda” w tym samym artykule — wywierany był nacisk w tym kierunku, aby ocena Rady nie wybiegała poza ramy ówczesnych oficjalnych schematów politycznych. Oceniano działalność Rady jako konglomerat koalicyjnego paktowania „nacionalistów” w Komunistycznej Partii Słowacji z przedstawicielami burżuazji, jako zdradę interesów klasy robotniczej. Nie dostrzegano istniejącej wówczas głównej sprzeczności: sprzeczności pomiędzy okupantem i jego poplecznikami z jednej strony, a będącym w niewoli narodem — z drugiej.

A fakty świadczą o tym, że z chwilą powstania Słowackiej Rady Narodowej w 1943 r., ruch oporu zaczyna przybierać na sile. Do tego czasu w partii komunistycznej występowały trudne do zwalczania tendencje

(2) Sierpień 1963 r. Artykuł pt. „O prawidłowe naświetlenie historii Powstania Narodowego w Słowacji”.

lewackie, a jako ostateczny cel walki wyzwoleniczej stawiana była w sposób dogmatyczny dyktatura proletariatu. Od chwili powstania Słowackiej Rady Narodowej rozwój ruchu odbywał się na drodze zrozumienia VII kongresu Międzynarodówki i zastosowania uchwał do specyficznych warunków Słowacji. Do ruchu wciągano wszystkie warstwy narodu i rozpoczęto przygotowanie walki zbrojnej”.

„Dotychczasowa historiografia oceniała wypracowany przez Słowacką Radę Narodową plan walki jako pucz wojskowy, mający na celu umocnienie pozycji burżuazji. Sprawa udziału armii w powstaniu jest niezmiernie drażliwa, ponieważ dotyczy dziesiątek tysięcy ludzi, prawidłowe zaszeregowanie których jest niezbędne nie tylko przez wzgląd na samą historię, ale także przez wzgląd na współczesność. 60 tysięcy żołnierzy powstania pracuje dzisiaj na ważnych posterunkach budowy społeczeństwa socjalistycznego i trzeba, aby o ich walce mówiono prawdę, aby nie musieli z poczuciem krzywdy podporządkowywać się politycznym i historycznym schematom, dotyczącym udziału wojska w powstaniu”.

„Naród słowacki — podkreśla dalej w tym samym artykule „Pravda” — powstając do walki zyskał w oczach całego świata kredyt dla obydwu narodów Czechosłowacji, a dla rozwoju wewnętrznego było niezmiernie ważne to, że za pośrednictwem Słowackiej Rady Narodowej zgłosił akces do wspólnego państwa Czechów i Słowaków na zasadach równouprawnienia”.

Ten artykuł „Pravdy” był jednym z elementów szerokiej akcji, jaka orgarnęła stopniowo Słowację. W grudniu 1963 r. zrehabilitowany został Husak, którego artykuły w wychodzącym w Bratislavie tygodniku „KULTURNI ŽIVOT” odsłaniały kulisy powstania. „Oneskorene reportáže” Mnacki o wypadkach roku 1944 rozchodzą się w rekordowych ilościach.

Wszystko to, cios po ciosie, uderzało w Novotnego i jego klikę. Stało się rzeczą jasną, że 20-lecie obchodu powstania słowackiego nie będzie mogło być skwitowane jakimiś półfrazesami.

Na obchód rocznicy do Banskiej Bystrzycy przybył Novotny i Chruszczow. Chruszczow w rozpaczliwej walce o zyskanie sojuszników, dla wzmocnienia swego stanowiska w przygotowywaniu międzynarodowej konferencji komunistycznej o charakterze antychińskim, potrzebował Novotnego. Novotny, jeden z tych, którzy najwięcej przyczynili się do dławienia Słowaków i do zbrodniczych procesów lat 1949-1954 r., potrzebował Chruszczowa. W Banskiej Bystrzycy odbyła się komedia obchodu. Novotny dekorował uczestników powstania, którego ślad starał się przedtem zniszczyć i zohydzić... Chruszczow święcił czyn partyzancki „narodów Czechosłowacji...”, walkę „Czechów i Słowaków” z okupantem.

Oczywiście kłamstwa te i przebieg uroczystości wywołały w Słowacji więcej rozgoryczenia i gniewu, niż organizatorzy tej komedii mogli się spodziewać.

Był to wyraźny policzek.

Można wyciągać z tego wnioski, jak widocznie już Chruszczow czuł się niepewny swego.

Wśród Słowaków istnieje też rozgoryczenie w stosunku do Polski Gomułki, która do Banskiej Bystrzycy wysłała dziwną delegację, w której uczestniczyli ludzie o zamazanej przeszłości.

W nadziejach o poprawę swego losu i o równouprawnienie, Słowacy kierowali nieraz swój wzrok do Polski. Drewniana poprawność Warszawy wobec Pragi i Novotnego (pomimo jego nieukrywanej i czynnej wrogości wobec Polski i grupy Gomułki) stwarzała tu jednak mur nie do przebycia. Ambasada PRL w Pradze, rodzaj miejsca zesłania dla najaktywniejszych polskich stalinowców, jest jednym z najbardziej zaangażowanych po stronie też czeskich ośrodków, wśród przedstawicielstw krajów socjalistycznych w Czechosłowacji. Stamtąd wychodziły kpiny na temat tego, że Słowakom „narodowi 4-milionowemu” zachciewa się niepodległości... Uwagi takie i drwiny wypowiedane były m.in. na licznych w Pradze przyjęciach urządzanych dla przyjeżdżających z Afryki dygnitarzy z krajów, których ludność nie wynosi nawet 1/3 liczby Słowaków, a których prawo do niepodległości wydaje się nie budzić ani u ludzi Novotnego, ani u usłużnych Polaków w Pradze najmniejszych wątpliwości.

W Warszawie nie przywiązuje się, zdaje się, żadnej wagi do akcji kulturalnej na terenie Słowacji. Nie dba się o przekłady z polskiego na słowacki. A czy np. władzom polski Ludowej, które otwierają szeroko podwoje swojego radia dla codziennych audycji z Moskwy, w najlepszym czasie dnia, nie przychodzi do głowy, że np. takie radio Kraków mogłoby zacząć nadawać audycje w języku słowackim? Po prostu audycje informacyjne i kulturalne, mówiące o wydarzeniach życia codziennego w Polsce i o polskich osiągnięciach kulturalnych? Czy stanowiłoby to ciężkie naruszenie „internacjonalizmu proletariackiego”, w imieniu którego Warszawa zawiera niekorzystne dla Polski umowy gospodarcze z Czechami Novotnego i pokornie godzi się na inne przejawy „braterskiego stosunku” Pragi, takie np. jak odmowa puszczania do Czechosłowacji robotników (była mowa o 100 tys.) dla odciążenia narastającego w Polsce bezrobocia, czy jak czynne zainteresowanie władz praskich pewną broszurą, która krążyła w Polsce przed IV Zjazdem PZPR?

Czy w końcu Słowacy będą musieli, jak to zresztą już w coraz większej ilości wypadków robią, wiązać jedyne swoje nadzieje na lepszą przyszłość z Niemcami — i to tymi z NRF, nawet z Seebohmem łącznie?

Nie wiadomo w jakiej mierze upadek Chruszczowa przyczyni się do utrzymania się Novotnego, którego pozostawianie u władzy zdawało się jeszcze na początku października br. policzone na tygodnie, czy najwyższej miesiące.

Nic nie zdoła jednak zahamować dążeń Słowaków do

pełni praw. W Warszawie powinni o tym wiedzieć. Omawiany artykuł „Polityki” jest dobrym znakiem, że jednak zwrócono trochę na to uwagę. Dla młodszego pokolenia komunistów w Polsce artykuł ten był rewelacją, gdyż o powstaniu słowackim z 1944 r. i o aspiracjach narodu słowackiego po prostu nie słyszeli! Znane są im natomiast, poparcia najwyższych autorytetów w PRL dla takich problemów, jak niepodległość „narodu cypryjskiego”..., tj. wyspy, której cała ludność jest kilkunastokrotnie mniej liczna od Słowacji.

Historia wyrówna te dziwolągi. W Polsce powinno się dbać o to, by raz jeszcze, jak w latach 1938-1939, nie wyrównała — przeciwko Polsce.

Vlado HODŽA

WKRÓTCE UKAŻE SIĘ
W SERII «DOKUMENTY»

w opracowaniu

WIKTORA SUKIENNICKIEGO

BIAŁA KSIĘGA

zawierająca zbiór dokumentów, dotyczących stosunków polsko-rosyjskich i polsko-sowieckich z okresu dwóch wojen światowych.

Kronika kulturalna

Piśmiennictwo polskie na obczyźnie

Ukazał się pierwszy tom „*Literatury polskiej na obczyźnie*” (1), od dawna planowanej, zapowiadanej i wreszcie częściowo wydanej, w okładkach papierowych oraz twardych, ze złoceńiami na grzbiecie. Tom I liczy 606 stron dużego formatu i na pierwszy rzut oka robi wrażenie imponujące. Od razu też pozwolę sobie wyrazić podziw dla wysiłku włożonego przez redaktora i jego współpracowników, wysiłku tym cięższego, że jak informuje wstęp redakcyjny dr Tymona Terleckiego, praca napotykała na różne trudności, nie tylko finansowe, i wykonana została w pewnej mierze „metodą chałupniczą”. Podziw mój, choć szczery, ma również aspekt nieco makiawelski: składając na wstępie hołd ogromowi włożonej pracy, chcę wyeliminować ten czynnik z dalszych uwag o książce.

Tom I wydawnictwa zawiera następujące pozycje. Oprócz wstępu redakcyjnego, rodzaj wstępu „perspektywistycznego” stanowi esej dr. Wiktora Weintrauba *Literatura emigracyjna wczoraj i dziś*. Następnie mamy 133 strony liczący rozdział *Twórczość poetycka*, opracowany przez dr. Mieczysława Giergielewicza. Rozdział *Proza beletrystyczna*, licząca tylko 40 stron, opracowany został przez dr. Zygmunta Markiewicza. Swoisty dodatek do niego stanowi szkic Michała Samбора *Uwagi o prozie beletrystycznej*, liczący stron 10. *Dramatopisarstwo* emigracyjne ujął na 21 stronach Jan Ostrowski. Dr Józef Bujnowski ma w tomie dwa opracowania: *Esej*, liczący 56 stron, i *Szkic literacki i krytyka artystyczna*, liczący aż 178 stron. *Wznowienia tekstów pisarzy polskich i obcych* opracował dr Ignacy Wieniewski (str. 7) *Literaturę religijną* dr Wojciech Wasutyński (rozdział, liczą-

(1) *Literatura polska na obczyźnie, 1940-1960*: praca zbiorowa, wydana staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, pod redakcją Tymona Terleckiego, tom I.: B. Świdorski, Londyn, 1964, str. 606, nlnb. 2.

cy stron 13, przejrzał i uzupełnił Stanisław Sopicki); *Literaturę wojskową* opracował dr Marian Kukiel (str. 14). Tom zamyka rozdział *Udział Polaków w literaturach zachodnich*, opracowany przez Zofię Kozarynową, przy pomocy gen. Kukieła w dziale historii, i Jana Ostrowskiego, który opracował dział filozofii i psychologii. Rozdział liczy stron 110.

Spis zawartości wykazuje jasno, że wydawnictwo dotyczy nie literatury polskiej na obczyźnie w ścisłym słowa tego znaczeniu, ale piśmiennictwa polskiego (w języku polskim i przez Polaków) w najogólniejszym sensie. We wstępie Tymon Terlecki usprawiedliwia względami językowymi użycie w tytule terminu „literatura”: podobno termin „piśmiennictwo” ma „we współczesnym poczuciu językowym” cokolwiek „archaiczny podźwięk i posmak”. Nie wdając się w słuszność tego twierdzenia, trzeba wyraźnie zaznaczyć, że tytuł wprowadza w błąd. Względy rzeczowe winny były przemówić silniej niż poczucie językowe (czy estetyczne).

Ramy chronologiczne, wymienione w tytule książki, również nie odpowiadają rzeczywistości. Niektóre opracowania doprowadzone zostały, choćby tylko urywkowo, do roku 1962; co najmniej w jednym wypadku wymieniona została pozycja z r. 1963 (praca Z. Jordana *Philosophy and Ideology*). Chęci dociągnięcia opracowań do ostatniego momentu można jedynie przyklasnąć i jest ona zrozumiała. Niemniej, wzmaga to ogólne wrażenie chaotyczności.

Zarzut chaotyczności jest może na pierwszy rzut oka paradoksalny: wszystkie rozdziały podzielone są na sekcje, kilka opracowań autorzy poprzedzili uwagami na temat metody, wzorem stosowania ścisłych rygorów formalnych przy klasyfikacji nader bogatego materiału mogą się wydać opracowania Józefa Bujnowskiego... A jednak wrażenie chaotyczności dominuje. Na czym ona polega? Winę ponosi chyba nałożenie się na siebie kilku sposobów ujęć, a przede wszystkim ujęcia chronologicznego, bibliograficznego i analitycznego. Trzymanie się zaś bardzo „ostrzych” metod grupowania materiału, czasowych, tematycznych, formalnych, dało rezultat przypominający może najbardziej sposoby szatkowania kapusty, przeniesione w dziedzinę zgoła im obcą. Zbyt duża ilość z zewnątrz narzuconego klasyfikowania i porządkowania dała wynik odwrotny od zamierzonego. Stąd opracowania poszczególne pełne są kadłubów i odwłoków różnych pisarzy, rozpatrywanych raz w jednym okresie, raz w drugim, raz z punktu widzenia takiej tematyki, innym innej, raz na zasadzie podziału rodzajowego, raz wewnątrzrodzajowego. Zapowiedziany w drugim tomie indeks ukaże to zjawisko z większą wyrazistością. Do tych ogólnych uwag, jak i do sprawy samej koncepcji książki, wypadnie zresztą jeszcze wrócić przy omawianiu tomu II wydawnictwa, który być może ukaże się jeszcze w tym roku. Trzeba to było jednak choć ogólnikowo zaznaczyć, gdyż doty-

czy to prawie wszystkich opracowań, którymi się przede wszystkim w tej chwili zajmujemy.

Esej Wiktora Weintrauba czyta się z wielkim zainteresowaniem i satysfakcją. Widać w nim znanstwo przedmiotu, przyjemność sprawiają nieobciążone zbyt licznym materiałem faktologicznym, miejscami głębokie uogólnienia. Esej ma za zadanie skontrastować różne literatury emigracyjne, a przede wszystkim literaturę Wielkiej Emigracji i naszą. Sięgając do czasów Owidiusza, zahaczając o emigracyjną literaturę rosyjską, wydobywając zasadnicze cechy literatury Wielkiej Emigracji, charakteryzuje autor pośrednio i bezpośrednio współczesną literaturę polską na Zachodzie. Zasadniczym uogólnieniem zdaje się tu być dosyć pesymistyczne stwierdzenie, że „dawne literatury emigracyjne były skłócone wewnątrznie tak samo jak współczesne, ale miały przy tym pewien wspólny styl, pewien charakter bojowy, którego, we współczesnych literaturach emigracyjnych, właśnie dlatego, że są one przesiane pisarzami-emigrantami z przypadku, dopatrzeć się trudniej”. To prowadzi autora do zwrócenia uwagi na „jeden z najbardziej gorzkich paradoksów współczesnego życia literackiego, że podczas gdy polityka reżymów totalitarnych oparta jest na założeniu, iż słowo pisane to potężna i groźna broń, pisarza współczesnego gnębią wątpliwości, czy też czasami przekonanie to nie jest niezaskłużonym komplementem”. Obserwacja jest niewątpliwie bardzo wnikliwa i słuszna. Można jednak kwestionować, czy głównym powodem tego stanu rzeczy jest masowy charakter współczesnych emigracji, pozwalający na znalezienie się w ich szeregach pisarzy-emigrantów z przypadku. Za poważniejszy powód, można by uważać chyba kryzys pojęć i postaw, które nadawały bojowy charakter dawniejszym literaturom emigracyjnym.

Dalsze poparcie dla swojej tezy prof. Weintraub widzi w zjawisku młodego pokolenia w literaturze emigracyjnej, o którym mówi, że „ci młodzi pisarze stali się emigracyjnymi pisarzami po prostu dlatego, że urodzili się czy wychowali na emigracji i debiutowali jako emigranci”. Jest to uproszczenie. Przed prawie każdym z tych pisarzy w pewnym momencie ich rozwoju stanął problem wyboru. Wyraz tego można znaleźć w ich wypowiedziach i postępowaniu: wracając do kraju Jerzy Sito żegnany był przez pozostałych ówczesnych kolegów dyskusją dotyczącą nie tylko sprawy języka ale i „ceny wolności”.

Bardzo interesujące jest spostrzeżenie, że „dawniej literat emigracyjny pisał przede wszystkim z myślą o czytelniku w jego kraju ojczystym. Teraz pisarze-emigranci, mający zaplecze swoich czytelników emigracyjnych, piszą przede wszystkim dla nich”, co tłumaczy gigantyzm wspominkarstwa i pokrewne zjawiska. W spostrzeżeniu tym jest wiele prawdy. Równocześnie trzeba chyba dodać, że w historii współczesnej literatury emigracyjnej dadzą się rozróżnić fazy, w których nastawienie

na czytelnika krajowego było silniejsze, lub słabsze. Było ono silniejsze w okresie wojennym i tuż po wojnie (dawanie świadectwa prawdzie o obozach sowieckich, piśmiennictwo polemiczne), nasiliło się znowu w okresie odwilży; różni się też od autora do autora; jest większe w wypadku Miłosza, czy — paradoksalnie? — Gombrowicza, niż w wypadku Brzękowskiego czy — paradoksalnie — Bielatowicza lub Tadeusza Nowakowskiego. Trudno też powiedzieć, czy głównym powodem jest tu posiadanie zaplecza czytelnika emigracyjnego. Literatura Wielkiej Emigracji, mimo braku równie licznego zaplecza, również brała pod uwagę czytelnika-emigranta. Natomiast postawa pisarzy Wielkiej Emigracji była inna. Współczesnej emigracji w zasadzie brak grup żywo ideowych: być może zemściła się tu dosyć powszechna postawa czystej negacji wobec kraju połączona w wielu wypadkach z konserwatyzmem, nawet typu „lewicowego”. Już charakter takich pism jak „Kultura” i „Wiadomości” określa różnice w nastawieniu ich stałych współpracowników (nie trzeba dodawać, że z obu pism, „Wiadomości” są właśnie nastawione na czytelnika emigracyjnego i w nich najbujniej rozwinął się polip wspominkarstwa oraz, co najmniej w pewnym okresie, swoista *splendid isolation*).

Esej prof. Weintrauba daje pole do wielu uwag i stanowi bardzo cenny wkład do socjologicznej oceny literatury emigracyjnej. Można by w nim zahaczyć i o inne stwierdzenia kontrawersyjne; powinien też wywołać szerszą dyskusję, na którą w pełni zasługuje. Uwypukla też pośrednio to, co zawążyło bardzo silnie i ujemnie na reszcie opracowań tomu: brak perspektywy w sensie dystansu czasowego do omawianych zjawisk. Kto bowiem zaprzeczy, że obraz literatury emigracyjnej jaki wyłoni się za 30 lat od dziś może się okazać zupełnie różnym, od obrazu dzisiejszego? Może za pisarzy najbardziej „emigracyjnych” uznani zostaną wtedy nie ci autorzy, którzy znaleźli się na Zachodzie wskutek ostatniej wojny, ale pisarze tacy jak Miłosz, Wat i ci, co jeszcze dołę emigrantów wybiorą? Może do pisarzy o specjalnie wyczulonym poczuciu terażniejszości zaliczony zostanie nie któryś z obecnie sławnych prozaików emigracyjnych, ale właśnie jakiś „zagubiony” (wg. Giergielewicza) Darowski czy Czerniawski, który nie czując dziś zaplecza emigracyjnego czytelnika, pisze dla jakiegoś idealnego czytelnika w ogóle, a więc i czytelnika krajowego. Dla takiego idealnego czytelnika wydaje się np. pisać Miłosz, kiedy nie adresuje bezpośrednio do czytelnika w kraju. Podobnie „czytelnika w ogóle” ma na uwadze Hostowiec, czy miał Tadeusz Sułkowski.

O opracowaniu Mieczysława Giergielewicza można powiedzieć ogólnie, że cechuje je zbyt daleko posunięty ascetyzm wyrażający się stosowaniem kryteriów w przeważającej mierze pozaestetycznych, a więc tematycznych, kronikarskich, bi-

bliograficznych. To wpłynęło zastraszająco na rozmiary opracowania i nie pomogło przy hierarchizowaniu autorów i utworów. Nie chodzi mi zresztą o hierarchizację zewnętrzną, o rozdawanie laurów i rang, lecz o hierarchizację ujawniającą się w selekcji. Skoro obok działu opisowo-analitycznego daje się również pełną bibliografię tomów poetyckich, łatwo było przesunąć wiele pozycji do tej ostatniej, inaczej poczucie proporcji niknie jak kamfora. Cóż istotnego wnosi stwierdzenie, że „Wiersze Romiszewskiego, rozsypane po czasopismach i jednodziódkach, odtwarzały osobliwy świat realiów spadochroniarstwa oraz różnych epizodów szkolenia, wyróżniający się własną egzotyką”, skoro autor nie jest tego w stanie poprzeć ciekawym cytatem? Co komu przyjdzie z dziesiątków nazwisk, wymienionych z obowiązku kronikarskiego, kiedy znalazły się one i tak w dołączonej bibliografii? A już tym bardziej co komu przyjdzie z kilkunastu cytatów potrzebnych autorowi tylko po to, by zilustrować stosowany przez niego podział tematyczny w rodzaju: „Spój, kolego...”, „Na postoj”, „Obrachunki z życiem” (jakby poezja była w ogóle czymś innym), „Próby odprężenia” itp., gdy cytatów tych nie wyróżnia żadna iskra poetycka? Lekko licząc autor mógł sobie darować co najmniej 30 cytatów! (służę dokładnym wykazem w razie potrzeby).

Prawdopodobnie z autorem opracowania trzeba sympatyzować raczej, niż się spierać: przedarcie się przez 376 tomów i tomików wierszy, to musi być przeżycie niwelujące. Ale czy stosując jak najdalej posuniętą lojalność wobec choćby cienia talentu, autor nie zastanowił się, że tym samym zuboża obraz poezji emigracyjnej, obciążając go niepotrzebnym balastem, gubiąc w ilości to, co zasługuje rzeczywiście na podkreślenie, upamiętnienie, zachwyt?

Opracowanie Giergielewicz jest dobrym przykładem zastosowania kilku metod podziału materiału. Mamy tu zarys kronikarski, podział według tematyki, uwagi o podłożu programowym, podział według „kierunków ekspresji” (Epigoni Młodej Polski, Skamandryci, Awangarda, tzw. Oporni i tzw. Najmłodszy), wreszcie sylwetki poetów. Zacięcie bibliograficzne i układ chronologiczny przenikają poprzez wszystkie te podziały. O tym, co otrzymujemy w rezultacie, była już mowa. Niemniej, wprowadzenie „zintegrowanych” sylwetek poszczególnych poetów ratuje nieco sytuację, ujawniając wyraźniej kryteria estetyczne autora i, w zwięzłych ramach syntetycznych, ujęcie krytyczno-analityczne (widoczne już w „kierunkach ekspresji”).

Sylwetek tych jest 13: Wierzyński, Pawlikowska, Łobodowski, Baliński, Lechoń, Czuchnowski, Borsukiewicz, Broniewski, Pietrkiewicz, Przyłuski, Miłosz, Bujnowski, Sułkowski. Z wyborem można by się spierać, choć jest na ogół słuszny, poza takimi pominięciami jak przede wszystkim Brzękowski, Iwaniuk i Pankowski. Pominięcie Brzękowskiego nie da się niczym uzasadnić, nawet tym, że pisano o nim wiele (i dobrze) w kraju. Po prostu

bez sylwetki Brzękowskiego i szczegółowszego omówienia jego poezji obraz jest wybitnie niepełny (choć trzeba dodać, w innych częściach opracowania autor oddaje na ogół Brzękowskiemu sprawiedliwość). Brak sylwetek Iwaniuka i Pankowskiego również odczuwa się dotkliwie. Ewolucja poezji Iwaniuka wydaje się być jednym z ciekawszych zjawisk literatury emigracyjnej. Poezja Pankowskiego, który również przeszedł znaczną ewolucję, ale przede wszystkim w kierunku prozy, także warta była osobnego ujęcia. Szczególnie, że tych 13 sylwetek poetyckich, to najlepsza część szkicu Giergielewicz. Autor mówi tu oględnie, ale na ogół wyraźnie co naprawdę myśli o poezji emigracyjnej; używamy *pogląd* na tę poezję, nie odwracamy się zniechęceni od cytatów, raduje nas swoista rewelacja jaką jest sylwetka „autora jednej książeczki” Borsukiewicza (którego pierwszy wydobył z zapomnienia Pietrkiewicz), pochłania świetnie ujęta sylwetka Tadeusza Sułkowskiego; zmusza do szacunku wobec obiektywizmu autora i przemawia rzetelnością sformułowań sylwetka Lechonia, a jeśli niektóre z innych ujęć wzbudzają sprzeciw, jest to sprzeciw pobudzający. Polemika z tymi ujęciami rozszerzyłaby ramy tego omówienia nadmiernie (np. stanowczo można było napisać ciekawiej i głębiej o Miłoszu czy Pietrkiewiczu, mniej „nieobowiązująco” o Bujnowskim...)

Reasumując, trzeba stwierdzić, że autor i tak wybrnął obronną ręką z zadania, które sam uczynił bardziej niż trudnym, przyjmując tak rozbieżne metody ujmowania materiału jak „dokumentacja, oddźwięk społeczny i wartość artystyczna”, przyznając też w zakończeniu, że w „swoim zarysie pierwotnym szkic miał stanowić po prostu rodzaj wyczerpującego przeglądu bibliograficznego”. Jak „wyczerpujący” może być taki przegląd świadczy dobitnie co najmniej połowa szkicu.

Z mniej lub bardziej poważnych usterek trzeba wspomnieć przynajmniej o paru. Jeśli pominąć należąca do trochę innej kategorii sprawę zgrupowania kilku poetów, takich jak Żywina, Olechowski, Przyłuski, Gałczyński (*sic*) i Rostworowski w jednej rubryce pod nazwą „Oporni”, co wydaje się nie mieć istotnego uzasadnienia, zastrzeżenie budzi fakt wyłączenia z opracowania grupy pisarzy przebywających w ZSSR w czasie wojny, gdyż — cytując uzasadnienie chyba główne — „twórczość ich nie przeżyła tych znamion, jakie wyróżniają poezję emigracyjną na innych obszarach”. Argument mniej niż przekonujący: ostatecznie, tytuł książki brzmi „Literatura polska na obczyźnie”! Jako przykład samopoczucia tych „najmłodszych, którzy... rozmięgli się z wojną” autor cytuje fragment wiersza Taborskiego, który z wojną o tyle się nie rozmięgał, że był członkiem AK (str. 70). Jerzy Pietrkiewicz urodził się w roku 1916, a nie, jak wydrukowano, w 1919 (str. 86); przypisywanie Czuchnowskiemu wpływu na grupę poetów „najmłodszych” jest chyba nieporozumieniem (str. 106); w bibliografii pod datą 1947 r. należało może wymienić przekład Bhagavad Gity Marii Dynowskiej

(Biblioteka Polsko-Indyjska, 1947); tom wierszy Anny Poklewskiej-Kozieł wymieniony jest raz pod datą 1945 r., drugi raz pod datą 1948 roku; itp.

Stosunek autora następnego szkicu o prozie beletrystycznej, Zygmunta Markiewicza, do omawianego materiału momentami wydać się może nieco nonszalancki. Przy okazji charakteryzowania powieści jednego z najwybitniejszych prozaików emigracyjnych, Teodora Parnickiego, autor tłumaczy się: „Trudno stwierdzić, gdy wrażenia przedwojennego debiutu zatarły się w zawodnej pamięci, czy talent pisarski Parnickiego rozwinął się od czasów „Aecjusza”... Czy warto komentować, że jeśli pamięć zawodzi, to zwykle staramy się ją odświeżyć, o ile traktujemy jakąś sprawę poważnie? Nie jest to przykład odosobniony. Na początku swego opracowania autor cytuje opinię Gombrowicza o piśmiennictwie emigracyjnym, przyrównującą je do „nieruchomej kałuży” i dodaje: „Ten surowy sąd Gombrowicza sprawia wrażenie, że literatura dwudziestolecia emigracyjnego jest pozbawiona jakiegokolwiek wartości”. Następnie, w zakończeniu triumfalnie wymienia 15 powieści, które jego zdaniem obalają sąd Gombrowicza. A przecież wystarczyło pozostać wiernym chronologii: opinia Gombrowicza została wyrażona w grudniu 1954 roku, a więc dotyczyła co najwyżej 14-lecia piśmiennictwa emigracyjnego. Poza tym przynajmniej 8 z 15 wymienionych przez autora pozycji ukazało się po roku 1954! Czy sąd Gombrowicza był słuszny w momencie kiedy został wypowiedziany, to już sprawa inna. Na str. 146 autor pisze: „Poważniejsze walory (niż etc.) posiada zapewne utwór J. Olechowskiego — był mi niestety niedostępny”. Skąd więc to przekonanie o „poważniejszych walorach”. O Pawle Mayewskim dowiadujemy się, że jest to „Polak, piszący po angielsku, znany m. in. z wydania pięknej antologii poetów polskich”. Jeśli antologia jest tak piękna, to czy aby na pewno dotyczy poetów polskich? Jakoś dziwnie brzmi uwaga o Leo Lipskim (którego „Piotruś-apokryf” nie jest wymieniony), że jest to „piszący po polsku mieszkaniec Tel-Awivu, a więc ewidencyjnie nie należący do emigracji...”. Omówienie powieści Gombrowicza wprowadzone jest w ten sposób: „Witold Gombrowicz, autor „Ferdurke”, który narobił dużo zamieszania w Polsce przedwojennej...”. Zarówno „Trans-Atrantyk” jak i „Pornografia” omawiane są w dziale „Opowiadanie”, podobnie zresztą jak za udany debiut w dziedzinie opowiadania uznany jest utwór Danuty Mostwin „Ameryko, Ameryko”. Natomiast opowiadania lotnicze i morskie omawiane są w dziale „Powieść” (str. 139-140), mimo, że niektóre z nich zostały już omówione również w dziale „Opowiadanie” (str. 137). W związku z tymi opowiadaniem dowiadujemy się zresztą na str. 137, że „tom opowiadań lotniczych Bolesława Pomiana... „Ku najjaśniejszej z gwiazd”... stanowi obiecujący debiut”, podczas gdy na str. 138 autor wy-

rażnie stwierdza, że za jedynie obiecujący debiut tego okresu (1940-45) można uważać wystąpienie Wacława Solskiego. W dziale „Opowiadanie”, tuż obok „Pornografii” Gombrowicza, znalazło się omówienie książki Wierzyńskiego „Życie i śmierć Chopina”. O Brzękowskim dowiadujemy się na str. 153, że zainteresował się ostatnio prozą, chociaż wiadomo, że pisał powieści jeszcze przed wojną. Zarówno „Start” jak i „24 kochanków Perdity Loost” omawiane są zresztą również w dziale „Opowiadanie”. Pisząc o „Dziedzictwie” Zofii Kossak, autor ubolewa, że niestety nie jest pewien, czy „naświetlenie epoki nie jest własnością autorki”. Podsumowując okres 1946-50, autor podkreśla, że „zasługuje na uznanie duży wysiłek pisarek, by wcielić się w postacie męskich protagonistów” podsumowując cały szkic, jako jedną z paru konkluzji wysuwa spostrzeżenie, że „kresy południowe, północno-wschodnie i ziemie położone poza granicami traktatu ryskiego” wybijają się „na pierwszy plan ilością samorodnych (*sic*) talentów”, co „odpowiadałoby w przybliżeniu sytuacji z okresu romantyzmu z tą zasadniczą różnicą, że w XX w. kresy litewsko-ukraińskie wydają głównie doskonałych prozaików”. Wniosek ten podany jest mimo, że autor sam stwierdza, iż „metoda „geografii literackiej”... nie może pretendować do ścisłości naukowej”.

Te i inne usterki, mniej lub bardziej poważne, podważają znacznie wartość szkicu, który ma momenty i ujęcia dobre i ciekawe. Własną metodę autor charakteryzuje następująco: „Studium niniejsze jest próbą znalezienia drogi pośredniej między historią literatury a krytyką”. W praktyce mamy szkic traktujący materiał przede wszystkim bibliograficznie, dzielący go na 3 okresy, z podpodziałami rodzajowymi na powieść i opowiadanie, które jak widzieliśmy, nie są w pełni utrzymane. Dzięki zresztą tej niekonsekwencji mamy tu mniej szatkowania; natomiast konieczność charakteryzowania tak wielkiej ilości utworów, przy założeniu, że pokaze się zarówno ich zalety jak i wady, wystawiła na dużą próbę inwencję autora. Stąd określenia w rodzaju: „rzadko osiągnięta plastyka obrazów”, „niecodzienny dar spostrzegawczości, widoczny w opisach”, „autor ma dość rzadką umiejętność stwarzania postaci”, „postacie jej... osiągnęły... rzadko spotykaną plastykę i głębię”... Z tym większą wdzięcznością natrafiamy na mniej stereotypowe ujęcia, w wypadku charakterystyki takich utworów jak „Dolina Issy”, „Przeście przez Morze Czerwone”, „Obóz wszystkich świętych”. Ale ujęć takich zbyt jest mało, gdyż autor musi już śpieszyć do innej pozycji, aby wypełnić zobowiązania bibliograficzne. Najczęściej więc mamy krótkie streszczenie fabuły utworu okraszone jakimś krótkim określeniem na temat stylu, czy kompozycji. Poważne wątpliwości można mieć w wypadku ocen i charakterystyk takich utworów jak „Trans-Atlantyk” i „Pornografia”, a przede wszystkim powieści Parnickiego, chociaż spór jest tu już innego rodzaju. Niemniej, trudno zgodzić się na przykład z opinią, że „można mieć zastrze-

żenie co do celowości rodzaju literackiego, który nie jest ani historią ani fikcją powieściową, czymś jak kawa bez kofeiny"... gdy opinia ta dotyczy powieści Parnickiego „Koniec Zgody Narodów”. A przede wszystkim chciałoby się mieć w takim szkicu nie tylko wykaz nazwisk i tytułów, jako tako scharakteryzowanych, ale i pogląd na emigracyjną powieść, wypływający z nieco żywszego stosunku do niej. Z jakimż zadowoleniem przyjmujemy te momenty, w których autor zapomina o swoim olimpijskim spokoju i dobiera się autorom do skóry. Do lepszych należy tu ostra krytyka „Opowiadań bałtyckich” Giertycha, wprowadzona zdaniem „krytyk musi się stanowczo wypowiedzieć przeciw napychaniu beletrystyki ideologiczną nadziejką”, lub nieświadoma może aliteracja w zdaniu „Pani Sapowska” napawa smutkiem”. Omówienie „Humorystów” kończy się stwierdzeniem, „W sumie przegląd utworów humorystycznych przedstawia się... prawie tragicznie”. Ale to są rzadkości.

Niepotrzebne w szkicu są sekcje poświęcone omawianiu warunków twórczości, piszą o tym i inni autorzy tomu; poważnie rozczarowują podsumowania. Dowiadujemy się, oprócz wymienionych już opinii, że proza emigracyjna jest „w wybitnym stopniu literaturą walczącą”, i że „ów bojowy charakter piśmiennictwa posiadał oczywiście i ujemne aspekty”, gdyż „zbyt łatwo zacierała się granica między publicystyką a dziełem artystycznym”. Opinia o bojowym charakterze literatury emigracyjnej nie jest całkowicie zgodna z uwagami Weintrauba, i co gorsza zdaje się stać w sprzeczności z inną konkluzją autora szkicu, według której „twórczość emigracyjna jest prawie wyłącznie zwrócona w przeszłość (wg. obliczeń autora, 1/4 najwybitniejszych utworów ostatniego okresu (1951-60) należy do powieści historycznej, 1/4 dotyczy świeżych stosunkowo wypadków międzywojnia i ostatniej wojny, podczas gdy najliczniejsza grupa książek posłużyła pisarzom za okazję „by przetworzyć ich własne przeżycia w dzieło literackie”). Jeżeli tak jest w istocie, na czym poległ bojowy charakter tych, czy innych utworów?

Wszystko to, niestety robi wrażenie rzeczy nieprzemyślanej do końca i dlatego zrozumiałym staje się powód, dla którego znalazł się w tomie żywo napisany szkic Sambora, stwierdzający na wstępie, że „omawiane w tej książce dwudziestolecie literatury emigracyjnej wydało najwybitniejsze dzieła bodaj w prozie beletrystycznej”. Czyni to oczywiście jeszcze mniej zrozumiałym fakt dysproporcji, polegający na tym, że szkic o poezji jest prawie 3 razy dłuższy od obu szkiców o prozie. Sambor daje w swoim szkicu przede wszystkim portrety najwybitniejszych — jego zdaniem — pisarzy, robiąc to w sposób zbyt może lekki, ale wybitnie zajmujący. Naprawia choć w części krzywdę wyrządzoną w studium Markiewicza Wańkowiczowi, którego powieści-reportaże zostały tam pominięte milczeniem. Anektuje dla pięknej prozy pisarzy stojących na marginesie czy pograniczu beletrystyki w ścisłym znaczeniu, nie pomijając Stanisława Mac-

kiewicza czy obu Zbyszewskich (o humoryście Karolu ma zupełnie inny pogląd niż Markiewicz); zauważa pisarzy młodszych jak Andrzej Busza (choć ani on ani Markiewicz nie mają do powiedzenia ni słowa o nowelistyce Czerniawskiego). Jednym słowem, Sambor robi to, czego nie zrobił Markiewicz.

Szkic Jana Ostrowskiego o emigracyjnej dramaturgii, mimo obszernych uwag o metodzie, traktuje w sposób przyziemny temat, który sam w sobie jest bardzo nieciekawym. Jest jasne, że przy obecnym dorobku dramaturgii emigracyjnej, głucho o niej będzie w historii literatury polskiej. Pieczołowitość z jaką autor stara się utrwalić dla potomnych choćby tylko ślad jakiegoś sztuczka wyróżnionego, a nawet tylko nadesłanego na taki czy inny konkurs, świadczy o tym dobitnie. Szkoda, że tam gdzie autor mógł się wznieść nieco ponad poziom i rzeczywiście zaciekać, okazja nie zostaje wykorzystana. Paragraf poświęcony Gombrowiczowi i dramatowi „Ślub” jest groteskowy, szczególnie gdy się go porówna z omówieniem dramatycznej twórczości dajmy na to Chudzyńskiego (2). Autor nie wymienia istniejących podobno w rękopisie jednoaktówek Pietrkiewicza, szkoda, że nie wykorzystał okazji, by istnienie ich potwierdzić.

Najwybitniejsze rezultaty „metody podziału” osiągnął niewątpliwie Józef Bujnowski. Dla przykładu, Miłosz rozczłonkowany został pomiędzy: esej podmiotowy, esej społeczny, oraz szkic literacki, gdzie występuje w paru rubrykach; Hostowiec dwoi się i troi w następujących sekcjach: esej podmiotowy, esej krajoznawczo-podróżniczy, esej historyczny, eseje o kulturze, eseje społeczne, oraz występuje w szkicu literackim. Terlecki dostąpił chyba szczytu poszatkwania i mógłby z powodzeniem służyć do zilustrowania każdej teorii podziału eseju. Ten całkiem rygorystyczny formalizm Bujnowskiego zmusza jednak do szacunku, gdyż stosowany jest z dużym zapleczem teoretycznym (patrz „Uwagi wstępne” opracowania), namiętnie, wręcz standardowo, chociaż, co jest zrozumiałe, można by wytknąć tu i ówdzie brak konsekwencji, czy niewystarczalność kryteriów (Themerson zaliczony jest do przypadków szczególnych). Niemniej, mimo że z opracowań Bujnowskiego pochwytane członki zdają się wołać przynajmniej o łaskę indywidualnego pogrzebu, są to bez wątplenia najlepsze pozycje w tomie (obok Weintrauba). Przede wszystkim Bujnowski ma wyraźne kryteria oceny i nie boi się oddzielać ziarna od plew, relegując mniej ciekawe pozycje do alfabetycznie ułożonych

(2) Dowiadujemy się m. in., że Gombrowicz „podobno drukował już w „Skamandrze” w 1937 r. w fragmentach lub całości utworu sceniczny „Iwona, księżniczka Burgunda”. Otóż, jeśli można polegać na informacji podanej w wydaniu sztuki z 1958 r., sztuka była drukowana w „Skamandrze” i to nie w r. 1937, a 1938.

działów czysto bibliograficznych. Jego stosunek do opracowywanego materiału jest w pełni krytyczny i analityczny, rzetelny, a równocześnie zaangażowany... po stronie wyznawanej przez siebie metody formalnej. Zachowane są na ogół proporcje, wytknięte wady i niekonsekwencje, ośmieszona urojona i przycięte do właściwych wymiarów różne sezonowe czy środowiskowe wielkości. Polemiczne uwagi autora, czy to w wypadku krytyki personalistycznej Terleckiego, czy „głębinowej” Herlinga-Grudzińskiego, czy „Traktatu poetyckiego” Miłozsa, na temat którego autor nie zawaha się zacytować bardzo ujemnej opinii niestety... Ryszarda Matuszewskiego (zresztą co najmniej przesadzanej); krytyka „teorii krytyki religijnej” Bielatowicza, świetna charakterystyka postawy teoretycznej Brzękowskiego i krytyka jego teorii poezji prostej, doskonale rozprawienie się ze słynnym, a właściwie pozornym atakiem Gombrowicza na poezję, wszystko to czyta się z wielkim zainteresowaniem, nie raz sprzeciwem, przeważnie z pożytkiem. Bardzo ciekawa jest analiza krytyki teatralnej Terleckiego, krytyki artystycznej Zahorskiej (można tu mówić nawet o wartości rewelacyjnej tych uwag, z których Zahorska wyłania się jako krytyk wielkiej miary), podobnie jak ciekawe są uwagi o poglądach na krytykę literacką Hostowca, Folkierskiego, czy Grubińskiego, uwagi o Gombrowiczu, którego „Dziennik” Bujnowski, za Jeleńskim, uznaje za rodzaj autobiograficznej powieści (choć u Markiewicza o niej głucho); dużą wartość posiada omówienie szkiców Pietrkiewicza na temat Awangardy i poezji, szkiców zdobytych m. in. z wojennych „Skrzydeł”, gdzie ich zapewne od tego czasu nikt nie poszukiwał; w ogóle mamy tu po raz pierwszy na emigracji zarysowany obraz kierunków i postaw krytycznych, metod, głównej tematyki, wraz z krytycznym naświetleniem poszczególnych wybranych pozycji. Autor stosuje zresztą podwójną metodę charakteryzowania, raz wypowiada własne opinie, innym razem cytuje opinie już na dany temat wyrażone, wzbogacając tym samym przedstawiany w szkicach materiał.

Opracowania Bujnowskiego nie uniknęły oczywiście powtórzeń, które przy takiej metodzie podziału są zapewne nieuniknione; niektóre pozycje nie zasługują na tak szerokie potraktowanie, jakiego udziela im autor (np. poglądy Krońskiego na temat egzystencjalizmu), zbyt wiele jest materiału czysto informacyjnego, w rodzaju „Günther daje notatkę o wspomnieniach Szymona Zakrzewskiego”, recenzje omawiane są nieraz na tych samych prawach co większe szkice, do bezwartościowych zaliczyć należy te pozycje wymienione w działach bibliograficznych (drobnym drukiem), które nie posiadają odnośnika, gdzie były drukowane (np. „Adam Adler: Szolem Asz”, str. 495).

Bujnowski dokonał ogromnej, i co najważniejsze, uwiecznionej sukcesem pracy pionierskiej, która dla omawianego okresu zdaje się posiadać wartość trwałą. Jest może paradoksem, ale chyba paradoksem zrozumiałym, że kończąc czytać studia Bujnowskie

go, nabieramy jakoś większego szacunku dla krytyki personalistycznej Terleckiego, przede wszystkim gdy chodzi o esej: czyż np. rzeczywiście formalna analiza eseistyki emigracyjnej nie mogła się obyć bez tylu nieco sztucznych podziałów, czy eseje podmiotowe Hostowca są aż tak różne od jego innych esejów, że trzeba je omawiać osobno? Wydaje się, że eseje Hostowca (i nie jego tylko), niezależnie od tego, że mają charakter raz podmiotowy, drugi raz „społeczny” (czy jest to kryterium formalne?), posiadają również pewne cechy wspólne, będące własnością tylko i wyłącznie esejów Hostowca, w odróżnieniu od innych eseistów. Ta ich cecha jest chyba równie ważna jak ich charakter podmiotowy, czy społeczny (wspólny Hostowcowi, Miłoszowi i wielu innym).

O szkicu Ignacego Wieniewskiego na temat wznowień tekstów pisarzy polskich i obcych niewiele da się powiedzieć, poza tym, że jest to pozycja interesująca i przy założeniu przyświecającemu wydawnictwu, wartościowa. O rumieniec przyprawić winna jednak gaffa, popełniona na str. 449. Autor robi wyjątek i jakże pięknie go uzasadnia. Czytamy: „Wskażę tylko, nie wyczerpując tymi przykładami sprawy, na piękne wydanie dzieła renesansowego pisarza polsko-łacińskiego z XVI w., Wawrzyńca Goślickiego „De optimo senatore” („The Accomplished Senator of Laurientius Goslicius” by W. J. Stankiewicz, Mo. 1946) w przekładzie angielskim (ze względu na doniosłość tej publikacji robię tu wyjątek, wymieniając ją w tym szkicu, który nie zajmuje się przekładami na języki obce)”. Nie chciałbym odbierać autorowi szkicu jego złudzeń, ani też ujmować doniosłości publikacji, ale niestety nie jest to przekład dzieła Goślickiego, tylko esej o tym, ciekawym skądinąd traktacie.

Esaj W. Wasiutyńskiego o „literaturze” religijnej jest opracowaniem czysto bibliograficznym i poświęca sporo miejsca religijnym ośrodkom wydawniczym na emigracji. Esaj gen. Kukiela o literaturze wojskowej ma również w zasadzie charakter czysto informacyjny, choć pomija „pewne broszury polemiczne na temat spraw lotnictwa... zbyt osobiste, by można je było zaliczyć do literatury wojskowej”. Czy słusznie, na to powinni odpowiedzieć historycy wojskowości.

Szereg poważnych zastrzeżeń wzbudza opracowanie Zofii Kozarynowej. Jest to jedno z bardziej chaotycznych opracowań w całym tomie, posiada szereg nieściśności, robi wrażenie wielkiego pośpiechu, oparte jest o niedostateczny materiał bibliograficzny, zawiera szereg niespodziewanych sformułowań, dla których nie znajdujemy uzasadnienia, a w sekcji opracowanej przez Jana Ostrowskiego miesza trochę już zanadto pozycje istotne z zupełnie trywiami. Niektóre z wad tego opracowania nie są być może winą autorki, którą przecież stać na ciekawe i krytyczne ujęcie oraz porządną układ. Wydaje się, że po prostu trzeba było

zaczekać z drukiem tego rozdziału, włączając go do tomu II, lub nawet wydać jako osobny dodatek. Zaważyło tu być może na decyzji „rodzenie góry”, czyli, mówiąc inaczej, kryterium „monumentalności”, przeniesione niespodziewanie z dziedziny teatru do koncepcji omawianego dzieła.

Charakter opracowania Kozarynowej jest przede wszystkim bibliograficzny, chociaż zwraca ona uwagę, że „zachodzi potrzeba dalszego zróżnicowania materiału: nie według tematyki i celowości (chodzi o wydawnictwa „pouczające” Zachód), lecz według wartości, jak jedynie winno się oceniać wszelkie osiągnięcia twórcze”. Gdyby jednak autorka rzeczywiście zastosowała to kryterium, rozmiar opracowania zmniejszyłby się znacznie, co wyszłoby mu jedynie na korzyść. Autorka dzieli swój materiał na następujące działy tematyczne, które posiadają dalszy podział chronologiczny: polityka, podziemie, relacje osobiste etc., Żydzi polscy, beletrystyka, poezja, historia literatury; krytyka i esej, mickiewicziana, język, historia, religia, muzyka, sztuki plastyczne, geografia i pokrewne, prawo, ekonomia i nauki społeczne, medycyna, nauki ścisłe i przyrodnicze, filozofia i psychologia. Chodzi więc nie tyle o udział Polaków w literaturach zachodnich, co piśmiennictwo polskie w obcych językach, a więc „wszystko” co zostało napisane przez Polaków w języku innym niż polski, lub przetłumaczone z polskiego na jakikolwiek język obcy. Objęcie tego obszaru bez dokładnego zaplecza bibliograficznego, które powstaje dopiero obecnie, jest z góry skazane na połowiczność. Poza tym jedna osoba nie potrafi w tylu dziedzinach naraz zastosować kryterium wartości. Jeżeli poprosiło się gen. Kukiela by służył radą przy opracowywaniu historii, jak wygląda brak takiej konsultacji w dziedzinie np. nauk ścisłych?

Trudno jest uzupełniać tego rodzaju opracowanie w recenzji, trudno prostować wszystkie nieścisłości. Dlatego szczegółowa krytyka jaka następuje musi mieć charakter niepełny.

I tak np. w dziale „Język” nie mamy żadnej wzmianki o bardzo wartościowych pracach z dziedziny lingwistyki słowiańskiej prof. Edwarda Stankiewicza (np. *The Consonantal Alternations in the Slavic Declensions, Word: vol. XVI, 1960*), czy też o niezwykle interesującej pracy Schenkera o koniugacji polskiej (tamże, 1954). Listę można by wydłużyć. Innego rodzaju pominięciem jest na przykład nie wymienienie dwóch, bodaj najciekawszych, utworów Stefana Themersona: *Profesor Mmaa's Lecture* (London, 1953) i *Cardinal Pölätiö* (Londyn, 1961). O Themersonie zresztą głucho w opracowaniu Markiewicza, chociaż co najmniej wyjątki z wyżej wymienionych utworów, i inne, ukazały się po polsku w „Nowej Polsce”. Kozarynowa potraktowała Themersona w ogóle dosyć niechętnie. Omawiając *Bayamusa* robi uwagę, że nonsens w tym utworze „często trąci pornografią, a bardziej jeszcze razi smak i poczucie godności przemycaniem krzywdzących informacji o wybrykach na tle społecznym, jakie rzekomo miały miejsce w Polsce”. Szkoda, że zmarno-

wana została okazja, by porządnie omówić twórczość jednego z licznych autorów polskich którzy dobili się jakiejś rangi w środowisku niepolskim. Wracając do pominięć. W stosunkowo szczupłym przedstawiającym się dziale poświęconym poezji, brak choćby wzmianki o tłumaczeniach Norwida, Różewicza i innych, drukowanych przez Czerniawskiego. Brak wzmianki o artykułach i recenzjach filmowych B. Sulika, drukowanych w *Definition* czy *Tribune*. A to tylko „przykładowo biorąc”. Ktoś powie, że to są drobiazgi? Drobiazgów takich jest wiele. Tego rodzaju pominięcia wypaczają nieznośnie obraz wkładu polskiego do „literatur” zachodnich.

Inny problem stanowi definicja „emigracyjności”. Omówienie prac Bronisława Malinowskiego poprzedzone jest takim zdaniem: „Malinowski nie jest dosłownie członkiem emigracji, a więc nie wchodzi ściśle biorąc do niniejszego studium”. Następnie jest o nim mowa, co jest słuszne. Ale skąd biorą się w opracowaniu prace autorów nie-Polaków, jak Romana Jakobsona, dr. W. J. Rose'a, Stefana Horaka i in.; dlaczego, w eseju Bujnowskiego, wymienia się np. szkic Juliana Krzyżanowskiego o Sienkiewiczu, drukowany w „Wiadomościach”, choć na ogół pomija się innych autorów krajowych, drukujących czy to w czasopismach emigracyjnych, czy zachodnich?

Jeszcze parę przykładów z różnych dziedzin. Bardzo dziwnym twierdzeniem jest zdanie, że „powieściopisarstwo Pietrkiewicza jest podproduktem zawodowej polonistyki”, chociaż autorka omawia raczej przychylnie angielskie powieści Pietrkiewicza. Swego rodzaju nieporozumieniem są pretensje wyrażone pod adresem tegoż w związku z antologią *Polish Prose and Verse*. Do niepotrzebnych powtórzeń należą szczegółowsze omówienia „Doliny Issy”, czy książek Tadeusza Nowakowskiego i Zofii Romanowiczowej, z racji ukazania się ich przekładów, skoro zrobił to już Markiewicz. Dlaczego praca J. A. Betleya *Belgium and Poland in International Relations, 1830-1831*, zaliczona została do działu „Polityka”, a praca dr. W. J. Stankiewicza *Politics and Religion in Seventeenth Century France* do działu „Religia”? Co oznacza zdanie: „Jerzy Zubrzycki w pismach ang. o emigracji i imigracji z punktu widzenia socjologii”? Czy również i książka Zubrzyckiego *Polish Immigrants in Britain* napisana została z punktu widzenia socjologii, czy też może jest to wartościowe studium socjologiczne, którego nie wolno pominąć? Wymieniając jedną „socjologiczną” pozycję Miłosza w języku francuskim, autorka poczuwa się do obowiązku stwierdzić, że robi to, „choć pisarz działa przeważnie na innych polach”!

Część opracowania napisana przez Jana Ostrowskiego ma charakter czysto bibliograficzny i stosuje dwie zasady podziału: według obszaru i według przedmiotu, co jak autor przyznaje na str. 573, nie dało się wszędzie zastosować. Autor zebrał masę pozycji, powodowany tą samą nadmierną nieco troską jak w wypadku dramaturgii, by nie uronić niczego. Pakuje też do wor-

ka co wlezie, i stąd np. interesujący dział „Egzotyki i varia”, gdzie wymienione są prace osób „które dorywczo, po polsku zapuszczały się w zagadnienia filozoficzne lub psychologiczne z piórem w ręku” (nomen-omen). I tak wymienione są tu artykułki dr. Leszka Klimka, dr. hispanistyki Floriana Śmieji czy Ryszarda Sierakowskiego, wyłowione z „Kontynentów” lub „Merkurysa”, a nawet wzmiankowano o odczytach ks. Ludwika Bombasa i dorywczych zagonach filozoficznych Janusza Kowalewskiego.

Omówienie niniejsze pomija właściwie ogólne wnioski, jakie nasuwają się na podstawie zebranego materiału o dorobku literackim i w ogóle piśmienniczym emigracji. Wnioski te, niezawsze zgodne z wnioskami autorów książki, znajdują się na końcu omówienia drugiego tomu „Literatury polskiej na obczyźnie”.

Omówienie niniejsze wypadło raczej krytycznie. Autorzy, przynajmniej niektórzy, byliby zapewne głęboko dotknięci, gdyby ogromna ich praca znalazła oddźwięk zdawkowo lub przesadnie pochwalny, który zresztą na pewno da o sobie znać pod piórem dytymbizujących recenzentów. Co prawda, Tymon Terlecki już we wstępie ufortyfikował się przeciwko „emigracyjnej drażliwości”, która bez wątpienia da także znać i o sobie. Oba zjawiska, taryfy ulgowej i drażliwości, powinny zniknąć w rzeczowej polemice, na którą tak poważne, i przecież użyteczne przedsięwzięcie zasługuje.

Bogdan CZAYKOWSKI

Czechosłowackie życie kulturalne

W dniach od 11-go do 13-go września br. odbył się w salach uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku, drugi kongres Czechosłowackiego Towarzystwa Naukowego w Ameryce (Spolecnost pro Vedy a Umeni). Towarzystwo to, które powstało w 1958 roku z inicjatywy szeregu uczonych czeskich i słowackich ze znanym matematykiem dr. Vaclavem Hlavatym na czele, skupia w swych szeregach poważny zastęp naukowców, artystów i intelektualistów. Ma ono swe oddziały w głównych miastach amerykańskich i kanadyjskich, oraz w Monachium, a w najbliższej przyszłości mają powstać nowe oddziały w Anglii, Włoszech i Australii. Towarzystwo stoi na płaszczyźnie czysto naukowej, unikając angażowania się w akcje

o charakterze politycznym. Wydaje one swój biuletyn oraz inne publikacje. W roku 1962 odbył się pierwszy kongres Towarzystwa w Waszyngtonie. Sprawozdania i referaty z tego zjazdu ukazały się dwa lata później w formie książki w języku angielskim pt. Czechosłowacki Wkład do Cywilizacji Światowej.

Obecny, drugi kongres, który odbył się w Nowym Jorku, zgromadził poważną ilość przedstawicieli czechosłowackiej nauki i kultury zagranicą. Pomimo szczupłych zasobów finansowych tej organizacji, kongres był niewątpliwym sukcesem, świadczącym o dużych osiągnięciach i prężności nielicznej — w porównaniu na przykład z polską — emigracji czechosłowackiej. Poza sesjami naukowymi, zorganizowano wystawę dzieł sztuki na której znalazły się prace kilkudziesięciu artystów. Obrazy ich przedstawiały szeroki wachlarz od postimpresjonizmu do abstrakcji. Wystawa książek i periodyków czechosłowackich wydanych poza granicami jak też i prac w językach obcych napisanych przez Czechów i Słowaków wyglądała równie poważnie i interesująco.

Obrazy kongresu trwały przez trzy dni, a sesje poświęcone były różnorodnym zagadnieniom. Ponieważ głównym tematem zebrań kongresu była „Czechosłowacja wczoraj i dziś” poświęcono szczególną uwagę tematyce polityczno-historycznej. Programy poszczególnych sesji były następujące: „Wczesnośredniowieczna i średniowieczna historia i cywilizacja”; „Współczesna Czechosłowacja: Aspekty polityczne i międzynarodowe”; „Historyczny rozwój Czechosłowacji i stosunki między Czechami i Słowakami”; „Pierwsza Czechosłowacka Republika”, sesja lingwistyczna i literacka; sesja poświęcona muzyce i sztuce; „Współczesna Czechosłowacja: Aspekty Kulturalne”; sesja poświęcona historii nowożytnej, „Czechosłowacka Sztuka i Historia Sztuki”; „Współczesna Czechosłowacja: Aspekty Społeczno-gospodarcze”; „Czechosłowacja i jej sąsiedzi: Nacjonalizm a Federalizm”; sesja poświęcona literaturze, i wreszcie sesja dotycząca zagadnień nauk społecznych.

Z wyjątkiem dwóch zebrań, które odbyły się w języku czeskim i słowackim, językiem obrad był angielski. Po angielsku też ma się ukazać sprawozdanie z kongresu oraz zbiór referatów na nim wygłoszonych.

W zjeździe uczestniczyli najwybitniejsi uczeni czechosłowaccy zamieszkalni na zachodzie a również pewna ilość naukowców amerykańskich, angielskich i niemieckich. Dr Jan Wszelaki, dyrektor Polskiego Instytutu Naukowego był jednakże jedynym cudzoziemcem, którego zaproszono na otwarcie zjazdu i który przekazał pozdrowienia od bratniej polskiej instytucji. Poza nim w zjeździe uczestniczyli, (bądź też odczytano ich referaty) prof. Feliks Gross, Piotr Wandycz i Jerzy Zaborski. Referat prof. Grossa nosił tytuł „Nacjonalizm a Federalizm” i odczytany był na sesji „Czechosłowacja i jej sąsiedzi”. Na tejże sesji odczytał swój referat niżej podpisany pt. „Czechosłowacja a Polska: Próby Współpracy — Osiągnięcia i Niepowodzenia”. Referat prof. J. Zaborskiego dotyczył słowiańszczyzny we wschodniej Bawarii w średniowieczu. Wystąpienia polskie na kongresie były przyjmowane bardzo życzliwie i wydaje się, że stworzyły one bazę do bliższej współpracy między uczonymi polskimi, czeskimi i słowackimi na emigracji. Współpraca tego typu wydaje się niezmiernie celowa i przynieść może obopólne korzyści. Należy sobie też życzyć tego, aby

przykład czechosłowacki podzielał na polskie ośrodki naukowe i myśl zorganizowania podobnego kongresu nauki polskiej w Ameryce została wcielona w życie. Dla każdego uczestnika zjazdu nowojorskiego wkład czechosłowacki w życie naukowe amerykańskie był oczywisty, wydaje się jednak, że Polacy nie są chyba tak bardzo w tyle i że nie ma powodu ukrywać polskich osiągnięć naukowych zagranicą.

Piotr WANDYCZ

Czesław Halski: PADEREWSKI — *Dzieje wielkiego Polaka i wielkiego Europejczyka*. Str. 100, il. 8. Cena 10/6. Wydano staraniem SPK i Gryf Publications Ltd. Do nabycia w Księgarni SPK (20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7) i w Gryfie (171, Battersea Church Road, London, S.W.11) oraz we wszystkich polskich księgarniach.

KOMITET WYDAWNICZY, 3, Gwendolen Ave., London, S.W.15, podaje do wiadomości, że książka Wł. Pó-bóg-Malinowskiego pt. „Józef Piłsudski 1867-1914” została już rozesłana subskrybentom.

Książka jest do nabycia w cenie 49/— lub dol. 7,00 u: H. Picheta, 23, North End Parade, London, W. 14.

Wszelkie reklamacje należy kierować na adres *Komitetu Wydawniczego*.

Książki

Polska : most czy trumna

I

O różnicy pomiędzy dwoma amerykańskimi książkami o Polsce, jakie się ukazały na przestrzeni dwóch ostatnich lat, wiele już mówią ich tytuły: „Polska: most nad otchłanią?” i „Polska 1944—1962: sowietyzacja ujarzmionego narodu” (1). Ale rzadko się zdarza, żeby można było różnicę pomiędzy jakimiś stanowiskami uchwycić tak trafnie i lapidarnie przy pomocy zestawienia dwóch krótkich cytatów, jak tutaj przez porównanie tego, co obaj autorzy mają do powiedzenia na temat Gomułki.

Hiscocks str. 320:

„Niektóre cechy Gomułki ujawniły się wyraźnie w ciągu jego kariery od r. 1956: jego poświęcenie dla sprawy komunizmu, patriotyzm, odwaga, uczciwość, ascetyczna samodyscyplina, niewyczerpana przedsiębiorczość. Ale tylko odrobinę pod powierzchnią pod maską wyrachowanego racjonalizmu, a niekiedy także odpychającego uporu kryją się dwie inne cechy niemniej istotne: ciepły humanitaryzm i prosta życzliwość. Te cechy tłumaczą jego cierpliwą tolerancję dla ociężałego chłopstwa, jego zrozumienie dla tych, co mają odmienne przekonania, jego uznanie dla pracy twórczej artystów, której sensu on nawet nie rozumie. Naród Polski wyczuwa, że obok odstręczającej zewnętrznej strony jego charakteru istnieje inna strona, ludzka: i to wyjaśnia, dlaczego ten człowiek cieszy się takim szacunkiem”.

(1) Richard Hiscocks, Poland: Bridge for thy Abyss? An Interpretation of Developments in Post-War Poland, Oxford University Press 1963 str. 359. Richard F. Staar, Poland 1944-1962: The Sovietization of a Captive People, Luiziana State University Press 1962, str. 300.

Staar str. 6 :

„Jest na pewno prawdą, że sprawy zagraniczne Polski pozostają pod jeszcze ściślejszym kierownictwem Kremla niż sprawy wewnętrzne, w szczególności od powrotu do władzy w październiku 1956 roku Władysława Gomułki, którego polityka była zdecydowanie prosowiecka także w latach 1943—48, kiedy on poprzednio stał na czele Polskiej Partii Komunistycznej”.

oraz str. 203 (po analizie zwolnień i nominacji personalnych z lat 1959 i 1960 oraz przypomnieniu, że Gomułka w latach 1935-36 kształcił się w Instytucie Lenina w Moskwie, a w latach 1939-41 przebywał we Lwowie):

„Ma on więc prawdopodobnie więcej wspólnego z tymi komunistami polskimi, którzy zostali wyszkoleni w Moskwie, niż z komunistami rodzimego chowu. Nominacje na kluczowe stanowiska w latach 1959 i 1960 powinny raz na zawsze rozwiązać legendę o Gomułce jako polskim nacjonalście na pierwszym miejscu, a międzynarodowym komuniście dopiero na drugim”.

Chyba cytaty wystarczą dla udokumentowania opinii, że obaj autorzy w jakimś stopniu ulegają różnym obiegowym stereotypom, krążącym po świecie na temat Polski, że ich książki są przesycone politycznymi podtekstami, i że to sprawia, że niekiedy widzą oni to, co chcą widzieć, a nie widzą tego, czego nie chcą widzieć. Przy tym wszystkim są to jednak książki pożyteczne i wartościowe: obaj autorzy zasługują na uznanie za wyjątkową rzetelność i sumienność w obchodzeniu się z faktami i materiałem dokumentarnym, za odpowiedzialność i ostrożność w wyciąganiu wniosków, za troskę o uniknięcie błędów i nieścisłości (w obu książkach uniknięto niemal zupełnie błędów w polskim spelinu: to przecież wyczyn!). Mimo to polityczne założenia, którym autorzy ci dają wyraz, sprawiają, że niekiedy odnosi się wrażenie, że błądzą oni po omacku i nie mogą sobie dać z pewnymi rzeczami rady. Ideologie, którym ci dwaj autorzy mniej lub więcej jawnie lub skrycie hołdują, jakoś przytępiają ich wrażliwość na fakty i przez to obniżają wartość ich książek. Tutaj zajmować się będę tylko i wyłącznie tą złą stroną tych książek, natomiast nie będzie mnie interesować ich obiektywna ocena. Nie jest to więc recenzja, lecz tylko czepianie się drobiazgów.

II

Obraz Polski, któremu hołduje Hiscocks ma swojego klasika; choć trzeba od razu się zastrzec, że u Hiscocksa to

wszystko wypada mniej jaskrawo i wielobarwnie, w kolorach o wiele bardziej przytłumionych. Klasykiem tym jest K. S. Karol, autor głośnej parę lat temu książki pt.: „Wiza do Polski”, która odniosła poważny sukces i doczekała się wielokrotnych wydań w kilku językach. Jest to książka napisana z bezspornym talentem, wręcz rozczulająca w swoim braku jakichkolwiek zahamowań, książka gdzie autor wykląda siebie przed czytelnikiem na talerz i wprost zmusza go do traktowania siebie jak dobrego znajomego. Pełen rewolucyjnego romantyzmu w opisie swoich uczuć przed mauzoleum Lenina w Moskwie (2) (str. 13), przesiąknięty kultem dla Róży Luxemburg (str. 33), autor nie może darować polskiej prawicy, że nie wyciągała radośnie ręki do ościennego wielkiego mocarstwa (Beck str. 65, Bór-Komorowski str. 99, ogólnie str. 19): choć Karol nie mówi wprost, że to wielkie mocarstwo było gotowe do odwzajemnienia uścisku, i to w uczciwych zamiarach, to jednak inaczej tego zarzutu rozumieć chyba niesposób. Na str. 19 poglądy „moich rodaków z prawicy”, że elementy liberalizmu i „polskości” w polityce komunistów w latach 1945—48 były po to, żeby uspić naiwnych, a reformy społeczne po to, żeby ułatwić eksploatację kraju przez Rosję Karol kwalifikuje jako coś bezdennie głupiego. Za to mądre i uczciwe jest dla niego to, że Gomułka obiecywał w tych latach nie uciekać się do metod stalinowskich w budowie socjalizmu w Polsce (str. 14), że polscy przywódcy komunistyczni z początku uważali, że przyjaźń z ZSSR to jeszcze nie musi być zależność od ZSSR (str. 15), że ci sami przywódcy szczerze liczyli na nieingerencję sowiecką (str. 106) i że szczerze zaprosili wszystkich Polaków do udziału w budowie socjalizmu (str. 107: widocznie aresztowań powracających z zagranicy oficerów i żołnierzy biedacy nie przewidzieli). Karol nie może jednak pewnych rzeczy darować nie tylko prawicy, ale także rewizjonistom. Zarzucam im mianowicie brak ustatkowania: na str. 289—90 czytamy, że rewizjoniści w wyrażaniu dezaprobowanych przez władze poglądów pozwalali sobie za wiele i posuwali się za daleko. Lewicowe, postępowe i rewolucyjne intuicje Karola wyraziły się jednak najpełniej na str. 285 i 288, gdzie mowa o rozruchach październikowych 1957 r. Dla Karola jest rzeczą samo przez się zrozumiałą, że klasa robotnicza z powodu zamknięcia „Po Prostu” i gwałtów policyjnych demonstrować nie mogła: ona była przecież wierna Gomułce. Z tego wynika w sposób najzupełniej oczywisty, że w rozruchach mogli brać udział tylko chuligani. (Przerażenie mnie ogarnia jeszcze teraz na myśl o mojej ówczesnej naiwności. Żyłem w tym mieście zupełnie nieświadomy niebezpieczeństw wynikających z tak olbrzymiego odsetka przestępców wśród jego mieszkańców; w dodatku przestępców o tak dziwnych i niedających się przewidzieć sposo-

bach zachowania, że jak nadarza się wyśmienita okazja do rabowania sklepów, to oni zajmują się jakimś tygodnikiem. Straszne!) Karol *expressis verbis* stwierdza, że (str. 285) warszawska klasa robotnicza, głucha na apel „Po Prostu” nie udzieliła mu żadnego poparcia oraz (str. 288) mówi wręcz o braku jakichkolwiek protestów w środowiskach robotniczych. Jak każdy prawdziwy lewicowiec i socjalista, Karol jest optymistą: swój optymizm co do dalszego przebiegu wydarzeń akcentuje bardzo mocno na str. 293 i 309. Do optymizmu tego Karol ma jednak swoje powody, które są wyszczególnione na str. 25. Karol uważa mianowicie, że takie zjawiska pozytywne, jak rady robotnicze, czy aktywność młodych intelektualistów komunistycznych, to są rzeczy trwałe, które będą się nadal rozwijać; natomiast rozmaite zjawiska negatywne, takie jak chuli-gaństwo czy afery spekulacyjne to rzeczy przejściowe, które prędzej czy później znikną. Do listy mocnych efektów tej książki należy jeszcze dodać i nieco tajemniczą wzmiankę ze str. 47, że nadużycia władzy w ZSSR były dlatego takie skuteczne, że przez długi czas nie można się było zorientować w ich charakterze. Dlatego nie można było, tego autor nie mówi: musimy mu więc wierzyć na słowo.

W książce Karola jest też posłowie, w którym spisane są wrażenia z roku 1958, kiedy już widać było, że nie wszystko w tej Polsce jest takie obiecujące, jak to się autorowi wydawało w heroicznym dniu Gomułkizmu. Wrażenia te w dość naturalny sposób jeżeli nie przekreślają, to w każdym razie modyfikują wnioski z poprzednich części książki. Ale tu rzecz znamienita: zasadnicza reakcja autora na wszystko, co przeczy zarówno jego upodobaniom jak i poprzednim przewidywaniom, to reakcja samopocieszenia: „nie należy się martwić”, „jakoś to będzie”, „ułoży się”, „ufajmy”. Ta sama zasadnicza reakcja wystąpi u dysponującego już znacznie bogatszym materiałem w zakresie „odrotu od października” Hiscocksa (1963 rok!); i pod tym właśnie względem diametralnie przeciwne stanowisko zajmie Staar.

III

W najmniejszym stopniu nie jest moją intencją kwestionowanie autentyczności Karolowej lewicowości, postępowości czy Karolowego socjalizmu. Wręcz przeciwnie sądzę, że Karol jest reprezentantem współczesnej lewicy, współczesnych prądów postępowych czy współczesnego socjalizmu bardzo typowym. To nie wina Karola, że lewica i socjalizm wykazują dziś taką preokupację przyjaźniami z wielkimi mocarstwami i racjami stanu, że myśli z trwogą, że w niektórych wypadkach wolność słowa „posuwa się za daleko”, że odczuwa strach panicz-

ny przed autentycznymi robotniczymi ruchami rewolucyjnymi takimi jak warszawskie demonstracje z października 1957. To nie wina Karola, że dzisiejsza prawica jakoś się tej klasy robotniczej boi mniej niż lewica, że nie myśli o tym, że za dużo wolności słowa nie wychodzi człowiekowi na zdrowie, i że do wielkich mocarstw własnych i cudzych ma stosunek mniej uniżony. To, co tu mówię, można próbować obalać na gruncie faktycznym, ale nie ma tu żadnego nadużycia werbalnego. Nazywam przecież ludzi tak, jak oni się sami nazywają. Można nie używać terminów „lewica”, „prawica” czy podobnych, ale nie można nagle nazwać Karola skrajnym reakcjonistą, a powiedzieć Goldwatera radykalnym liberałem, choć z punktu widzenia tradycyjnych, dziewiętnastowiecznych jeszcze kryteriów zrobić by się to chciało. Ale w końcu dłaczego nie nazywać Goldwatera konserwatystą, a Karola lewicowcem i postępowcem, skoro oni sami o to swoich czytelników proszą?

Będę więc mówił o lewicowym obrazie Polski popaździernikowej. Ta cała przydługa dygresja o Karolu była mi potrzebna dlatego, że uważam Karola za twórcę tego obrazu, za jego klasyka. W stosunku do Karola książka Hiscocksa jest mimo wszystko czymś wtórnym: mimo, że ogromna różnica dzieli spełniające wymogi akademickiej poprawności, oparte na bogatym materiale źródłowym i posiadające aspiracje do obiektywizmu studium Hiscocksa od dziennikarskich i bezpośrednio politycznie zaangażowanych impresji Karola.

IV

U podstaw obrazu lewicowego stoi wiara. Wiara w to, że Polska stanie się narzędziem zbliżenia pomiędzy blokami. Wiara, że Polska będzie mostem, po którym ludzkość przejdzie nad otchłanią nuklearnej katastrofy bez obawy, że w otchłani tę wpadnie. „Polacy mają dobre kwalifikacje, żeby działać w charakterze mediatorów” — powiada Hiscocks w ostatnim akapicie swojej książki.

Jakkolwiek byłyby ta wiara szlachetna, trzeba o niej powiedzieć trzy brzydkie rzeczy. Po pierwsze, że sympatia Zachodu, a w szczególności zachodniej lewicy do Polski na tej wie-rze oparta, cała ta sympatia, o której tyle się w okresie października mówiło i pisało, była raczej sympatią do reżymu i sfer uprzywilejowanych, niż do walczących o poszerzenie zakresu swobód mas. Była to sympatia dla liberalizacji zarządzanej odgórnie, a nie dla presji mas w kierunku liberalizacji. W stosunku do mas była to sympatia kwalifikowana: masy były dobre tak długo, jak długo ich posunięcia nie prowadziły do otwartych konfliktów z władzami, w szczególności so-

wieckimi. Prawdziwej sympatii dla walczącego o wolność narodu należało wtedy raczej szukać na prawicy. Ze środowisk lewicy na zachodzie płynęło do Polski ogólne polityczne wskazanie dla narodu polskie: „tylko nie brykać!”. Ewentualność prawdziwej desatelizacji Polski była wręcz niepożądana, a jednostki, które w Polsce lub poza Polską parły w kierunku westernizacji i parlamentaryzmu zwalczane. Z wielu bardzo różnych powodów chodziło o to, żeby Polska w swoim pędzie ku desatelizacji zatrzymała się w pół drogi, żeby w Polsce był ustrój pół-liberalny i pół-policyjny: nie ostatnim z nich był zapewne i ten, że Polska zupełnie spod kurateli sowieckiej wyłamana, byłaby jako most do porozumienia z Rosją równie bezużyteczna jak Syjam czy Honduras. W tym lewica światowa spotykała się z warstwami uprzywilejowanymi w Polsce, które też wyznawały program minimalistyczny, dążyły do reform ograniczonych, i także przestrzegały naród, żeby zanadto nie brykał.

(W obawie przed nieporozumieniami muszę tu zatrącić o sprawę, w której już się kilkakrotnie wypowiadałem. Przecież były Węgry. Przecież była groźba interwencji sowieckiej. Przecież ten wzgląd mieli na uwadze zachodni obserwatorzy, którzy przestrzegali, żeby w walce o wolność nie przekraczać pewnych granic, i którzy inicjatywy bardziej śmiało oceniali negatywnie. Odpowiadam: 1) Względy te mogły przemawiać przeciwko podejmowaniu prób zmierzających do obalenia rządu, ale nie przeciwko wywieraniu presji na władze celem osiągnięcia różnych zmian instytucjonalnych, przeciwko domaganii się pociągnięcia winnych do odpowiedzialności, przeciwko pisaniu jakichkolwiek artykułów czy przeciwko urządzaniu ulicznych demonstracji protestacyjnych. 2) Od 21 października 1956 roku nie było już żadnej możliwości obalenia rządu, i w konsekwencji nie było żadnej groźby interwencji sowieckiej. Groźba interwencji sowieckiej była ideologią, służącą do pacyfikowania nastrojów. 3) Rezygnowanie z aspiracji wolnościowych równało się wyrażeniu zgody na postępującą totalitaryzację ustroju, która poza wszystkim innym, przekreśliła całą koncepcję roli mediacyjnej Polski z tego prostego powodu, że żeby taką rolę odegrać, Polska musiała się znajdować „w pół drogi”, a nie daleko w tyle za Węgrami, Czechosłowacją, a może nawet ZSSR. 4) Powszechnie wyrażane w środowiskach lewicy na Zachodzie obawy, że w Polsce władzę przejmą elementy „reakcyjne”, powszechne powtarzanie frazesów o „drugim etapie”, świadczy przynajmniej o tym, że obok wiary w możliwość interwencji sowieckiej były jeszcze inne motywy, dla których zalecano umiar i przestrzegano przed brykaniem).

Hiscocks nie dzieli niektórych perwersyjnych upodobań Karola: nie ma na przykład tej tak przenikającej całą książkę

Karola czołobitności dla możnych i silnych, i pogardy dla słabych i przegranych. Przy całym krytycznym stosunku do polityki Mikołajczyka, Hiscocks potrafi mu na przykład przyznać odwagę i patriotyzm. U Karola coś takiego byłoby nie do pomyslenia: przecież Mikołajczyk przegrał. Nie jest też Hiscocks tak prostoduszny jak Karol w upominaniu rewizjonistów czy demonstrantów, żeby przypadkiem nie posunęli się za daleko i w przypomnieniu, że „reakcja podnosi głowę”. Odnoszę też wrażenie, że u Hiscocksa jest w tym mniej światopoglądu, a więcej po prostu błędnej oceny sytuacji. Ale podobieństwa stanowisk są widoczne. Mniej lub bardziej zamaskowane pochwały umiaru i dezapobaty dla maksymalizmu w dążeniu do wolności dają się odczuć w jego książce dość często. Tytułem przykładu dość przytoczyć opinię ze str. 221, że zrozumienie potrzeby zahamowania wybuchów sentymentów patriotycznych było miarą mądrości Gomułki i popaździernikowego kierownictwa partii lub cały wywód ze str. 267 o przyjaźni redaktorów z cenzorami, wpływie tej przyjaźni na rozwinięcie się cenzury wewnętrznej (tym mianem powszechnie się w Polsce nazywa wewnętrzne opory piszących przed wypowiedzianiem się w sposób zbyt śmiały i jednoznaczny) i o błogosławionych skutkach cenzury wewnętrznej.

V

Ale o wierze w rolę mediacyjną Polski trzeba powiedzieć jeszcze dwie inne brzydkie rzeczy. Ci, którzy chcieli, żeby walka o wolność w Polsce zatrzymała się w pół drogi, którzy uważali za słuszne, żeby Polacy z części swoich aspiracji wolnościowych dobrowolnie zrezygnowali, pragnęli siebie i swoich czytelników przekonać, że Polacy nie buntując się nadmiernie przeciwko swojej władzy tak wiele nie tracą, bo ich władza w końcu nie jest taka zła. Ponieważ jednak władza ta była mniej więcej ta sama, co w przeszłości, więc dodatkowo zachodziła potrzeba, żeby siebie i swoich czytelników przekonać, że ta władza nie była także taka zła w przeszłości.

Tendencja do wybielania stosunków w Polsce pojawia się na kartach książki Hiscocksa dość systematycznie. Przykłady: O idylli autorsko-cenzorskiej na str. 267 już wspominałem. Na str. 239 powiada Hiscocks, że komisje wyborcze w r. 1957 potraktowały swoje zadanie wyboru kandydatów bardzo poważnie. Na miłość boską, przecież to była czysta kpina! Ale jeszcze więcej przykładów da się przytoczyć z dalszej przeszłości. Na str. 98 przedstawia Hiscocks stanowisko Gomułki z lat 1945-48, że nie ma podstaw do obaw o sowietyzację Polski i wzywanie przez niego emigrantów do powrotu tak, jakby to były dowody względnej niezależności ówczesnej pozycji Gomuł-

ki od Stalina. Ja nie mam tego przekonania. Ja myślę, że o wiele rozsądniej jest przyjąć, że Gomułka wiedział, że istnieją podstawy do obaw o sowietyzację, i że powracającym emigrantom grozi aresztowanie. Na str. 112 Hiscocks kwestionuje tezę Bliss-Lane'a, że Berman odgrywał czołową rolę od pierwszych chwil istnienia Polski Ludowej. A przecież Bliss-Lane ma rację: powszechnie wiadomo, że to Berman obmyślał sposoby i kierował wykonaniem całej walki z PSL-em. Ale teza Bliss-Lane'a Hiscocksowi nie pasuje do całej jego koncepcji, że pierwszy okres był naprawdę, a nie tylko pozornie względnie liberalny. Podobnie na str. 136-37 sprawy są przedstawione tak, jakby nie było pochodzącego jeszcze z czasów wojny planu Stalina za władnięcia Europą Wschodnią, jakby to dopiero w r. 1948 Stalin pod wpływem jakichś czynników zewnętrznych zdecydował się działać. Hiscocks nie chce dopuścić myśli, że sowietyzacja Polski była przesądzona od pierwszej chwili, że nawet ten liberalizm pierwszych lat powojennych nie był na serio. Poza wszystkim innym to rzucałoby dwuznaczne światło na Gomułkę.

Ale zanim wrócę do Gomułki, chcę jeszcze chwilę zatrzymać nad pewnym szczegółem. Na str. 299 Hiscocks referuje sprawę sporu o dary amerykańskich katolickich organizacji charytatywnych. Hiscocks przedstawia stanowisko rządu w tym sporze tak: albo dystrybucją tych darów będą się zajmowały agencje rządowe, albo dary te zostaną potraktowane jako prywatne darowizny, tzn. będą podlegać opodatkowaniu, ocleniu itp. Innymi słowy Hiscocks przedstawia ten spór jako spór o status tych darów. Tak jak ja to pamiętam, spór ten polegał jednak na czymś innym: bynajmniej nie na tym, czy dary te mają być opodatkowane i oclone. Spór ten — *to my best knowledge* — polegał na tym, że ewentualność, że rząd będzie ofiarodawcą darów, była z góry wykluczona przez życzenie ofiarodawcy, podczas gdy rząd uważał ten warunek za uszczerbek dla swojego prestiżu i uzależniał wypuszczenie darowizny do kraju od oddania mu jej do dystrybucji. Cła i podatki Kościół byłoby chyba zapłacił, byleby przynajmniej częścią wartości tych darów móc dysponować. Ale złamać woli ofiarodawcy nie mógł. Wydaje mi się więc, że Hiscocks „cywilizuje” tu istotę sporu, i tym samym stanowisko rządu. Bądź co bądź, rząd domagający się ceł i podatków od funduszy charytatywnych, nie jest czymś aż tak nieapetycznym i łańczywym, jak rząd, któremu nie dosyć, że posiada wszystkie pralnie, szwalnie i kioski z piwem, ale jeszcze chce rozdzielać według swego własnego uznania pieniądze, do których nie ma żadnych praw, a gdy okazuje się to niemożliwe, to w ochronie swojego prestiżu każe cierpieć potrzebującym.

VI

Najistotniejszym elementem operacji pokazywania, że władza nie jest taka zła, jest oczywiście pokazywanie, że Gomułka nie jest taki zły. Ale co się dzieje, kiedy fakty dowodzą, że jest on jednak całkiem okropny?

Bodaj najczęściej mówi się wtedy, że to zły polityk, tępy administrator, co to siedzi za biurkiem, stracił kontakt z rzeczywistością i nie wie, co się dzieje w kraju. W tej wersji, która jest szczególnie popularna w Polsce, przedmiotem kwalifikacji jest wartość intelektualna tego człowieka, natomiast *morale* pozostaje nietknięte. W moim przekonaniu, Gomułka wciąż daje dowody, że jest politykiem bardzo wysokiej klasy. Ale to jest zrelatywizowane do przypisywanych mu celów. Ja te cele biorę dosłownie z jego przemówień, podczas gdy ci, co jego zdolności polityczne dyskwalifikują, wciąż mu nie wiedzieć czemu przypisują cele, których on wcale nie formułuje.

Innym wariantem jest powiedzenie: „jest taki jaki jest, ale przecież go sami chcieliście”. Rozmiary masowego kultu Gomułki w okresie przedpaździernikowym zostają wydęte w sposób przekraczający wszelkie granice fantazji. (Tu znowu nasz przyjaciel Karol jest instrumentalny). Twierdzą: przed październikiem Gomułka mógł być traktowany jako mniejsze zło, ale nie było żadnego masowego kultu Gomułki. Na parę dni przed październikiem kult ten nagle zaczyna „robić” prasa w sposób wyraźnie odgórnie inspirowany. To jest przygotowywanie gruntu, jak zwykle przesolone i przepieprzone i jako takie traktowane. Kult Gomułki wybucha dopiero z niesłychaną siłą w szczególnej, pełnej dwuznaczności i nieporozumień koniunkturze w momencie jego przemówienia na VIII Plenum i rozmowy z Chruszczowem.

Wariant zastosowany przez Hiscocksa jest jeszcze nieco inny. Nazwałbym go biblijnym. Bóg biblijny, jeśli go mierzyć naszymi standartami, jest postacią raczej obskurną, obleśną i intelektualnie nieciekawą. Ale werbalnie jest to Bóg dobry, mądry, miłosierny i sprawiedliwy. Z Gomułką u Hiscocksa jest podobnie.

Wychodzą z tego rzeczy zabawne. Na str. 251 pisze Hiscocks, że Natolińscy sprzeciwiali się powrotowi Gomułki do władzy, a na str. 262, że Kołakowski był gorącym wielbicielem Gomułki. Chyba to jest dla Hiscocksa samo przez się oczywiste: przecież Gomułka i Kołakowski są cacy, a Natolińscy be, więc jak mogło być inaczej. I Hiscocks nawet nie podejrzewa, jak bardzo są fałszywe obie informacje. To samo stosuje się do informacji ze str. 260 o stosunku Gomułki do XXII zjazdu KPZR. Hiscocks nie rozumie zjawiska (które tak trafnie scharakteryzował niedawno w recenzji z jego książki Konstanty Jeleński

w kwietniowym n-rze *Survey'u* i czerwcowym n-rze *Preuves*) wielomiarowości układów sił w kierownictwach partii komunistycznych. Jego obraz jest zasadniczo jednowymiarowy, i co gorzej, z tendencjami do dychotomii: po jednej stronie *tender-minded* liberałowie, antystalinieści, patrioci, po drugiej *tough-minded* antyliberałowie, stalinowcy, agenci sowieccy. Te fałszywe identyfikacje wypaczają także obraz samego Gomułki.

VII

Wreszcie ostatnia brzydka rzecz o wierze, na której zasnęła się lewicowa wizja Polski. Że czas najwyższy już sobie powiedzieć po warszawsku: „Panie, z czym do gościa?” Że cokolwiek by można było o tej wierze powiedzieć w przeszłości, obecnie jest ona już od dawna nieaktualna, i samo zakładanie takiej możliwości brzmi absurdalnie.

Ta opinia jest chyba oczywista i nie wymaga uzasadnienia. Kłopot jest jednak ten, że momentalnie pojawia się pytanie: „no dobrze, ale jeżeli nie Polska, to jaki inny most nad otchłanią?” A ponieważ tych mostów nie ma, więc tworzy się pole do złudzeń. Że może jednak Polska. Że może mimo wszystko Polska.

Hiscocks nie ma pewności, co ten Polski most jest wart: tytuł jego książki jest opatrzony znakiem zapytania: ostatecznie jest rok 1963. Ale Hiscocks czepia się tej nadziei rozpaczliwie i chce ją dostrzegać wbrew faktom. I dlatego wciąż jeszcze się zastanawia i stawia jakieś znaki zapytania. Psychologicznie go rozumiem: brak jakiegokolwiek mostu na świecie jest istotnie perspektywą przerażającą. Mogę także zgadywać, trafnie lub nie, że to był motyw, dla którego Hiscocks zaczął się zajmować Polską w czasach, kiedy rzecz się jeszcze mogła wydawać aktualna, a potem to już wszystko poszło jakoś owczym pędem. Ale to wszystko nie wyjaśnia, dlaczego Hiscocks w pewnym momencie traci odwagę spojrzenia prawdzie w oczy.

Hiscocks dał swojej książce podtytuł: „Interpretacja wydarzeń w Polsce powojennej”. To dowodzi, że chciał być czymś więcej, niż faktografem, że chciał nie tylko rejestrować, ale także interpretować fakty. Ale właśnie w tym niejednokrotnie zawiódł, podczas gdy jako historyk *sensu stricto* odniósł niewątpliwą sukces.

VIII

Chcę tu wyrazić pewne przypuszczenie na temat motywów, dla których Staar zaczął się zajmować Polską, podobnie jak

to wyżej zrobiłem w odniesieniu do Hiscocksa. Otóż chyba dlatego, że Staar chciał na przykładzie kraju komunistycznego, uchodzącego za najbardziej liberalny pokazać jak mało ten liberalizm komunistycznego chowu jest wart, jak komunizm przy całej liberalizacji pozostaje sobą, jak w gruncie rzeczy mało się zmienia, a wiele pozostaje po staremu.

Książka Staara jest książką chytrą. Chytra jest technika ekspozycji tematu. Mówiąc z grubsza polega ona na tym, że Staar w ogóle, albo prawie w ogóle nie wspomina o październiku, rewizjonizmie, zmianach w ideologii, walce z kultem jednostki, korygowaniu błędów i wypaczeń, o wszystkich tych rzeczach dziwnych, niepewnych i między wierszami czytanych, które normalnie wywołują entuzjazm i koncentrują na sobie uwagę. To wszystko jest dla Staara wiadome jak $2 + 2 = 4$ i nie wymagające dalszego wątkowania. W ogóle Staar traktuje historię jako coś wiadomego: historią wydarzeń on się nie interesuje. To co daje, to bezbarwna, nudna, statyczna deskrypcja instytucji i personaliów reżymu na podstawie źródeł oficjalnych. I z tych źródeł oficjalnych potrafi wydobyć taką masę rzeczy świadczących o totalitaryzmie kwitującym sobie jak gdyby nigdy nic, o zależności od Moskwy żenującej do szpiku kości, że wrażenie jest. Zamierzony efekt został osiągnięty na sto procent. Nie będę podawać przykładów: żaden pojedynczy przykład nie jest w stanie oddać trumiennej atmosfery tej może dobrej, może złej, ale w każdym razie niezwyklej i niepodobnej do innych książki.

Niestety Staara tak jak i Hiscocksa zawodzi interpretacja. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego ludzie tak inteligentni jak James Burnham czy Borys Suwarin włożyli tyle wysiłku i wypisali tyle atramentu, żeby dowieść, że wszystko, co jest między Moskwą a Pekinem, to kłótnie w rodzinie, a naprawdę monolit wciąż pozostaje monolitem. Podobnie nigdy nie rozumiałem Hanny Arendt z jej teorią, że rozwój biurokracji państwa totalitarnego może się odbywać tylko w kierunku powiększenia zakresu tej władzy, a nigdy w kierunku przeciwnym. Ja nie mam wiary w monolit. Z całym samochwalstwem wyznaję, że o wiele więcej sensu wydaje mi się mieć moja własna teoria sformułowana w najogólniejszym zarysie w pamphlecie „Chamy i Żydy”, że manipulacje, które zapoczątkowują zwroty linii partyjnej w kierunku względnego liberalizmu, mają na względzie nie wzmocnienie reżymu (lub bloku), lecz wzmocnienie pozycji określonych jednostek lub grup w walce o władzę w danym państwie (lub rządów w walce o władzę nad całym blokiem), że krótko mówiąc te zmiany kursu mają charakter dla całego systemu dysfunkcjonalny.

Staar idzie jednak wyraźnie po linii teorii monolitu. Wydaje się on wierzyć w funkcjonalność zmian kursu; w to, że w ostatecznym rachunku zmiany te system wzmocniają. To, co Staar napisał na str. 6 i 271 można rozumieć tylko

tak, że uważa on okres popaździernikowy za okres ostatecznej konsolidacji komunizmu i wzmocnienia wpływów sowieckich w Polsce. Staar jest dostatecznie dobrze poinformowany, żeby nie zdawać sobie sprawy z tego, jak bardzo podobnie pojmowała październik „Trybuna Ludu” (co prawda dopiero wtedy, kiedy namiętności już nieco ochłodziły): jako reformę aparatu władzy, niezbędną do tego, żeby wyprowadzić ten aparat ze stanu niemocy i umożliwić mu sprawne działanie i rządzenie krajem. Osobiście kocham paradoksy, mam szacunek dla ludzi, którzy mają odwagę głosić nonkonformistyczne poglądy, i uważam, że w takich sprawach „Trybuna Ludu” zasługuje na traktowanie jak najpoważniejsze. Ale to wszystko razem nie przeszkadza mi stwierdzić, że to, co Staar napisał, to po prostu nieprawda.

Nie obce jest też Staarowi *wishful thinking*. Na str. 4 oszłamia nas informacja autora, że ok. 96 % Polaków to katolicy. Widzę tylko jeden sposób doliczenia się tej cyfry: przez odjęcie członków partii (istotnie ok. 4%) od globalnej ilości mieszkańców kraju. Ale z tego rachunku wynika, że każde niepełnoletnie dziecko członka partii jest katolikiem. Ale nawet gdyby Staar oparł swój rachunek na odjęciu członków partii od liczby dorosłych mieszkańców Polski, to i tak popełniłby grubą błąd. W Polsce działają, moim zdaniem, obecnie na niekorzyść kościoła potężne siły społeczne. Liberalne ustawodawstwo rodzinne, rozpowszechniająca się liberalna obyczajowość seksualna, indyferentyzm w dziedzinie wartości czy zwyczajna świecka rozrywka, specjalnie w niedzielę rano, wszystko to są rzeczy zbyt atrakcyjne, żeby pod ich wpływem wiara religijna nie kruszała w skali masowej, zwłaszcza wśród młodzieży. Tych rzeczy nie należy nie doceniać. Natomiast jeżeli Staarowi chodzi o przynależność do Kościoła czysto formalną, o posiadanie kościelnej metryki, to jego cyfra jest bodaj jeszcze za niska. Kiedy trzy lata temu zapytany w Urzędzie Stanu Cywilnego Warszawa-Śródmieście „W jakiej parafii pan jest ochrzczony?” odpowiedziałem, że jestem niechrzczony i następnie okazałem cywilną metrykę, to urzędnik wprost zdębiał ze zdumienia, mimo że metryka była wydana przez tenże urząd. (Formularze U.S.C. w każdym razie jeszcze dwa lata temu zawierały pozycję: Świactwo urodzenia wydane przez parafię....; żadna inna możliwość nie była uwzględniona w tych formularzach). Inna sprawa, że Staar przy całej swojej sympatii dla katolicyzmu, rolę i pozycję Kościoła w Polsce ocenia na str. 275—76 dość realistycznie.

W ogóle odnoszę wrażenie, że Staar dla pewnych procesów kulturalnych ma niewiele zrozumienia. Tak np. od razu na str. 1 książki zaskakuje czytelnika pogląd, że jednolitość składu etnicznego ludności Polski powojennej była czynnikiem utrudniającym komunistom stosowanie indoktrynacji. Od razu powstaje pytanie, dlaczego w takim razie komuniści tak się wysilali, żeby składek etniczny Polski jeszcze bardziej ujednoczyć, żeby resztki

pozostałych jeszcze w r. 1945 mniejszości narodowych tą czy inną metodą z terytorium Polski wypchnąć? Dlaczego sami pozbawiali się możliwości stosowania zasady *divide et impera*? Sprawa jest subtelna, ale myślę, że pierwszą i decydującą rzeczą było zupełne odcięcie Polski od zagranicy, w czym istnienie mniejszości narodowych straszliwie by przeszkadzało. Poza tym mogły działać elementy inercji urzędniczej: różne objawy sprzeczające się do tego, że urzędnik nie lubi przypadków nietypowych. W sumie wbrew Staarowi myślę, że pęd komunistów do jednonarodowości był zupełnie racjonalny, i że jednonarodowość w ostatecznym rachunku indoktrynację komunistom ułatwiała po prostu dlatego, że w sytuacjach moralnych i intelektualnych kryzysów brakowało indoktrynowanym jakiegoś *tertium comparationis*, którego Żydzi, Ukraińcy czy Niemcy prędkiej by mogli dostarczyć.

Staar jest na ogół ostrożny, co znajduje wyraz w jego uporczywym trzymaniu się źródeł oficjalnych. Niekiedy jednak pozwala sobie na domysły na temat personaliów i to wychodzi mu raczej źle: *vide* rozważania na str. 154 lub wzmiankę o roli Cyrankiewicza na str. 182. Świadczy to, że w wewnątrzpartyjnych rozmowkach personalnych orientuje on się słabo.

IX

Sylwetka autora, która wyłania się z książki Staara, jest sylwetką zdecydowanie sympatyczną. Ten człowiek ma wyczuloną ambicję, żeby się nie poddawać złudzeniom i marzeniom, żeby w powodzi dezinformacji nie być naiwnym i łatwowiernym. Przytoczona na początku tego artykułu opinia Staara o Gomułce jest fałszywa, ale źródłem błędu jest w dość przejrzysty sposób to, że Staar nie chce się dać złapać na numer z gołęmbim sercem Gomułki. Jest w Staarze jakiś niepokój intelektualny, który go pcha do negowania oczywistości. Co więcej, jest w nim piękna odwaga głoszenia poglądów, które są niemożliwe, traktowane wzruszeniem ramion i obracane w żart. Autorytety temu człowiekowi nie imponują i paradoksu się on nie lęka.

Przy tym wszystkim, na ten cały predykament specjalisty od spraw polskich Staar reaguje fatalnie i to podwójnie fatalnie, bo zarówno na płaszczyźnie intelektualnej, jak i emocjonalnej. O jego reakcji intelektualnej już mówiłem: teoria monolitu jako uniwersalny środek przeciwko popadaniu w błogie złudzenia musi budzić daleko posunięte zastrzeżenia. Parę słów chciałbym jeszcze poświęcić jego reakcji emocjonalnej.

Staar nie polemizuje z lewicowym obrazem Polski. Niekiedy tylko wtrąca cichaczem jakąś złośliwą uwagę. Tak np.

na str. 117 jest mowa o „subsydiowaniu komunizmu” przez pożyczki amerykańskie, na str. 154 o „tak zwanych liberałach” w PZPR, a na str. 251 o tym, że w październiku w stosunkach państwa z kościołem nastąpił zasadniczy zwrot, „względnie, że początkowo wydawało się to zasadniczym zwrotem”. To wszystko ujdzie: aczkolwiek już tu widać pewną tendencję do schematyzowania rzeczy. Ale na przykład złość bierze, kiedy w tytule rozdziału „Osiągnięcia społeczne” Staar umieszcza słowo „osiągnięcia” w cudzysłowie. Przecież do licha te osiągnięcia są, i to nie byle jakie! Dlaczego Staara nie stać na obiektywizm? Tym bardziej, że wymowa faktów w jego książce jest dostatecznie silna bez tego cudzysłowu i bez różnych zgryźliwości.

Staar należy do ludzi, którzy w dzisiejszej atmosferze światopoglądowej są skazani na to, żeby znajdować się pod wozem. A znajdowanie się pod wozem to jest zawsze szansa podważania obowiązujących kryteriów. Przez swoje cudzysłowy i schematy Staar tę szansę marnuje.

Witold JEDLICKI

Historia partii bolszewickiej

Kilka częściowych opracowań, szereg kolejnych i zmieniających wydań oficjalnego podręcznika sowieckiego, wersja półoficjalna i liberalizująca Aragon'a — to było wszystko, co opublikowano we Francji jako materiały do historii partii bolszewików. To niewiele. Toteż historyk zawodowy nie dysponował właściwie dotąd dokumentacją, która pozwalałaby mu przeprowadzić analizę zasadniczego aspektu rewolucji sowieckiej i ustroju, który ona wyłoniła.

Luka ta została obecnie w znacznej mierze zapełniona, bo oto w wydawnictwie „Editions de Minuit” ukazała się praca Pierre Broué — „Historia partii bolszewickiej” — która stanowi naprawdę poważny i obiektywny przyczynek do poznania tego tematu. Obiektywny ale bynajmniej nie bezstronny. Pierre Broué nie ukrywa swych sympatii dla Trockiego.

Tendencja autora przebija na każdej stronicy. Broué, zdecydowany zwolennik rewolucji sowieckiej, stara się wyjaśnić, jakie przyczyny doprowadziły do biurokratycznego zwyrodnienia ustroju zrodzonego w 1917 r. Nie teoretyzuje on, nie wypowiada się na temat klasowego charakteru biurokracji, lecz

poprzestaje na wykazaniu, że mogło się stać inaczej niż się stało, że liczne i sprzeczne ze sobą czynniki ustroju sowieckiego pozwalały przewidywać inne także ewentualności, że w pewnych momentach nic jeszcze nie było przesądzone ani nieuniknione i że, jeśli nie wszystko było możliwe, to jednak mogło dojść do innych rozwiązań niż te, do których doszło ostatecznie.

Jesteśmy tu daleko od heglowskiej koncepcji historii, od niewolniczej, czy nawet entuzjastycznej akceptacji faktów dokonanych. Ale jesteśmy też równie daleko od przerabiania na nowo historii *post factum*, stosownie do idealnego, z góry powziętego wzorca.

Broué stara się zastosować metodę marksistowską do studiów nad partią bolszewicką. Rozpatruje on, jakie inne możliwości i w jakim istniały momencie, jakie były obiektywne czynniki zwycięstwa Stalina (niski poziom rozwoju gospodarczego, odosobnienie kraju, zużycie się kadr partyjnych, nacisk mas chłopskich...) i jakie były czynniki subiektywne (złudzenia i rozbieżności wśród opozycjonistów, ich mylna analiza sytuacji i błędna taktyka, ich fetyszyzm legalności).

Broué tłumaczy, że milczące przyjęcie przez Lenina teorii trockistowskich o rewolucji permanentnej doprowadziło do tezy z kwietnia roku 1917, według której treść społeczna rewolucji rosyjskiej uległa przemianie i że z rewolucji burżuazyjnej i demokratycznej stała się ona proletariacką i socjalistyczną. Tłumaczy on wahania wielu starych bolszewików w przeddzień uchwycenia władzy ich przywiązaniem do dawnych stanowisk teoretycznych, od których Lenin już odszedł i które potępił. Nie należy zapominać, że Lenin był zwolennikiem opowania władzy przez partie socjalistyczne wobec kapitulacji partii burżuazyjnych przed caratem, ale nie wątpił, że rewolucja 1905 roku była burżuazyjno-demokratyczna.

Broué wskazuje, że zbieżność celów Lenina i Trockiego opierała się na podobnym ujmowaniu przez nich żywych sił i dań rewolucji rosyjskiej.

Broué, wyjątkowe znaczenie przypisuje wydarzeniom z roku 1921, rewolucji kronsztackiej, a przede wszystkim uchwałąm 10-go kongresu partii bolszewickiej, który — zakazując tworzenia zorganizowanych frakcji w łonie partii — otworzył drogę tendencjom totalitarnym, jakie zrodziły się na skutek wojny domowej i zmiążdżenia partii opozycyjnych. Podkreśla on jednocześnie tendencyjną interpretację, jaką nadał Stalin tym uchwałąm, które przecież nie zakazywały prądów ideowych ani przygotowywania na kongresy deklaracji programowych opozycji.

Zajmując się zbyt wyłącznie opozycją trockistowską, autor nie docenia roli i znaczenia opozycji tzw. robotniczej, która, już od 1920 roku, występowała gwałtownie przeciw objawom zapowiadającym zwycięstwo biurokratów. Lenin widział w tej

tendencji wyraz dawnych przeżytków anarchistycznych, które w niej zresztą istniały. Lekcewał on jej ostrzeżenia, zaprzętnięty przede wszystkim wielkim zwrotem NEP'u, który pozwolił istotnie uratować główne zdobycze rewolucji, a przede wszystkim — władzę. Nie zdawał on sobie całkowicie sprawy z tego, że czyniąc szerokie ustępstwa chłopom i prywatnym kapitalistom, a jednocześnie utrzymując, a nawet wzmacniając dyktaturę partii, wytwarzał niebezpieczną rozbieżność między dziedziną gospodarczą a polityczną, co w konsekwencji sprzyjało rozmnażaniu się biurokracji zarówno wewnątrz partii, jak i w państwie.

Niesposób jest w niniejszych uwagach iść krok za krokiem za biegiem rozważań autora. Wspomnijmy tylko ściśłość podanych przez niego informacji na temat działalności opozycji od roku 1923, to jest od chwili, gdy Trocki po długich wahaniach wystąpił do walki po stronie niektórych swych przyjaciół. Perypetie tej walki, zręczna taktyka Stalina, który starał się i zdołał poróżnić ze sobą swych przeciwników i ukryć testament Lenina zalecający usunięcie go z sekretariatu partii, dalej warunki obiektywne sprzyjające wytwarzaniu się nowego układu sił społecznych, i wreszcie przekształcania się monopartyjności w monolityzm — cały ten niezmiernie skomplikowany proces opisany jest w sposób precyzyjny i żywy, dzięki zacytowaniu wielu faktów i wydarzeń zarówno znanych jak i nieznanych, które od kryzysów w latach 1921 i 1929 przygotowywały zwycięstwo przez Stalina władzy absolutnej i kolejne porażki opozycji, aż do jej ostatecznego zniaczenia.

Likwidując swych przeciwników Stalin na swój sposób zastosowuje ich program w formie karykaturalnej. Z braku własnych idei oryginalnych bierze on najpierw idee opozycji prawicowej, której przewodzi Bucharin, potem opozycji lewicowej, którą kieruje Trocki. To są rzeczy znane. Mniej znaną natomiast rzeczą jest to, że to opozycjonista Preobrażenski dał teoretyczne umotywowanie późniejszej praktyce eksploatacji wsi dla sfinansowania ekspansji przemysłowej, nazywając to eufemistycznie „pierwotną akumulacją socjalistyczną”. Preobrażenski, potępiony wówczas przez wszystkich, mógł widzieć — zanim zginął w obozie koncentracyjnym — z jakim okrucieństwem Stalin zastosował jego teorię.

Pomińmy sprawę zabójstwa Kirowa, co do którego Chruszczow uchylił rąbka zasłony i które wygląda dziś na olbrzymią prowokację polityczną, zmierzającą do wytracenia nie tylko opozycjonistów, nawet rozbrojonych, rozbitych, lub żałujących swych „odchyleń”, ale całości dawnych kadr partii bolszewickiej. „Procesy czarownic”, źle przygotowane i niezręcznie zainscenizowane, które odbyły się w Moskwie w latach 1936—1937—1938, zmierzały do skompromitowania — poprzez rzekomych współników — samego Trockiego, zanim najemny zabójca uderzeniem kilofa nie

położył kresu nieubłaganej, a często proroczej krytyce, głoszonej przez tego wielkiego banitę.

Inna prowokacja, zamierzona na niemniej szeroką skalę, zaczęła się rozwijać w styczniu 1953 pod formą tzw. „spisku mordców w białych bluzach”. Miała ona osiągnąć niektórych bliższych współpracowników Stalina, jak np. Woroszyłow i dać sygnał do przesładowań antysemitów w całej Rosji. Stalin umarł zanim zdołał przeprowadzić swój ponury zamiar. Krwawy okres historii partii bolszewickiej został zamknięty. Później będzie się ją tłumaczyć „kultem osobistości”, to znaczy w sposób całkowicie sprzeczny z metodami marksizmu.

Od śmierci Stalina wszyscy jego następcy usiłują, każdy na swój sposób, zreformować ustrój, złagodzić najbardziej uciążliwe przymusy, a przede wszystkim samowolę policyjną, dbając jednak o to, by nie narazić na szwank swej władzy i przywilejów nabytych. Rozpoczął się nowy okres destalinizacji, która — wzmacniając się lub słabnąc — przez eliminację fizyczną Berii, a polityczną Malenkowa i Mołotowa, doprowadziła w obecnym stadium rozwojowym do pełnego zwycięstwa Chruszczowa.

Zachwiany przez wydarzenia w Polsce i na Węgrzech, w czasie których demokracja robotnicza triumfuje na krótko nad ustrojem totalitarnym, system sowiecki reformuje się i dostosowuje jako tako do nowych warunków. Chruszczow stara się pojednać z Tito i zdobyć popularność poprzez politykę pokojowego współistnienia i przez pewne podniesienie poziomu życia ludności. Pan aparatu partyjnego — jest on jednocześnie jego więźniem i zakładnikiem; musi starać się o zachowanie — w miarę możliwości — przywilejów tych, których jest rzecznikiem.

W międzyczasie struktura gospodarcza i społeczna Związku Sowieckiego uległa przekształceniu. Stał się on wielkim mocarstwem przemysłowym, posiadającym wykwalifikowane kadry techniczne i naukowe, którym coraz bardziej ciąży kaganiec oficjalnej dogmatyki.

W książce swojej Broué wychodzi z założenia, że rewolucja była konieczna, że bolszewicy mieli rację zdobywając władzę, że gdyby to im się nie udało, to nie Kierenski utrzymałby się przy władzy, ale generał Kornikow przywróciłby samowładztwo cara. Autor odrzuca zatem krytyki mienszewików, którzy zarzucali bolszewikom, że chcą budować socjalizm w kraju gospodarczo zacofanym, w jakim — według nich — możliwa była jedynie demokracja mieszczańska. Uważa on, że rewolucja listopadowa 1917 roku była rzeczywiście rewolucją proletariacką, pozwalającą na budowanie socjalizmu w Rosji.

Broué nie zwrócił uwagi na sprawę, że wzięcie władzy przez bolszewików, które było niezbędne aby nie dopuścić do zwycięstwa kontrrewolucji, i które miało ogromne znaczenie dla przyszłości ruchu socjalistycznego na świecie, mogło się odbyć

równie dobrze bez proklamowania proletariackiego i socjalistycznego charakteru ustroju, który z tego wydarzenia wynikał. Mienszewicy nie mieli racji, gdy powstawali przeciw objęciu władzy przez Sowiety, natomiast mieli rację, gdy głosili, że rewolucja październikowa z roku 1917 nie otwierała sama przez się ery budowy socjalizmu. W tym sporze historia wydała już swój wyrok. Rewolucja październikowa w Rosji nie pociągnęła za sobą rewolucji społecznych w krajach Zachodu, a w szczególności w Niemczech. A nawet gdyby wtedy doszło do zwycięskich rewolucji socjalistycznych na Zachodzie i gdyby w związku z nimi władza sowiecka mogła utrzymać swój pierwotny charakter plebejskiej demokracji, nawet wtedy ewolucja Rosji ku socjalizmowi — która mogła się stać możliwa — musiałaby odbywać się w każdym razie niezmiernie powoli i z ogromnymi trudnościami.

Pomimo doświadczenia nabieranego z latami dyktatury stalinowskiej, pomimo nowego uwarstwienia społecznego, Broué trwał na stanowisku Lenina i Trockiego. W polemikach z Karolem Kautskim, teoretykiem niemieckiej socjal-demokracji, stwierdzali oni, że — co prawda — Rosja jest krajem zacofanym, że nie jest dojrzała do socjalizmu, ale przecież nic nie przeszkadza temu, by w oczekiwaniu na zwycięstwo proletariatu w krajach bardziej rozwiniętych, utrzymywać władzę partii bolszewickiej i przygotowywać podstawy gospodarcze dla socjalizmu. Jednym słowem chodziło o objęcie władzy niejako przed czasem i o zachowanie jej za cenę ustępstw na rzecz warstwy chłopskiej i kapitalistów zagranicznych w oczekiwaniu na chwilę, gdy albo w innych krajach dojdzie do zwycięstwa proletariatu, albo w samej Rosji zaistnieją podstawy gospodarcze, techniczne, społeczne i kulturalne dla socjalizmu.

Ten pociągający schemat okazał się złudzeniem. Ludzie żywi, tacy jakimi byli, nie mogli rządzić tak „jak gdyby” socjalizm już istniał w Rosji Sowieckiej. Stali oni przed koniecznością rozstrzygnięcia problemów konkretnych. Stawiali im czoło na swój sposób, początkowo czerpiąc wskazania z teorii Lenina, potem szukając po omacku, starając się na drodze empirycznej opanować trudności.

Rozdźwięk między teorią a praktyką, pomiędzy słowami a czynami, między formalną równością a rzeczywistą nierównością, ten dramatyczny rozdźwięk nie uszedł czujnemu spojrzeniu Lenina. Nad ostatnimi latami jego życia zaciążyła choroba i przede wszystkim rosnący coraz bardziej niepokój o przyszłość tego ustroju, którego był twórcą. Bezskuteczna walka, jaką prowadził z biurokratyzmem, ostrzeżenia przed wielkoruskim szowinizmem, przed groźbą rozłamu w partii, przed groźącym wzajemnym samowytępieniem się starej gwardii bolszewickiej — wszystko to wskazuje, że rozmyślając nad przykładem robespieryzmu, Lenin chciał ochronić partię przed wewnętrznymi rozterkami podobnymi do tych, które doprowadziły we Francji do Thermidora.

To gorączkowe poszukiwanie przez Lenina rozwiązań organizacyjnych dla wielkich problemów politycznych było oczywiście jałowe. Engels tłumaczył upadek Robespierre'a zwycięstwem rewolucji nad wrogami wewnętrznymi i zewnętrznymi: skoro śmiertelne niebezpieczeństwo przestało już grozić, przestały też istnieć racje nakazujące tym, którzy odnieśli korzyść z nowego ustroju, aby ponosili na jego rzecz ofiary i podporządkowywali się nadal ideologom. Rewolucja francuska okazuje wtedy swe prawdziwe oblicze. Zarówno w swym okresie patrycjuszowskim — w okresie Żyrondy — czy też plebejskim, — w okresie Jakobinów — chociaż chwilami wykraczała poza swe właściwe granice (jak np. przy tzw. ustawie o cenach maksymalnych, którą nakazał wysiłek wojenny) — rewolucja francuska pozostawała jednak zawsze mieszczańska, spełniała rolę akuszerki nowoczesnego ustroju kapitalistycznego.

W jakieś trzydzieści lat po rewolucji, historycy okresu Restauracji zrobili pierwszy jej bilans i wykazali, że równość wobec prawa nie wyklucza nierówności majątkowej, że przywilej stanowy zastąpiony został przez przywilej mienia i że nowa klasa stała się z kolei klasą panującą. Marzenia egalitarne drobnego, samodzielnego wytwórcy, marzenia idące po linii Jean'a Jacques Rousseau, podjęte na krótko przez St Just'a, rozprysły się w zderzeniu z bezwzględną rzeczywistością. Wielka Rewolucja nie wyzwoliła Francji ze wszystkich objawów zła, nie zbudowała społeczności idealnej, utworzyła tylko drogę do ustroju kapitalistycznego z innymi niesprawiedliwościami, innymi antagonizmami, innymi walkami klas.

Czyż nie byłby już czas, aby rozpatrzyć zagadnienie czy marksizm nie odegrał w Rosji w roku 1917 tej samej roli, jaką odegrał rousseauizm we Francji w roku 1793, roli mitu egalitarne-go, mobilizującego masy wyzyskiwane i uciskane, i prowadzącego je do walki na śmierć i życie przeciw przedstawicielom dawnego ustroju? Czyż nie czas, aby po upływie 47 lat wziąć pewien dystans w stosunku do wielkiej rewolucji rosyjskiej tak, jak to uczynili Guizot, Thiers, Mignet czy Augustin Thierry w stosunku do wielkiej rewolucji francuskiej?

Może należałoby sobie postawić pytanie czy czasem trockowski schemat rewolucji permanentnej, częściowo przyjęty przez Lenina, nie był nieodpowiedni? Czy przejście w r. 1917 od rewolucji mieszczańskiej do rewolucji proletariackiej nie było w rzeczywistości raczej przejściem od fazy patrycjuszowskiej do fazy plebejskiej tej samej rewolucji, jak to twierdził Engels, pisząc o rewolucji francuskiej?

Bo przecież rewolucja roku 1917 była tylko potężniejszym wznowieniem wydarzeń 1905, które nie dopięły swego celu. Jest rzeczą oczywistą, że przedstawiciele proletariatu mogą w pewnych warunkach stanąć wobec konieczności przejścia władzy i doprowadzenia do końca dzieła rewolucji burżuazyjnej. Na tym polegała oryginalność pozycji Lenina w czasie rewolucji 1905 r. Ale

Engels już z powodu wojen chłopskich w Niemczech z 1525 roku i powstania Thomasa Münzera mówił o tragedii przywódców ludowych, którzy doszli do władzy zbyt wcześnie. Tego — jakże prorocznego — ostrzeżenia Lenin nie wziął pod uwagę. Objął władzę w okresie ciężkiego kryzysu, realizować choćby najdalej idący program demokratyczny (a slogany: „ziemi, pokoju, wolności”, a nawet kontroli robotniczej, nie przekraczając ostatecznie granic ustroju kapitalistycznego) — to jedno, budowa zaś socjalizmu w kraju zacofanym i izolowanym — to inna sprawa.

Cóż jednak oznacza w takim razie teoria Trockiego o permanentnej rewolucji...? Czy chodzi o tę oczywistą prawdę, że po każdej rewolucji, ewolucja społeczeństwa trwa nadal i że nowe antagonizmy powstają w jego łonie? To się rozumie samo przez się. Jeżeli natomiast chodzi o teorię, według której rewolucja mieszczańska może — dzięki dojściu do władzy przedstawicieli robotników — przekształcić się w rewolucję proletariacką, to wtedy — i tylko wtedy — można mówić o rewolucji permanentnej. Niestety, doświadczenie zdaje się udowodniać, że żadna rewolucja nie może wyjść poza swe własne granice i że — jeśli je nawet chwilami przekroczy — to zmuszona jest do nich się cofnąć. Inaczej — zmierza do katastrofy, jak na to wskazują przykłady z komunizmem wojennym w Rosji i z „wielkim skokiem naprzód” w Chinach.

Podstawowym błędem Broué'go, błędem, który pomniejsza w znacznej mierze znaczenie jego książki jest to, że przejął on optykę tych, którzy zrobili rewolucję i że krytykuje ustrój sowiecki z tego tylko punktu widzenia. Trzeba aby znalazł się wreszcie jakiś burzyciel utartych opinii, który by porwał się na zbyt długo przestrzegane tabu i analizując ustrój, który powstał z rewolucji 1917 roku, określił jego prawdziwy charakter: charakter społeczeństwa przejściowego, w którym współistnieją zmieszane ze sobą cechy kapitalistyczne i socjalistyczne, dążenia do powodzenia osobistego i do dobrobytu zbiorowego, w którym przeciwieństwa pomiędzy uprzywilejowanymi a nieuprzywilejowanymi, między tymi co rozkazują, a tymi co wykonują rozkazy, zmierzają do postawienia problemów o egalitarnym podziale dochodów i o demokracji robotniczej.

Byłoby to ogromnie doniosłym wydarzeniem, gdyby ktoś odważył się wreszcie zastosować metodę badawczą Marksa do tego nowego społeczeństwa, które powołuje się na marksizm.

Victor FAY

(Przełożył T. Święcicki)

Nadesłane nowości wydawnicze

- GARLIŃSKI (Józef). *Ziemia*. Str. 100 i 2 nlb. Okładkę i winiety projektował T. Terlecki. (Wyd. Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1964, cena 12/6).
- KOTKOWSKI (Zygmunt). *Katedry i słońce*. Notatki z Francji i Hiszpanii. Str. 39 i 1 nlb. (Wyd. „Rytm”, Londyn, 1964, cena 3/6).
- POBÓG-MALINOWSKI (Władysław). *Józef Piłsudski 1867-1914*. Str. 440 i 8 fotografii, indeks nazwisk. (Wyd. Komitet Wydawniczy, cena 49/— lub dol. 7,—).
- LEGEŻYŃSKI (Stefan). *Na oceanie*. Wiersze. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1964).
- RACZYŃSKI (Edward). *Rogalin i jego mieszkańcy*. Str. 240, 20 str. ilustracyjnych i wklejony frontispice z portretem i facsimile autografu autora. (Wyd. „The Polish Research Centre” w Oficynie Stanisława Gliwy, Londyn, 1964).
- KSIĄŻKI UKRAIŃSKIE
- IWANYŚ (Wasyl). *Steżkamy Żytia*. (Sphady). Str. 515. (Wyd. Knyha Verlag, Neu-Ulm, 1962).
- WOŁODYMIR (R.). *Pałki Sercja*. Wybrani twory. Str. 216. (Wydawnia Awtora, New York-Londyn, 1964).
- MAŁANIUK (Jewhen). *Serpeń*. Poezji knyha IX. Str. 72. (Wyd. Niu-Jorkskoj Hrupy New York, 1964).
- BOJCZUK (Bohdan). *Wirszci dla Meksiko*. Str. 20. (W-wo Niu-Jorkskoj Hrupy, Muenchen, 1964).
- DMYTRIŃ (H. dr). *Protly chwyl*. (Sphady likarja). Str. 464. (Własnym nakładom, Kanada, 1964).
- TARNAWŃSKYJ (Zenon). *Doroħa na Wysokij Zamok*. Noweli, opowiadania, narysy. Str. 254. (W-wo „Homin Ukrainy”, Toronto, 1964).
- CZEKMANOWSKYJ (Antin). *Wilyky pływut' nad Kyjwowom*. Str. 180. (W-wo „Nasza Bat'kiwszczyna”, New York, 1964).
- TURKAŁO (K.T. inż.). *Tortury*. (Awtobiohrafia za bolszewyckych czasiv). Str. 202. (W-wo „Nasza Bat'kiwszczyna”, New York, 1963).
- CZYKAŁENKO (Łewko). *Urywky zi Spohadiw z rokiw 1919-1920*. Str. 166. (W-wo „Nasza Bat'kiwszczyna”, New York, 1963).
- REBET (Lew). *Switła i tini OUN*. Str. 130. (W-wo „Ukryńskijskyj Samostijnik” Muenchen, 1964).
- CZUBATYJ (Mykoła). *Knjaża Rus-Ukraina ta wynykennja trjoch schidnijosłowjańskich nacij*. Str. 160. (Zapysky Naukowoho Towarzystwa im. Szewczenka, T. CLXXVIII, New York-Paryż, 1964).
- Za wiru prawosławnu ukrainsku*. Zbyrnyk I. Str. 112. (W-wo „Nasza Bat'kiwszczyna”, New York 1964).
- CZUB (Dmytro). *Żywyj Szewczenko* (Szewczenko w żytti). Wyd. drugie pereroblene i dopownene. Str. 114. (W-wo „Dnyprowa Chwyla”, Muenchen-Melbourne, 1963).
- PARFANOWYCZ (Sofia). *Czariwna Dibrowa*. Opowiadania i narysy. Str. 202. (Chicago 1964).
- PARFANOWYCZ (Sofia). *Takyj win buw...* Istoria odnoho psa. Powist' dla Mołodi. Str. 198. (W-wo „Swoboda”, Jersey-City — New York, 1964).
- Szewczenkowe słowo i sława*. Antologia przekładów z Szewczenka czużymi mowami. Za red. Bohdana Krawcewa. Str. 456. (W-wo M. Denysiuka, Chicago, 1964).

Listy do Redakcji

Neapol, 7 października 64

Drogi Panie Redaktorze,

Otrzymałem Nr 7-8 (lipiec-sierpień) *Życia i Myśli* z tekstem „Listu otwartego Zarządu Stowarzyszenia Pax do Jego Eminencji Stefana Kardynała Wyszyńskiego Prymasa Polski”, oraz z tekstem „informacji” o Paxie ogłoszonej w *La France Catholique* która ten list sprowokowała. Nie zamierzam, broń Boże, wtrącać się do meritum polemiki, tym więcej, że niechlujstwo myślowe „Listu” nie odbiega ani na jotę od publicystyki autora *Zagadnień istotnych*, a poziom „informacji” też nie jest zbyt zachęcający. Ale znajduję w „Liście” jedno zdanie, na które chciałbym rzucić nieco światła jako przypadkowy świadek pośredni. Za dużo takich świadectw, nawet pośrednich, ginie w naszych czasach chorych na rzeczywistość lub urojoną amnezję. Przyjście z pomocą amnezjowanym wydaje mi się więc uczynkiem pożytecznym i (żeby użyć terminologii „Listu”) zgodnym z zasadami „miłości chrześcijańskiej dochodzącej do głosu w najbardziej konfliktowych sytuacjach”.

Wspomniane zdanie brzmi tak: „Oświadczamy, że nieprawdą jest jakoby Bolesław Piasecki został skazany na śmierć przez organa radzieckie. Nieprawdą jest także to, że został zwolniony z więzienia w wyniku złożenia jakichkolwiek zobowiązań”. Jestem w posiadaniu relacji z wiarygodnego źródła na temat tego incydentu, który (żeby znowu użyć terminologii „Listu”) zapoczątkował „dwudziestoletnią praktykę spotkania się katolicyzmu i marksizmu w naszym kraju”.

Było to w Rzymie, bodaj latem 1946 roku (brak mi niestety całkowitej pewności co do daty, odgrywa tu ona jednak rolę drugorzędną). Istniał już wtedy w Rzymie powołany przez Pana do życia Instytut Literacki, który trudnił się wydawaniem książek polskich (także po włosku) i planował założenie *Kultury*. Jako pracownik Instytutu zostałem przez Pana pewnego dnia zawiadomiony, że chciałby się ze mną zobaczyć przybyły z Warszawy powieściopisarz katolicki p. Jan Dobraczyński w sprawie ewentualnego wydania po włosku jego powieści *Najeźdźcy*. Wizyta odbyła się w moim mieszkaniu na Via Alessandro Farnese 22. O *Najeźdźcach* rozmawialiśmy krótko, bo p. Dobraczyński wyczuł trafnie, że nie jestem o jego powieści dobrego mniemania. Pogawędka ześlizgnęła się niebawem na tzw. tory ogólne. Pan Dobraczyński, jak się zdaje wyznawca „charyzmatycznych cech Wodza” ucieleśnionych w osobie p. Bolesława Piaseckiego, uznał za wskazane (nie wiadomo zresztą dlaczego i po co) przekonać mnie o „autentycznej wielkości” przyszłego autora *Zagadnień istotnych*. Posłużył się w tym celu metodą ilustracyjną, sądząc zapewne że przemówi ona żywiej do wyobraźni „kolegi po piórze”. Opowiedział mi mianowicie historię skazania na śmierć i ułaskawienia Piaseckiego przez „organ radziecki”. Wyglądało to z grubsza tak. Piasecki został skazany na śmierć za akcję „Uderzenie”. Na krótko przed wykonaniem wyroku wezwał go do siebie „generał Iwanow” (dopiero później dowiedzieliśmy się, że tego stopnia i nazwiska używał w Warszawie oślawiony pułkownik Sje-
row). W obliczu plutonu egzekucyjnego rozegrał się — pamiętam do dziś

to określenie w zachwyconej relacji p. Dobraczyńskiego — „wielogodzinny pojedynek spirytualisty z materialistą”. Zwyciężył w końcu „spirytualista”, bo „materialista” napisał na aktach jego sprawy co następuje (znówu dosłownie): „Błądzi, ale można wykorzystać”. (Naturalnie w tonie opowiadającego było coś w rodzaju mrugnienia okiem: „pokaże się jeszcze kto kogo wykorzysta”). Co rzekli, p. Dobraczyński spojrzął na mnie triumfalnym wzrokiem. Powstrzymałem się cudem (k którego zasługę chętnie przypisuję mojemu rozmówcy) od reakcji nieestosownej w podobnych okolicznościach.

Nawiasem, i w imię sprawiedliwości, dodam jeszcze jedną rzecz. W „informacji” opublikowanej na łamach *La France Catholique* pada często pod adresem Paxu zarzut „dezinformacji”. Nie mam wątpliwości, że „paxowcy” dezinformują na Zachodzie ile tylko zdolni są przełknąć „informowani”. Ale dezinformacja bywa dwojaka: świadoma i mimowolna. Ta ostatnia nie jest mniej groźna, jakkolwiek ma na ogół charakter groteskowy i humorystyczny. W swoim czasie p. Jerzy Zawieyski, podobno „mąż zaufania” kardynała Wyszyńskiego, został przyjęty na krótkiej audjencji przez Jana XXIII. Nazajutrz udał się do Pompei, by (jak przypuszczam) w dziękczynnym uniesieniu służyć do mszy w słynącej cudami bazylice. I rzeczywiście bazylika pompejańska wzbogaciła się o nowy cud. Gdyż w dzień potem główna neapolitańska *Il Mattino* ogłosiła obszerną rozmowę ze znakomitym pątnikiem, dając jej tytuł „Wiceprezydent Polskiej Republiki Ludowej służy do mszy w Pompei”: tak widocznie p. Zawieyski „przełożył” w euforii dziennikarzom włoskim swoją „pozycję urzędową” w Polsce. Nie czytuję *Il Mattino*, ten numer jednak przyniesiono mi specjalnie do domu na dowód, że jestem bezpodstawnie uprzedzony wobec mojej „zdumiewająco liberalnej” Ojczyzny. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby ci sami moi znajomi włoscy kręcili obecnie niedowierzająco głowami czytając dramatyczną i oskarżycielską „informację” w *La France Catholique*. I to mimo zakończenia (równie humorystycznego) wywiadu z p. Zawieyskim, które przytaczam z pamięci lecz dość wiernie. Dziennikarz (lekkko zakłopotany): „Ekscelencjo, jeśli można ostatnie pytanie: czy istnieje w Polsce wolność słowa?”. Wiceprezydent PRL (nagle i głęboko poważnie): „Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Londyn, 9. X. 1964

Szanowny Panie Redaktorze,

W czterech kolejnych numerach „Kultury” w dziale „Sprawy i troski” ukazało się pod różnymi tytułami opracowanie p. Czesława Dobka o gospodarce organizacyj i fundusów społecznych w W. Brytanii. Opracowanie to bardzo szczegółowe, operujące ogromnym materiałem, zebrany przez autora z niemałym wysiłkiem, zawiera niestety wiele niedokładności. Powodem głównym jest zastosowana przez autora podwójna metoda zdobywania wiadomości. W niektórych wypadkach prowadzi rozmowy osobiste z kierownikami organizacji i wówczas dział ten rozrasta się nadmiernie, zawierając masę mniej ważnych szczegółów, historię wielu lat i szeregi nazwisk. W innych opiera się na drukowanych sprawozdaniach — niezawsze wyciągając z nich słuszne wnioski.

Nie zamierzam prostować przeoczeń, błędów i przeinaczeń, dotyczących wielu przez autora wymienianych organizacji — pragnę ograniczyć się do pewnych danych dotyczących bliskiej mi organizacji Funduszu Społecznego Żołnierza.

Przede wszystkim chcę podkreślić niesłuszność zarzutu postawionego, że w Funduszu Społ. Żołnierza jest „brak jakiegokolwiek kontroli społecznej”. Śmiem twierdzić, że przeciwnie, jest to na pewno najbardziej kontrolowany fundusz spośród wszystkich działających na terenie W. Brytanii. Rada F.S.Ż. złożona z 24 osób i zbierająca się dwa razy do roku, powstała z delegacji rozwiązujących się wielkich jednostek armii polskiej, a potem uzupełniała się i uzupełnia przez włączanie delegatów organizacji b. żołnierzy — S.P.K., Związku Inwalidów, A.K., Związku Kobiet b. żołnierzy i Kół pułkowych. Poprzez Radę, Zarząd i Komisję Rewizyjną F.S.Ż. w ciągu lat 15 przesunęło się z górą 80 osób, przeważnie znanych powszechnie i zasłużonych działaczy społecznych i gospodarczych emigracji.

Drugim zarzutem autora jest, że F.S.Ż. rozdawał hojną ręką w pierwszej fazie swego istnienia pieniądze na „cele społeczne”. Użycie cudzysłowu świadczy, że autor ma co do tych celów wątpliwości. Świadczy też o tym dalsze zdanie: „wreszcie opamiętano się i zaczęto inwestować”. Otóż te cele społeczne na które F.S.Ż. wydał z górą £. 40000.— to stworzenie podstaw finansowych do dziś dnia istniejących i żywo działających organizacji (Zjednoczenie — z górą £. 5000; — Związek Rzemieślników i Robotników ponad £. 4500; — Związek Rolników około £. 3500; — „Veritas” około £. 1500; — Związek Inwalidów £. 6000; — YMCA £. 1500; — Związek Harcerstwa Polskiego około £. 1500; — Polish Research Centre — £. 500; — Gminy Polskie z górą £. 4500. Poza tym Zjednoczenie Polek, Związek Pisarzy, Instytuty Historyczne, Gimnazjum OO. Marianów itp.

Osobno należy podkreślić pomoc dla młodzieży uniwersyteckiej wyrażającą się w sumie ponad £. 2000.—

Czy zarzut autora w świetle tego wyjaśnienia o rozdawaniu hojną ręką pieniędzy na Społeczne Cele w cudzysłowie nie jest co najmniej pophopny?

Następnym zarzutem stawianym przez autora Funduszowi Społ. Żołnierza jest, że nie „stworzył podstawy do osiedlenia się Polaków na tych Wyspach i pomocy przy zakładaniu warsztatów pracy”. Co do pierwszej części zdania, to rzeczywiście F.S.Ż. nie stworzył podstawy do osiedlenia się z górą 150.000 Polaków — o to ani się nie kusił, ani nie mógł stawić sobie tego zadania, które podjął Korpus Przysposobienia. Natomiast dał poważną pomoc (£. 200.000.—) przy zakładaniu warsztatów pracy. Wspomina też autor, że sprawozdanie nie mówi „ile warsztatów założono przy pomocy Funduszu”. Otóż sprawozdanie nie tylko podaje cyfrę tych warsztatów (do roku 1961 — 3500) ale również dokładny wykaz ich charakteru i rodzaju. Autor wyraża zdanie, że skromne zasiłki Funduszu na ten cel nie wystarczyły na założenie „żadnego warsztatu”. Tymczasem w spisie figuruje ponad 1000 warsztatów chałupniczych, które w pierwszym okresie życia emigracyjnego stawały się podstawą materialną dla wielu uchodźców i tu suma stosunkowo nieznaczna pożyczki całkowicie wystarczała. Pozostałe 2500 warsztatów, wprawdzie za pożyczki Funduszu nie mogły być „założone”, ale z pewnością im do życia znacznie pomagały. Muszę sprostować jeszcze jedną, dość drobną, ale dla F.S.Ż. ważną sprawę. W pewnym miejscu autor przypisuje zasługę stworzenia schroniska w Penrhos — jednego z najbardziej udanych i najlepiej administrowanych przedsięwzięć emigracji — Funduszowi S. Ż. Zarząd Fundu-

szu, doceniając inicjatywę grona ludzi dobrej woli na czele z prezesem S. Soboniewskim, jak najsilniej popierał ją w Polish Resettlement Fund i uzyskał na ten cel z górą £. 11000. Na tym się jego rola w tej sprawie skończyła.

Rozdział o F.S.Ż. zatytułowany jest „£. 400.000 Funduszu Żołnierza”. Tu już zaczyna się grubsze nieporozumienie. Autor nigdzie nie tłumaczy ani nie wykazuje, jak doszedł do tej imponującej cyfry. Wyciągnął ją prawdopodobnie ze sprawozdania, którego nie zrozumiał. Do majątku bowiem F.S.Ż. doliczył sumę £. 200.000, udzielonych pożyczek walutowych, nie biorąc pod uwagę że kapitał zaangażowany w tę działalność F.S.Ż. wynosił £. 40.000.— a suma £. 160.000 była obrotem uzyskiwanym ze zwrotów pożyczanych pieniędzy.

Oszacowanie przez autora domów F.S.Ż. na £. 100.000 jest bardzo korzystne (niestety nieosiągalne) w stosunku do ceny nabycia, która wyniosła około £. 24.000.—

Najbardziej uderzające jest twierdzenie autora, że „po przewalutowaniu wartości funta i zrewidowaniu wartości domów Fundusz w łącznym ciągu ma w posiadaniu £. 400.000.—”. W jaki sposób dewaluacja kilkudziesięciu tysięcy funtów umieszczonych w udzielonych pożyczkach ma powiększyć majątek — tego z pewnością ekonomiści nie rozwiążą.

W końcowym artykule i w ostatecznym zestawieniu majątków organizacji i funduszy Fundusz Społeczny Żołnierza jest na zaszczytnym pierwszym miejscu z sumą £. 300.000.— (zmniejszył ją autor o drobniak: £. 100.000.—), a za nim kroczy S.P.K. z taką sumą £. 300.000.— Cztery domy F.S.Ż. wobec 28 domów S.P.K. i równa cyfra majątkowa. Coś tu nie gra.

Wyrazy szacunku łączę

Konrad LIBICKI

Nowy Jork, październik, 1964

Szanowny Panie Redaktorze!

Artykuł p. Czesława Dobka „Straty Szkockie i Sumy Włoskie II”, umieszczony w czerwcowym numerze „Kultury” wymaga paru uzupełnień i sprostowań. Jest to tym bardziej konieczne, iż „Kultura” z każdym rokiem staje się pismem dokumentacyjnym.

Obok pp. A. Jedziniaka, S. Jordanowskiego, J. Maślińskiego i A. Rudzkiego należę do tych, którzy poświęcili najwięcej czasu i energii na budowę podstaw organizacyjnych, ideowych i gospodarczych Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w okresie jego powstawania i pierwszych lat rozwoju. Uczestniczyłem w pracach organizacyjnych pierwszego zjazdu, byłem wiceprezesem zarządu w pierwszej jego kadencji, p.o. prezesa w drugiej kadencji i prezesem w kadencji następnej. Znam więc sprawy SPK z krytykowanego przez p. Dobka okresu nie z opowiadania i inspiracji, ale z bardzo bliska i bardzo dokładnie.

1. Pan Dobek zastrzega się, że „sprawy polityczne SPK nie są przedmiotem tego artykułu”. Czy jednak dotrzymuje słowa? Porozrzućmy po artykule uwagi tego typu jak: „Na pierwszym zjeździe delegatów w maju 1946 roku zaczęły się w łonie organizacji trwające po dziś dzień

walki polityczne", lub „upadłoby SPK, ...gdyby nie doszli w nim do głosu gospodarze wypierając w znacznej mierze polityków”, albo też „utrącanie przez nieszlachetną konkurencję” (rozumie się polityczną) jednego z prezesów SPK, wybranego „przez zbalansowaną politycznie Radę Główną” — wskazują na to, że słowa nie dotrzymał. Porusza sprawę polityczną i to w bardzo specyficzny sposób, bo w formie aluzji i niedomówień.

Na pierwszym zjeździe SPK walk politycznych nie było. W maju 1946 żył jeszcze Prezydent Raczkiewicz, funkcjonowała Rada Narodowa, PKPR był w początkach organizacji, 2-gi Korpus był w Italii, a „wracać czy nie wracać” trapiło jeszcze wielu. Problemów politycznych, społecznych i codziennych życiowych było dostatecznie dużo, aby nie zwracać uwagi na powstającą dopiero organizację b. żołnierzy. Na pierwszym zjeździe nie było ani polityków ani generałów, ani też pułkowników. Z bardzo nielicznymi wyjątkami był to zjazd sierżantów i młodszych oficerów.

Walka polityczna w SPK rozpoczęła się dopiero wówczas, kiedy dwa, a następnie trzy ośrodki zaczęły ubiegać się o kierownictwo polityczne emigracji, i kiedy SPK było już najliczniejszą organizacją, posiadającą własny tygodnik, biuro porad i zatrudnienia, biblioteki, domy, warsztaty i sklepy oraz poważne konto bankowe. Było to w latach 1950/51. W tym właśnie czasie porozumienie dwu ugrupowań politycznych przejęło odpowiedzialność za dalsze losy SPK.

Jest rzeczą oczywistą, że ten popełnia mniej błędów co albo mniej robi, albo może korzystać z doświadczeń innych. Organizatorzy SPK wykonali pracę pionierską, na obcym terenie i w trudnym okresie. Ich następcy, przejawszy pokąźną spuściznę ograniczyli się do zachowania stanu posiadania. Większego doświadczenia gospodarczego, niż ich poprzednicy nie tylko nie mieli, ale mieć nie mogli, bo ci co takowe mieli szukali dla siebie rozwiązań na rynku brytyjskim i w organizacji społecznej pracować nie mieli czasu.

2. Pan Dobek stwierdza, że SPK powstało „na rozkaz Naczelnego Wódza” i „od samego początku zasięg organizacyjny SPK był wielki, od Włoch poprzez okupację Niemiec, po Szkocję”. Sięgnijmy do historii.

W październiku 1945, w Londynie, komitet organizacyjny pod przewodnictwem ppłka dypl. Aleksandra Jedziniaka postanowił: (a) powołać do życia organizację społeczną b. żołnierzy PSZ, po nazwę „Samopomoc Wojska”, (b) zatwierdził projekt statutu i (c) ustalił datę zjazdu delegatów komitetów organizacyjnych kół tego stowarzyszenia. Zjazd odbył się w maju 1946 r., w Londynie. Tam przyjęto nazwę SPK. Rozkaz gen. Kopańskiego ograniczał się do zezwolenia żołnierzom do wstępowania do cywilnej organizacji społecznej, jaką było SPK.

Pierwszym terenem, poza W. Brytanią, który uznał myśl zorganizowania b. żołnierzy w ramach społecznej, demokratycznej organizacji za ideę słuszną byli Niemcy. Dlatego też na pierwszym zjeździe brakowało przedstawicieli 2-go Korpusu z Italii, natomiast uczestniczyli, obok delegatów z W. Brytanii, b. jeńcy wojenni z Niemiec. W 2-gim Korpusie przeważała opinia, że organizacja tego typu przyczyni się do rozbrajania wojska, które tylko chwilowo zawiesiło działania wojenne. Dopiero przyjazd do Londynu gen. K. Wiśniowskiego i nasze długie i przyjazne z nim rozmowy ułatwiły przeszczepienie idei SPK na teren 2-go Korpusu.

3. Do kategorii insynuacji zaliczam uwagi p. Dobka na temat odwołania wizy brytyjskiej p. Opel-Nowakowi. Autor wprawdzie nie twierdzi, że ktoś wpływał na władze brytyjskie, ale wyraża wątpliwość aby te odmówiły z własnej inicjatywy. Prawda jest taka, że przedstawiciele

SPK wielokrotnie, jakkolwiek bezskutecznie, interweniowali na rzecz p. Opel-Nowaka, z czego zdawali szczegółowe sprawozdania przed władzami SPK. Sprawa ta odżyła w formie plotki właśnie w tym czasie kiedy zaczęły się walki polityczne w SPK, o czym mówiłem powyżej. Przy okazji pragnę sprostować, że pierwszym prezesem SPK był ppłk dypl. A. Jedziniak, i że został wybrany nie dzięki „zbalansowaniu politycznemu”, a dzięki zaletom swego umysłu i charakteru.

4. Uwagi p. Dobka w sprawach finansowo-gospodarczych SPK wymagają nieco dłuższego omówienia, zwłaszcza dlatego, że znalazły się tam tego rodzaju zarzuty: „czasy przeszłe SPK, zwłaszcza początkowe, w pełni usprawiedliwiają nieufność byłych żołnierzy”, natomiast „obecna gospodarka... jest jasna, prosta i nie podlegająca jaskrawej krytyce”. A dalej: „straty i ryzykowne posunięcia cechują pierwszy okres gospodarki Kombatantów... pierwszy okres cechują też wysokie wydatki konsumpcyjne”.

Nieufność i wystrzony krytycyzm b. żołnierzy w latach 1945-47 był cechą ówczesnej rzeczywistości. Klęski mają to do siebie, że wywołują fale oskarżeń, niewiarę, kłótnie i swary, stojące często na granicy buntów. Młode stowarzyszenie od razu stało się platformą emocjonalnych wyładowań. Krytykowano wszystkich i wszystko. Wysuwno pod adresem władz SPK postulaty, których spełnienie w normalnych warunkach należałoby do ministerstwa pracy, opieki społecznej i oświaty; wymagało poza tym bardzo dużo pieniędzy.

Majątek SPK powstał i rozmnażał się w początkowej fazie rozwoju Stowarzyszenia dzięki kolosalnemu wyczuciu sytuacji i dalekowzroczności organizatorów, jak i ogromnej życzliwości i zrozumieniu gen. S. Kopańskiego. Można bez przesady stwierdzić, że był on ojcem chrzestnym SPK. Zadanie nie było łatwe zwłaszcza dlatego, że istniał już nadzór wojskowych władz brytyjskich, jak również z tego powodu, że dowódcy oddziałów niechętnie rozstawiali się ze sprzętem i z funduszami, które były w ich dyspozycji.

Wszystko to co jest dzisiaj chlubą SPK powstało, lub zostało zapoczątkowane w tamtym okresie. Domy, warsztaty, biuro informacji, porad i zatrudnienia, świetlice, biblioteki, szkoły sobotnie języka polskiego, kluby sportowe. W październiku 1946 r. powstała korporacja prawa brytyjskiego, pn. *The Polish Ex-Combatants Association, Ltd.*, która zalegała z działalnością gospodarczą SPK. Przygotowany i wszczęty został proces sądowy o tzw. sumy włoskie. SPK przyczyniło się w sposób decydujący do wyjazdu do Stanów Zjednoczonych 18.000 żołnierzy w ramach specjalnej ustawy. Uzyskało stypendia dla b. żołnierzy na uniwersytetach amerykańskich i ułatwiło im wyjazd. A wreszcie, stworzyło ogniwa organizacyjne SPK na wszystkich niemal kontynentach świata.

Jest rzeczą oczywistą, że nie wszystkie wydatki były gospodarczo opłacalne. Wiele było wydatków konsumpcyjnych, ale społecznie bardzo rentownych. SPK było i pozostać powinno przede wszystkim organizacją społeczną, koleżeńską i samopomocową, a nie gospodarczą, para-militarną, czy quasi polityczną.

Początkom działalności SPK rzeczywiście towarzyszył „rozmach i zapal”, ale nie tylko w wydawaniu pieniędzy, jak twierdzi p. Dobek. Gdyby nie gospodarka „polityków” w pierwszym okresie, nie mieliby czym politykować późniejsi „gospodarze”. Rozmach i zapal organizatorów stworzyły dzieło, które przerosło wiele poczynań emigracyjnych.

Boston, 3-go października 1964

Szanowny Panie Redaktorze:

Czytam zwykle z dużym zainteresowaniem artykuły p. J. Mieroszewskiego. We wrześniowym numerze „Kultury” natknąłem się jednak na jego poglądy, który trudno mi podzielić, a mianowicie, że tylko zaangażowanie polityczne daje prawo publikacji w „Kulturze” (str. 12-13). Należąc do „pod-średniego” pokolenia Polaków na emigracji widzę wśród moich rówieśników nastawienie bardziej obiektywne aniżeli to które cechuje pewnych „średniaków”. W Polsce młode pokolenia są także mniej wrażliwe na uczuciowe apele. Wydaje mi się przeto, że redakcja „Kultury” powinna uwzględnić te zmiany — jeżeli chce ona znaleźć oddźwięk wśród młodszych czytelników. Ewolucja systemu edukacji prowadzi do zwiększenia fachowości i specjalizacji, i dlatego młodsze pokolenia wychodzą od publicystów nie tylko ideowości, natchnienia, polotu itd. ale także podkładu rzeczowości, rzetelnej wiedzy i znajomości nowych dziedzin i zdobyczy nauki. Świat, w którym żyjemy, staje się może bardziej przyziemny i pedantyczny, mniej — jak to zauważył J.A. Schumpeter — zaspokajający ludzką potrzebę „nadzwyczajności” i przygód. Nie znaczy to jednak, aby istniał popyt na nienaukową fikcję dziennikarską, którą dostrzegłem w „ideowych” artykułach p. W.A. Zbyszewskiego. Zamiast więc pisać z przekąsem o „uczonych papers” p. Mieroszewski powinien zastanowić się nad znaczeniem zachodzących koło niego przemian kulturalnych. Można nad nimi ubolewać, ale należy uznać istnienie faktów dokonanych. W Stanach Zjednoczonych, na przykład, obserwować można obecnie prąd — trudno określić czy powierzchowny, czy też zasadniczy — do opierania decyzji rządowych i politycznych właśnie na „uczonych papers”. Niełatwo się pewno do tego prądu dostosować ludziom przywykłym w młodości do „wycucia politycznego” i intuicji ideowej, ale można przynajmniej spróbować.

Wydaje mi się, że „pod-średnie” pokolenie emigracyjne, znając lepiej aniżeli pokolenie średnie doświadczenia innych narodów, i przyswoiwszy sobie obiektywne metody naukowe, wzbogacić może polski nurt kulturalny bez konieczności dokumentowania swojego wkładu emocjonalnego.

Osobiście traktuję „Kulturę” jako pismo poświęcone zjawiskom krajowej i emigracyjnej kultury polskiej, a więc w pewnym przynajmniej stopniu obiektywne tak jak obiektywne jest zwierciadło. Dlatego też przesłałem Redakcji szczegółowo umotywowaną krytykę licznych usterek, które znalazłem w jednym tylko z artykułów p. W.A. Zbyszewskiego. Artykuły p. Zbyszewskiego są bezprzecnie politycznie zaangażowane, posiadają jednak zbyt dużo wad, aby można się było z nimi zgodzić. W związku z drukowaniem rojących się od przeróżnych błędów artykułów p. Zbyszewskiego i odrzucaniem ich krytyki jako „uczonych papers”, najwyraźniej nieważnych bo nieideowych, występuje pytanie, czy polityka redakcyjna nakreślona przez p. Mieroszewskiego nie przyczyni się do podniesienia „ideowości” pisma ze szkodą dla jego poziomu intelektualnego, jeżeli obiektywna krytyka zostanie przez tę politykę *a priori* wyeliminowana ze strony „Kultury”.

W głębszym sensie „Kultura” stanowi własność całej myślącej emigracji i dlatego słuszne wydaje mi się przyjęcie postulatu reprezentacyjności i wolnej krytyki — co oczywiście nie oznacza, że wszystkie materiały nadesłane do Redakcji powinny być publikowane. Podkreślam tu znaczenie zasady, nie obstając przy stosowaniu jej we wszystkich wypadkach, z moją krytyką włącznie.

Dążenie do obiektywizmu pogłębi, sądzę, wpływ „Kultury”. Można

być zaangażowanym emocjonalnie, ale zaangażowanie to najlepiej jest budować na trwałej podstawie faktów, ich rzeczowej interpretacji, oraz ogólnie przyjętych doktrynach. W przeciwnym razie łatwo następuje rozczarowanie i niekorzystna reakcja czytelnika odkrywającego bezpodstawność twierdzeń które przyjmował „na wiarę” dlatego tylko, że były one wydrukowane.

Wydaje mi się ponadto, że sam fakt listownego zabierania głosu przez Polaków na emigracji w sprawach polskich, dowodzi ich „zaangażowania”, które p. Mieroszewski wydaje się kwestionować. O wiele łatwiej byłoby przecież czytelnikom „Kultury” poprzestać na przebiegnięciu przez jej kolejne numery wzrokiem i zabraniiu się z powrotem do własnej zawodowej pracy, bez zabierania sobie czasu nad precyzowaniem własnego stanowiska i formułowania tegoż stanowiska na papierze — nawet w formie „uczonych papers”.

Łączę wyrazy poważania,

Bogdan MIECZKOWSKI

Londyn, 1. X. 1964

Szanowny Panie Redaktorze.

Stawiając tezę, że „musimy porozumieć się z Rosją... na rozsądnych warunkach” („Refleksje ćwierćwiecza” w Nr 9/203 „Kultury”), p. Mieroszewski ma niezawodnie na myśli taką Rosję, jaką ona dziś jest, czyli Związek Sowiecki. Jednocześnie p. Mieroszewski, spisując na straty reprezentujące wciąż emigrację pokolenie gospodarzy II Rzeczypospolitej, nawołuje emigracyjnych średniaków (50-60 lat wieku!) do poparcia krajowego „rewizjonizmu” i do stworzenia na emigracji „rewizjonistycznego ośrodka”.

Innymi słowy, p. Mieroszewski wypowiada się z jednej strony za przyjęciem przez ogół Polaków programu rosyjskiego w stosunku do Polski (jakież inne może być porozumienie pomiędzy mieszkańcem obozu odosobnienia a jego dozorcą?), a z drugiej nakłania tzw. młodszą część emigracji do przejścia ze stanowiska negacji narzuconego Polsce ustroju na stanowisko opozycji, a więc uznania go w zasadzie. Czym że bowiem jest ów „rewizjonizm” w sensie politycznym? Po prostu, dążeniem do „poprawienia” tego ustroju, zliberalizowania go, jednym słowem — poddania go rewizji, zawsze w ramach marksizmu-leninizmu. „Dla Polski — woła p. Mieroszewski — nie ma odwrotu od socjalizmu”. Czyżby stawał znak równania między socjalizmem w krajach zachodniej i północnej Europy a komunizmem, choćby „zrewidowanym”? Trudno mi w to uwierzyć. Ale w takim razie co oznacza ten okrzyk?

Potocznie — i raczej żartobliwie — w PRL nazywa się „rewizjonistą” każdy kto chce zmiany nękających go warunków bytu. Ludzie rozumieją, że w kondycji satelickiej nie więcej osiągnąć nie można. Ale, gdyby udało się im w pewnej chwili tego satelityzmu pozbyć — to by zapewne i ortodoksów i rewizjonistów komunistycznych popędzili gdzie pieprz rośnie. Jeżeli p. Mieroszewski uznaje „rewizjonizm” krajowy za współczesny prąd w Polsce, który bynajmniej emigracja przyjąć za swój, to chce ją przesadzić ze starego, ale niegdyś dobrego konia na dychawicznego już dwulatka. Nie daleko by na nim ujechała.

Dążenie do porozumienia z Rosją nie jest niczym nowym w historii polskiej. Odkąd Rosja zaczęła traktować I Rzeczpospolitą jak swój protektorat, czyli od paktów Augusta II z Piotrem Aleksiejewiczem na początku XVIII wieku, istniały w Polsce stronnictwa i nastroje tzw. ugo-

dowe. Program Dmowskiego, entuzjazm Warszawy dla wojsk rosyjskich w roku 1914 i jej złota szabla dla gen. Ruzskiego, deklaracja Koła Polskiego w Dumie — to wszystko były objawy tych nastrojów, tak samo wówczas uzasadnianych koniecznością — w danych, nie dających się zmienić warunkach.

Jeżeli się mówi o „porozumieniu” Polski z Rosją, trzeba pamiętać, że w historycznym programie carskiej Rosji, przejętym przez Związek Sowiecki, Polska ma być stopniowo wchłonięta w imperium rosyjskie — czy nazywa się ono „Wsirossijskaja Dierżawa” czy „Sowietskij Sojuz” — to nie ma znaczenia. P. Mieroszewski, wypowiadając się za porozumieniem z Rosją, musi przyjąć w zasadzie program Rosji w stosunku do Polski, gdyż dla imperialnej Moskwy nie ma innych „rozsądnych warunków”, niż jej własne.

Przypominamy sobie, że w chwili najazdu sowieckiego 17 września 1939 r. istniały pomiędzy II Rzeczpospolitą a ZSSR aż cztery porozumienia o nieagresji. Co one dały Polsce gdy przyszła godzina ich próby?

Rosja jest odrębnym fenomenem, który trzeba naocznie poznać, zgłębić i zrozumieć. Bez znajomości tego kraju, języka i literatury jest to niewykonalne. Rusycystom amerykańskim wydaje się tylko, że znają Rosję. Ale i z Polaków tylko nieliczni, jak Lednicki, Paszkiewicz, Pawlikowski, Sukiennicki, ratują nas wśród panującej ogólnie ignorancji.

W pierwszym rządzie mężów rządzących Polską w roku 1938-39 nie było nikogo kto by znajomość Rosji posiadał. Dlatego też 17 września był dla nich „zaskoczeniem”, dlatego ani Beck ani Rydz-Smigły nie dawali wiary napływającym zewnątrz wiadomościom o gotującym się porozumieniu Sowietów z Hitlerem przeciwko nam.

Porozumienie pomiędzy imperium sowieckim a jego polskim satelitą jest taką samą szkodliwą iluzją, jaką było przekonanie rządzących II Rzeczpospolitą w roku 1939, że ZSSR swoich zobowiązań wobec Polski dotrzyma. Lekarstwo które p. Mieroszewski proponuje jest gorsze od choroby, ponieważ sankcjonuje przez stronę polską stan rzeczy jej narzucony który ona tolerować musi, ale go nie afirmuje.

Rzeczywiste porozumienie pomiędzy Polską a Rosją może nastąpić dopiero w warunkach, które wskazałem w zakończeniu swej polemiki z p. Mieroszewskim („Kultura”, Nr 10/204). Sądzę, że emigracja jest właśnie po to, aby m. in. to stanowisko, nie mogące znaleźć wyrazu w Polsce, reprezentować w wolnym świecie. Emigracja nie może być li tylko odbiciem prądów, rzekomo kształtujących się w Polsce w warunkach braku swobody słowa i pióra i w kleszczach marksistowsko-leninowskiej dyktandologii.

Liczebność i poziom młodszych, aktywnych elementów emigracji uprawnia ich do stworzenia własnej — nie anachronicznej — wizji przyszłej Polski.

Załączam wyrazy szacunku i najlepsze pozdrowienia

Kazimierz OKULICZ

© Copyright by Institut Littéraire, 1964.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHLswick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTÉRAIRE,

91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 4^e trimestre 1964

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszynski, 54, 15th St., arkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », errano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA: « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianer- gasse Nr. 2 (Internationale Leih-bibliothek, godz. 19-21)		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-Il, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560,00 F. b.
BRAZYLIA: Seweryn A. Hartman, Av. Ipiranga 1071 - 8 ^a Sala 811, Cx Postal 4530, Sao Paulo, Tél. 35-5432			
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tél.: 716080. Nr konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
IZRAEL: « Sifri-Holon », Stanisław Wytrycz, Holon, Sokolow Nr. 40		15 £ IZR.	28 £ IZR.
KANADA: M. Jaxa-Deblecka, 223 Geoffrey Street, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/ Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: 9-0829; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Zwiastowiec », 1475 Queen St. W., To- ronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél.: LE 33407	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY: St. M. Mikieluk, 8 München 45, Gablon- zerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommensteng 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta pocz. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA: Red Norbert Zaba, Kallsårgatan 3/IV Stockholm	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A.: Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood 46, Cal.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown 72, Mass.; T. Konopaeki, 1242 Hathaway Av., Cleve- land 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal.; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 600 Imogen Ave., apt. 108, Los Angeles, Cal. 90026; Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn.; A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA: « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27	700 L.	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta
2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTÉRAIRE, 91, avenue de Poissy, Mennil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM CI

JAN BIELATOWICZ

GAUDE MATER POLONIA

G a w ę d a

Wspomnienie o Uniwersytecie Jagiellońskim

Str. 80

Cena 7 F (10 sh. 6 d.; dol. 1,50)



TOM CII

STANISŁAW MACKIEWICZ

POLITYKA BECKA

Str. 188

Cena egz. 12 F (18 sh.; \$ 2,50)



WINCENTY WITOS

MOJE WSPOMNIENIA

TOM II

Ukazał się w sierpniu rb. i został rozesłany subskrybentom.
Str. 440